

Bestsellerowa autorka NYT, dla fanów Jodie Picoult

Heather Gudenkauf

Jeden krok

Jedna szkoła.
Jeden uzbrojony
mężczyzna.
I twoje dziecko.



Heather Gudenkauf

Jeden krok

Przełożyła Joanna Dziubińska

FILIA

Heather Gudenkauf umiejętnie snuje sensacyjną, pełną napięcia opowieść o... uzdrawiającej sile miłości.

Susan Wiggs, bestsellerowa autorka „New York Timesa”

Heather Gudenkauf jest jedną z tych nielicznych pisarek, które potrafią opowiedzieć historię z poetyckim wręcz mistrzostwem, jednocześnie podkrecając napięcie, aż staje się ono nie do zniesienia.

Tess Gerritsen, bestsellerowa autorka „New York Timesa”

Ta genialnie skonstruowana powieść będzie was trzymać w napięciu do ostatniej strony.

„Closer”

HOLLY

Tkwię w cudownej przestrzeni między świadomością a snem. Nie czuję bólu dzięki pompie morfinowej i jestem niemal w stanie uwierzyć, że mięśnie, ścięgna i skóra lewej ręki zrosły się i że jej powierzchnia znów jest gładka i błada. Moje brązowe, kręcone włosy znów opadają delikatnie na plecy, z uszu zwisają mi ulubione kolczyki i potrafię bezboleśnie unieść oba kąciki ust w szeroki uśmiech na myśl o moich dzieciach. Tak, leki to wspaniała rzecz. Problem polega na tym, że choć uważnie przepisywana i dawkowana mi przez pielęgniarki chemia w cudowny sposób stępia krawędzie tego koszmaru, wiem, że już niedługo to przyjemne uczucie zamroczenia przeminie i pozostanie tylko ból i świadomość, że Augie i PJ są oddaleni ode mnie o tysiące kilometrów. Trafili tam, gdzie dorastałam – miasteczka, do którego obiecałam już nigdy nie wrócić, domu, którego progu poprzysięgam już nigdy nie przekroczyć, człowieka, którego nie chciałam, by kiedykolwiek poznali.

Melodyjka dzwonka, którą Augie, moja trzynastoletnia córka, ustawiła mi w komórce, wrywa w mnie ze snu. Otwieram jedno oko, to, które nie zaschło pod grubą warstwą maści, i wołam mamę, która musiała chyba wyjść z pokoju. Sięgam po telefon, leżący na tacy śniadaniowej przy moim łóżku, i zakończenia nerwowe obandażowanej lewej ręki krzyczą na znak protestu. Ostrożnie przekręcam się, aby podnieść telefon zdrową dłonią i przykładam słuchawkę do ucha, które mi pozostało.

– Halo? – wymawiam słowo niedokładnie, zdyszany i nierównym głosem, jakby moje płuca nadal wypełniał dym.

– Mama? – Głos Augie jest rozedrgany, niepewny. Nie brzmi jak głos mojej córki. Jest pewna siebie, by strą, lubi przejmować inicjatywę. To dziewczyna, która nie da rozstawić się po kątach.

– Augie? Co się dzieje? – Staram się odpędzić od siebie morfinową mgłę. Suchy język lepi mi się do podniebienia. Napilabym się wody ze szklanki, która stoi na tacy, ale sprawną ręką trzymam telefon. Druga leży beużyteczna przy moim boku.

– Nic ci nie jest? Gdzie jesteś?

Przez kilka sekund trwa cisza.

– Kocham cię, mamo – mówi w końcu szeptem i zaczy na cicho płakać.

Siadam na łóżku wyprostowana i nagle całkowicie przytomna. Zabandażowaną rękę przeszywa ból, który pnie się po karku aż do twarzy.

– Augie, co się dzieje?

– Jestem w szkole. – Augie płacze tak, jak wtedy, gdy ze wszystkich sił próbuje powstrzymać

się od łez. Niemal ją widzę: głowę ma spuszczoną, długie, brązowe włosy zasłaniają jej twarz, powieki ma zaciśnięte, aby nie pozwolić łzom spłynąć po policzkach, moje ucho wypełnia jej krótki i płytki oddech. – On ma pistolet. Ma PJ-a i pistolet.

– Kto ma PJ-a? – Piers ścisła mi przerażenie. – Augie, powiedz mi, gdzie jesteś. Kto ma pistolet?

– Siedzę w schowku. Kazał mi wejść do schowka.

Nic nie rozumiem. O kim mówi? Kto mógłby zrobić coś takiego moim dzieciom?

– Rozłącz się – mówię jej. – Rozłącz się i natychmiast zadzwoń na policję, Augie, a potem od razu do mnie oddzwoń. Rozumiesz? – Słyszę, jak pociąga nosem. – Augie! – powtarzam, tym razem ostrzej. – Rozumiesz?

– Tak – odpowiada w końcu. – Kocham cię, mamó – dodaje cicho.

– Ja też cię kocham. – Oczy wypełniają mi się łzami i czuję zbierającą wilgoć pod bandażami, które okrywają moje uszkodzone oko.

Czekam, aż Augie się rozłączy, kiedy nagle słyszę trzy szybkie strzały, po których następują jeszcze dwa, i przesywający krzyk Augie.

Czuję, jak bandaż okrywający lewą część mojej twarzy zsuwają się, mój własny krzyk rozluźnia plastry, które je podtrzymują. Czuję, jak wątła, niedawno przeszczepiona skóra zaczyna się rozpadać. Jestem ledwie świadoma pielęgniarek i mamy, które do mnie przybiegają i wyrywają mi z dłoni telefon.

AUGIE

Spodnie nadal nie wyschły mi po tym, jak Noah Plum pchnął mnie z odśnieżonego chodnika prosto w śnieżną zaspę, kiedy rano wysiadłam z autobusu i szłam do szkoły. Noah Plum to największy dupek wśród wszystkich ósmoklasistów. Z jakiegoś powodu tylko ja to zauważyłam, choć mieszkam tu dopiero od ośmiu tygodni, a inni od urodzenia. Może z wyjątkiem Milany Nevary, której tata jest weterynarzem i pochodzi z Meksyku. Ale przeprowadziła się tu, kiedy miała dwa lata, więc to prawie taksamo, jak gdyby się tu urodziła.

W sali panuje lodowaty chłód, od którego drętwięją mi palce. Pan Ellery mówi, że pod koniec marca temperatura nie powinna spadać do zera i wyłączono już piec grzewczy. Pan Ellery, mój nauczyciel i jeden z niewielu plusów tej szkoły, siedzi przy swoim biurku i sprawdza klasówki. Wszyscy – oczywiście oprócz Noaha – piszą w zeszytach. Codziennie po lunchu zajęcia zaczynamy chwilą na prowadzenie dziennika i przez pierwsze dziesięć minut możemy pisać, o czym chcemy. Pan Ellery powiedział, że można powtarzać nawet jedno i to samo słowo, na co Noah zapytał, czy może być brzydkie.

– Pisz sobie, aż ci się znuży – powiedział pan Ellery i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Pan Ellery zawsze pozwala uczniom przeczytać, co napisali, jeśli tylko mają na to ochotę. Nigdy niczym się nie podzieliłam. Nie ma szans, żebym dała tym kretynom poznać, o czym myślę. Przeczytałam *Harriet szpieguje* i zawsze noszę swój zeszyt ze sobą. Nigdy nie spuszczam go z oczu.

W mojej starej szkole w Arizonie mój rocznik liczył dwustu ósmioro uczniów i mieliśmy różnych nauczycieli do każdego przedmiotu. W Broken Branch jest nas tylko dwadzieścioro dwoje, więc pan Ellery uczy nas właściwie wszystkiego. Pan Ellery, pomijając fakt, że jest bardzo przystojny, to bez dwóch zdań najlepszy nauczyciel, jakiego miałam. Jest zabawny, ale nigdy nie stroi sobie z nikogo żartów i nie jest sarkastyczny, choć wielu nauczycieli uważa, że to strasznie śmieszne. Nie pozwala też nikomu nabijać się z innych. Wystarczy, że utkwę w kimś wzrok a ten od razu się zamyka. Nawet Noah Plum.

Pan Ellery zawsze zapisuje jakąś podpowiedź na białej tablicy, na wypadek gdyby nic nie przychodziło nam do głowy. Dziś napisał: „Podczas wiosennych ferii mam zamiar...”.

Dziś nawet wzrok pana Ellery’ego nie działa. Wszyscy szepczą i uśmiechają się, bo w końcu będziemy mieć wolne.

– No już, kochani – mówi pan Ellery. – Do roboty, a jeśli zostanie nam trochę czasu, zagramy w kalambury.

– Super! – Dzieciaki wokół mnie się cieszą. Otwieram notatnik na czystej kartce i zaczynam pisać.

„Podczas wiosennych ferii mam zamiar polecieć do Arizony, żeby zobaczyć się z mamą”. W sali słychać jedynie szelest ołówków i Erikę, która irytująco pociąga nosem – zawsze ma katar i wstaje po chusteczkę ze dwadzieścia razy na dzień. „Nie obchodzi mnie, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę śnieg i krowy. Nie obchodzi mnie, czy kiedykolwiek zobaczę dziadka”. Mam wielką nadzieję, że po wiosennej przerwie mama będzie na tyle zdrowa, że nie wrócę do Broken Branch, tylko pojadę do domu. Dziadek mówi nam, że nie ma na to szans. Przed mamą jeszcze długa droga, zanim wróci do domu. Zostanie w Arizonie tak długo, aż wyjdzie ze szpitala i będzie w stanie wsiąść do samolotu, i przylecieć tutaj, żeby babcia i dziadek, których po raz pierwszy zobaczyłam dopiero parę miesięcy temu, mogli się nami wszystkimi zająć. Jednak to, co mówi dziadek, nie ma znaczenia – nie wracam do Broken Branch po wiosennej przerwie.

Gwałtowny trzask, jak gałąź złamana przez grad, sprawia, że podnoszę wzrok. Pan Ellery też słyszy ten dźwięk, wstaje więc zza biurka i podchodzi do drzwi, wychodzi na korytarz i odwraca się, wruszając ramionami.

– Ktoś chyba wybił szybę w oknie na końcu korytarza. Pójdę sprawdzić. Zostańcie w ławkach. Zaraz wrócę.

Zanim zdąży wyjść, przez szkolny radiowęzeł rozbrzmiewa drżący głos pani Lowell, szkolnej sekretarki.

– Nauczyciele, ogłaszam alarm czerwony z przymusowym zakazem opuszczania budynku. Proszę zająć bezpieczne pozycje.

Noah prycha.

– Proszę zająć bezpieczne pozycje – przedrzeźnia panią Lowell. Nikt inny nie odzywa się słowem. Wszyscy patrzymy na pana Ellery’ego i czekamy, aż powie nam, co robić. Nie jestem tu na tyle długo, by wiedzieć, co oznacza alarm czerwony. Ale na pewno nie oznacza nic dobrego.

PANI OLIVER

Tamtego ranka, kiedy do klasy wszedł mężczyzna z pistoletem, Evelyn Oliver miała na sobie dwie rzeczy, których podczas swojej czterdziestotrzyletniej kariery nauczycielskiej poprzysięga nigdy nie założyć. Dżinsową sukienkę i dżety. Pani Oliver była przekonana, że nauczycielka powinna wyglądać jak nauczycielka. Schudne bluzki z kołnierzykami, spódnice i garniturowe spodnie starannie wyprasowane, wypolerowane eleganckie buty. Żadnych nonsensownych zwyczajów młodszych nauczycielek. Spódniczki mini, trampki, bluzki z dużym dekoltem. Na miłość boską: tatuaże! Na przykład pan Ellery, młody nauczyciel ósmej klasy, miał tatuaż na prawym ramieniu. Szereg wyraźnych czarnych maźnięć i wywijasów, które, jak zorientowała się pani Oliver, tworzyły azjatyckie litery. „To znaczy nauczyciel po chińsku”, wyjaśnił jej pan Ellery, który – o zgrozo – ubrany w T-shirt, pewnego upalnego sierpniowego popołudnia podczas tygodnia dyżurowego, kiedy wszyscy nauczyciele przygotowywali swoje sale na nowy rok szkolny, przyłapał ją, jak mu się przygląda. Pani Oliver westchnęła z dezaprobatą, ale tak naprawdę zastanawiała się, jak bardzo musi boleć wstrzykiwanie sobie atramentu głęboko pod skórę.

Najgorsze były tak zwane „luźne piątki”, bo nauczyciele, nawet ci starszej daty, przychodzili do pracy w dżinsach i bluzach z logo szkolnej drużyny – Szerszenie z Broken Branch.

Jednak w ten niezwykle zimny, marcowy dzień, ostatni dzień szkoły przed wiosenną przerwą, pani Oliver założyła dżinsową sukienkę na szelkach, w której – teraz była tego pewna – przyjdzie jej umrzeć. Co za hańba, pomyślała. Po tylu latach idealnych plis i gryzących pończoch na żyłaki.

Tydzień wcześniej, kiedy wszyscy trzecioklasiści poszli do domu, pani Oliver otworzyła niepewnie pogniecioną torbę na prezenty w różowo-żółte paski, którą dała jej Charlotte – chuda, rozczochrana ośmiolatka o połyskująco czarnych, sięgających do ramion włosach, w których mieszała uparta rodzina wszy.

– Co to takiego, Charlotte? – zapytała z zaskoczeniem pani Oliver. – Urodziny mam dopiero latem.

– Wiem – odparła Charlotte, ukazując w szerokim uśmiechu brakujące zęby. – Ale razem z mamą pomyślałyśmy, że teraz bardziej się pani przyda.

Pani Oliver spodziewała się znaleźć w środku świecę zapachową o jabłkowym aromacie, ciasteczka domowej roboty albo ręcznie malowaną budkę dla ptaków, ale zamiast tego wyciągnęła sukienkę z wycieranego dżinsu, z dżetami misternie ułożonymi w kształt tęczy, która

teraz połykowała w jej dłoniach. Charlotte patrzyła na panią Olivier wyczekująco zza kurtyny grzywkę, która przysłaniała jej zwykle figlarne, szare oczy.

– Sama ją ozdobiłam. Prawie sama – wyjaśniła Charlotte. – Mama pomogła mi z tęczą. – Położyła brudny palec na kolorowym łuku. – „Czemu Patrysz Zielona Żabo Na Głupiego Fanfaroną”. Czerwony, pomarańczowy, zielony, żółty, niebieski, granat, fiolet. Tak jak nas pani uczyła. – Charlotte błysnęła małymi mi, trzy mający mi się twardo mleczakami.

Pani Oliver nie miała serca powiedzieć dziewczynce, że poprawna mnemonika na zapamiętanie kolorów tęczy zaczyna się od „Czemu Patrysz Żabo Zielona”, ale pocieszyła się, że dziewczynka zna przynajmniej wszystkie kolory tęczy, nawet jeśli w złej kolejności.

– Jest śliczna, Charlotte – powiedziała pani Oliver, wyciągając przed siebie dzinsową sukienkę. – Widzę, że bardzo się napracowałaś.

– Tak – oświadczyła Charlotte uroczyście. – Zajęło mi to całe dwa tygodnie. Na początku chciałam ozdobić sobie tort urodzinowy, ale mama powiedziała, że może będzie pani częściej nosić tę sukienkę, jeśli nie będzie wyglądać tak poważnie. Prawie skończyły mi się koraliki. Mój młodszy brat myślał, że to skittlesy.

– Bardzo mi się przyda. Dziękuję ci, Charlotte. – Pani Oliver wyciągnęła rękę, żeby poklepać Charlotte po ramieniu, na co dziewczynka momentalnie objęła obfitą talię kobiety i przycisnęła buzię do guzików jej wykrochmalonej bluzki. Pani Oliver poczuła, jak coś ją swędzi pod linią stalowoszarych włosów, ale oparła się chęci, by się podrapać.

To mąż pani Oliver, Cal, nakłonił ją, by założyła sukienkę.

– Co w niej złego? – zapytał tego ranka, kiedy zastał żonę przed otwartą szafą, gdy wpatrywała się w sukienkę, która posyłała jej równie uporczywe, migotliwe spojrzenie.

– Nie chcę zakładać dzinsu do szkoły, a już z pewnością nie zacznę go nosić tuż przed emeryturą – odparła, nie patrząc mężowi w oczy, pamiętała jednak, jak na początku tygodnia Charlotte wbiegła z podekscytowaniem do klasy, chcąc sprawdzić, czy jej nauczycielka założyła sukienkę.

– Trudziła się nad nią przez dwa tygodnie – przypomniał jej Cal przy śniadaniu.

– To nie przystoi nauczycielce – warknęła pani Oliver, myśląc o tym, jak ramiona Charlotte opadały niżej i niżej, kiedy wchodziła do klasy i zastawała nauczycielkę w zwyczajowych wełnianych spodniach, bluzce i kardiganie...

– Pokrwawiła sobie palce – powiedział Cal z ustami pełnymi owsianki.

– Dzisiaj ma być minus dziesięć stopni. Za zimno na sukienkę – skwitowała pani Oliver ze smutkiem, przypominając sobie, jak poprzedniego dnia Charlotte nie chciała nawet spojrzeć w jej stronę, jak buntowniczo wydymała usta i odmawiała odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania.

– To pod spód załóż kalessony i golf – odparł jej mąż łagodnie, podchodząc do niej od tyłu i całując ją w szyję w taki sposób, że nawet po czterdziestu pięciu latach małżeństwa przeszywał ją dreszcz przyjemności.

Ponieważ miał rację – a Cal zawsze miał rację – odgoniła go poirytowana i powiedziała, że jeśli zaraz się nie ubierze, spóźni się do szkoły. Ubrana w sukienkę wyszła, pozostawiając go przy kuchennym stole, pochylonego nad resztą owsianki, kawą i gazetą. Nie powiedziała mu, że go kocha, nie pocałowała na do widzenia jego pomarszczonego policzka.

– Nie zapomnij włączyć wolnowaru! – zawołała jedynie, wychodząc w łagodną szarość poranka. Słońce jeszcze nie weszło, ale było cieplej, niż zapowiadano na dzisiejszy dzień, choć

temperatura stale spadała. Kiedy wsiadała do samochodu, by ruszyć w dwudziestominutową podróż ze swojego domu w Dalsing do szkoły w Broken Branch, nie zdawała sobie sprawy, że mógł to być ostatni raz, gdy pokonuje tę trasę.

Było warto, pomyślała, kiedy zobaczyła, jak mina Charlotte na widok nauczycielki w jej sukience przeistacza się ze znużonego rozczarowania w nieznaną radość. Oczywiście Cal miał rację. W założeniu tego niepraktycznego, krzykliwego ciucha nie było nic zdrożnego. Pani Oliver musiała jedynie znieść jakoś zdziwione spojrzenia nauczycieli w gabinecie, ale z tym spotkała się już wcześniej. Sukienka musiała najwyraźniej mieć ogromne znaczenie dla Charlotte, która teraz, podobnie jak szesnaścioro innych trzecioklasistów, skulona gapiała się z otwartymi ustami na człowieka z pistoletem. Zaskakując samą siebie niestosownością tego pomysłu, pani Oliver pomyślała, że jeśli ten człowiek strzeli jej w pierś, przynajmniej nie pochowają jej w tej przeklętej kiecce.

MEG

Jeżdżąc radiowozem bez celu po ulicach Broken Branch, próbuję wymyślić, co zrobię z wolnym czasem przez kolejne cztery dni. W tym roku po raz pierwszy nie będę miała u siebie Marii podczas wiosennej przerwy. Wygląda na to, że w najbliższym czasie wiosna nie ma zamiaru się pokazać, choć oficjalnie nastąpiła dwa dni temu.

Zgodnie z postanowieniem sądu Tim ma prawo mieć u siebie Marię w tę wiosenną przerwę. Poprzednie dwie spędziła ze mną, tylko że ja zdążyłam już zaplanować cały jutrzejszy dzień – dzień mojego urlopu. Miałyśmy upiec duńskie literki, puszyste, migdałowe ciastka, które są jedyną rodzinną tradycją, jaką zachowałam z dzieciństwa. Potem miałyśmy postawić namiot na środku salonu i urządzić domowy biwak. Na koniec chciałam skorzystać z szalonej śnieżnej burzy za oknem i przejść się z Marią w raketach śnieżnych pod Ox-eye Bluff, podczas gdy w domu będą na nas czekać gorąca czekolada, pianki i zupa z ostryg. Zdołałam nawet namówić Kevina Jarrowa, który pracuje dorywczo na naszym komisariacie, żeby wziął za mnie sobotnią zmianę. Ale tym razem Tim się uparł. W końcu udało mu się wziąć pełne pięć dni urlopu. Jest sanitariuszem w Waterloo, skąd oboje pochodzimy.

– Słuchaj, Meg – powiedział, kiedy zadzwonił do mnie przedwczoraj. – Nie proszę o wiele, ale bardzo chciałbym mieć Marię w te ferie...

– Nasze dziecko nie jest przedmiotem na liście zakupów – powiedziałam zapalczywie. – Myślałam, że już to ustaliliśmy.

– Ty ustaliłaś – powiedział. I miał rację. – Chcę z nią spędzić kilka dni i nie wydaje mi się, aby było w tym coś dziwnego.

– A skąd ta nagle zmiana? – zapytałam.

– Hej, staram się z nią spędzać każdą wolną chwilę i doskonale o tym wiesz. Poza tym była u ciebie przez ostatnie dwa lata. – Czulałam, że Tim robi się naprawdę zły. Wyobraziłam sobie, jak siedzi w naszym dawnym domu i pociera czoło palcami tak, jak miał w zwyczaju, gdy się denerwował.

– Wiem – powiedziałam łagodnie. – Tylko zdążyłam już sobie wszystko zaplanować.

– Zawsze możesz przyjechać do nas – powiedział nieśmiało. Westchnęłam. Byłam zbyt zmęczona, by znów prowadzić tę rozmowę. – Meg, wiesz przecież, że nigdy nie zrobiłem tego, o co mnie posądzasz – Znowu się zaczyna, pomyślałam. Co kilka miesięcy Tim zaczyna mi na nowo tłumaczyć, że nie miał romansu ze swoją koleżanką z pracy i że ta kobieta to nałogowa kłamczucha, która chciała czegoś więcej, ale on ją odrzucił. Bywały takie dni, kiedy zaczynałam

mu wierzyć. To nie był jeden z nich.

– Możesz po nią przyjechać w środę po szkole – powiedziałam mu.

– Miałem nadzieję, że mógłbym to zrobić jutro po pracy. Koło południa.

– Opuści ostatni dzień szkoły przed przerwą, a wtedy robią same najfajniejsze rzeczy. – To nie była dobra wymówka, ale nic lepszego nie przychodziło mi do głowy.

– Meg – powiedział tym swoim tonem. – Proszę, Meg...

– Niech ci będzie – fuknęłam.

Wczoraj pożegnałam się więc z moją śliczną, zabawną, kochaną i idealną siedmioletnią córeczką.

– Będę do ciebie codziennie dzwonić – obiecywałam jej, jakbym żegnała się z nią na zawsze.

– Dwa razy.

– Pa, mamó – powiedziała przelotnie, całując mnie w policzek, po czym wsiadła do samochodu Tima.

– Jeśli śnieg nie stopnieje, pójdziemy na spacer w raketach śnieżnych, kiedy wrócisz – zawołałam za nią.

– Jutro wieczorem jedziemy na obiad do moich rodziców, a w niedzielę do mojej siostry. – Zrobił poważną minę i dodał: – W zeszyty tygodniu spotkałem twoją mamę.

– Aha – odparłam tonem, jakby w ogóle mnie to nie obchodziło.

– Bardzo chcieliby zobaczyć Marię.

– Nie wątpię – mruknęłam.

– Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli ją do nich zabiorę?

– Chyba nie – odparłam, wzruszając ramionami. – Tylko obiecaj mi, że nie zostawisz jej samej w przyczepie – to miejsce jest jak pułapka. I upewnij się, żeby w domu nie było Trávisa, kiedy przyjedziecie. – Mój brat Travis to jeden z powodów, dlaczego postanowiłam wstąpić do policji. Kiedy byłam dzieckiem, uprzykrzał życie moim rodzicom, a moje zamienił w piekło. Miałam wrażenie, że niemal co tydzień policjant odprowadzał go przed nasze drzwi. Mama i tata dali mu wiele szans na poprawę, ale Travis nigdy nie wziął się za siebie. Dopiero kiedy miałam trzynaście lat i szesnastoletni Travis zaczął grozić ojcu nożem kuchennym, uderzył matkę w twarz, a mnie wyrwał garść włosów, kiedy próbowałam go od nich odciągnąć, policja podjęła poważne kroki.

– Co chcecie zrobić? – zapytał ze znużeniem sierżant Stepanich, który był częstym gościem w naszym domu. Jego młoda partnerka, sierżant Demelo, stała obok w milczeniu, przyglądając się potłuczonemu szkłu, przewróconym krzesłom i lysej skórze na czubku mojej głowy. Witamy w naszym uroczym domu, miałam ochotę powiedzieć, ale twarz płonęła mi ze wstydu.

Byłam przekonana, że rodzice w końcu powiedzą, że miarka się przebrała i każą aresztować Trávisa za napaść, ale oni postanowili po raz kolejny nie wnosić zarzutów.

– A ty co chcesz zrobić? – zapytała mnie Demelo, a ja, zdając sobie sprawę, że mówi wyłącznie do mnie, spojrzałam na nią zaskoczona.

– Poczekaj – powiedział Stepanich. – Właściwie to ta decyzja należy do rodziców.

– Nie wydaje mi się, żeby to pasmo włosów samo znalazło się na podłodze, a Meg sama go sobie wyrwała – oświadczyła Demelo, nie spuszczając ze mnie wzroku. Byłam zaskoczona, że w ogóle pamięta moje imię, i pod wrażeniem, że zignorowała starszego od siebie funkcjonariusza.

– Dowiedzmy się, co ona chce zrobić – nalegała funkcjonariuszka.

Travis uśmiechnął się pod nosem. Był jakieś piętnaście centymetrów wyższy i ponad trzydzieści pięć kilo cięższy ode mnie, ale w tamtej chwili, wiedząc, że tylko nieokrzesany tchórz mógłby tak katować swoją rodzinę, czułam się silniejsza, potężniejsza. Myślał, że jest niepokonany. W tamtym momencie zrozumiałam, że istnieje ratunek dla mojej rodziny.

– Chcę wnieść zarzuty – powiedziałam, zwracając się tylko do sierżant Demelo. Nie wyglądała na wiele starszą ode mnie, ale w jej zachowaniu była pewność siebie, którą sama chciałam posiadać.

– Na pewno chcesz to zrobić? – zapytał Stepanich.

– Tak – odpowiedziałam stanowczo. – Chcę to zrobić. – Stepanich zwrócił się do moich rodziców, którzy mimo osłupiałych min zgodnie pokiwali głowami. Policjanci zabrali Trávisa zakutego w kajdanki. Wrócił do domu kilka dni później. Spodziewałam się, że w jakiś sposób spróbuje się na mnie zemścić, ale trzymał się na dystans i nie tknął mnie palcem. Nie oznaczało to jednak, że trzymał się z dala od kłopotów. Na przestrzeni lat wielokrotnie trafiał do więzienia za posiadanie narkotyków. To aresztowanie sprzed dwudziestu lat nie zmieniło Trávisa, ale moim zdaniem uratowało mi życie.

– Travis nie zbliżył się do Marii – obiecał mi Tim. Zrobił taką minę, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale ostatecznie dodał jedynie: – Odezwę się później, Meg. – Odjechał, a Maria pomachała mi radośnie na do widzenia.

Moje wycieraczki ledwie nadążają z odgarnianiem gęstego śniegu, który pada z nieba. Świetnie, myślę sobie. Kiedy o piętnastej skończę dziesięciogodzinną zmianę, resztę dnia spędzę na odśnieżaniu. Zastanawiam się, czy mimo wszystko nie upiec jutro duńskich ciasteczek, ale ostatecznie rezygnuję z tego pomysłu. Zamiast tego wyśpię się, pooglądam telewizję, pojedę po pizzę do Casey'a i poużalam się nad sobą.

Czuję, jak w kieszeni kurtki wibruje mi telefon. Zerkam na wyświetlacz, myśląc, że może dzwoni Maria. Stuart. Cholera. Wkładam telefon z powrotem do kurtki. Stuart, reporter, który pisze dla „Des Moines Observer”, mieszka około półtorej godziny drogi od Broken Branch i z którym zerwałam jakiś miesiąc temu, kiedy okazało się, że wcale nie jest z żoną w separacji, tak jak twierdził. O nie, nadal mieszkali pod jednym dachem i – przy najmniej z jej punktu widzenia – byli szczęśliwym małżeństwem. Jestem świadoma tej ironii. Rozwiodłam się z mężem za to, że mnie zdradzał, a sama skończyłam jako kochanka, robiąc piekło innej kobiecie. Stuart tłumaczył się szampowo: „Kocham cię, w tym małżeństwie nie ma miłości, odejdę od niej, ple, ple, ple”. A potem nastąpił mały epizod, kiedy to Stewart wykorzystał mnie, by opisać najgłośniejszą sprawę w swojej karierze. Powiedziałam mu, że jeśli nie przestanie, to zastrzelę go ze służbowej broni. Nie do końca żartowałam.

Odbieram.

– Pracuję – mówię do Stuarta ostrym tonem.

– Czekaj, czekaj – odpowiada. – To służbowy telefon.

– Jeszcze lepszy powód, żeby się rozłączyć – stwierdzam krótko.

– Słyszałem, że w szkole grasuje uzbrojony napastnik – mówi Stuart nonszalanckim, pewnym siebie głosem. Dupek

– Skąd wiesz? – pytam ostrożnie, starając się nie zdradzić, że pierwsze słyszę.

– Wszyscy o tym mówią, Meg. Telefon w redakcji dzwoni jak opętany. Dzieci piszą o tym posty na tablicach i tweetują. Co się dzieje?

- Nie mogę komentować toczącego się śledztwa – mówię stanowczo, choć w głowie mam goniącą myśl. Napastnik w szkole? Nie. Gdyby coś się działo, wiedziałabym o tym.
- Marii nic nie jest?
- To nie twoja sprawa – odpowiadam cicho. Stuart skrzywdził nie tylko mnie.
- Czekaj – mówi, zanim zdolałam się rozłączyć. – Może mogę ci pomóc.
- Niby jak? – pytam podejrzliwie.
- Mogę śledzić sprawę od strony mediów, informować cię o wszystkim, co do nas dotrze, uprzedzić cię, jeśli coś wyda się ważne.
- Stuart – odpowiadam, kręcąc głową. – Naprawdę, nic co masz mi do powiedzenia, nie jest już ważne.

WILL

Tamtego ranka, kiedy na horyzoncie nie widać było jeszcze bladuróżowej luny poprzedzającej wschód słońca, Will Thwaite, patrząc, jak jego wnuki wsiadają do szkolnego autobusu, zdał sobie sprawę z tego, że bardzo tęskni za swoją żoną. Bardzo przywykł do tego, że Marlys jest razem z nim na farmie. To ona każdego ranka szturczała go o piątej nad ranem, aż się obudził, to ona wkładała mu w dłonie termos gorącej kawy i żegnała go w drzwiach, obiecując mu gorące śniadanie, kiedy wróci z karmienia krów. Odczuwał jej nieobecność tak, jak ludzie czują brak jednej z kończyn. Nadchodzącej jesieni będą obchodzić pięćdziesiąt rocznicę ślubu. Will próbował sobie przypomnieć, kiedy Marlys ostatnio nocowała poza domem, i doszedł do wniosku, że było to jedenaście lat temu, kiedy pojechała do Omaha odwiedzić ich czwartego syna, Jeffreya, jego żonę i ich nowo narodzoną córeczkę. Spakowała torbę na cztery dni, wsiadła do cadillaca, krzyknęła do niego przez okno, że ma w zamrażarce kilka posiłków do odgrzania w mikrofalówce i odjechała, otoczona chmurą ciemnobrązowego pyłu Iowa.

Upił łyk kawy i skrzywił się, czując jej gorzki smak, ani trochę nieprzypominający smaku kawy Marlys. Rozumiał, dlaczego tym razem musiała zostać dłużej. Minęły już dwa miesiące, a ona nadal nie potrafiła podać mu konkretnej daty powrotu. Ich najmłodsze dziecko, jedyna córka, potrzebowała opieki i miała tyle komplikacji po wypadku, że z dużym prawdopodobieństwem mógł spodziewać się żony dopiero późnym kwietniem. Przez wiele lat Will był przekonany, że nie zobaczy Holly już nigdy w życiu, tak bardzo go nienawidziła. Podejrzewał, że gdyby próbował wyciągnąć od niej, skąd ta niechęć, nie byłaby w stanie tego wytłumaczyć, choć zdołała nastawić przeciw niemu swoje dzieci. Przynajmniej chłopiec, PJ, spokojne dziecko o brązowych oczach, w grubych, okrągłych okularach i duszy starego człowieka, dość szybko się do niego przekonał. Dziewczynka, Augustine – Augie – wręcz przeciwnie. Kiedy Will wszedł do szpitala, którego chłodne, instytucjonalne powietrze było jak akt łaski w stosunku do nieustającego arizońskiego upału, poczuł, jak przyspiesza mu puls, gdy przekraczał próg oddziału oparzeniowego. Na krześle, w zgarbionej, niezręcznej pozie, siedziała ich córka. Ale oczywiście to nie była Holly, to niemożliwe. Holly leżała gdzieś w szpitalnym łóżku z poparzeniami trzeciego stopnia, a poza tym ta nieszczęsna postać, którą miał przed oczami, była zdecydowanie za młoda jak na jego córkę. Miała jednak jej bladą cerę, brązowe włosy i zaokrąglone kształty. Nie chodziło mu o to, że jest gruba, broń Boże, miała jednak sylwetkę zdrowej, wiejskiej dziewczyny. Na tę myśl Will uśmiechnął się do siebie w duchu. To była jego wnuczka i przez ulotną chwilę pomyślał, że ma szansę odzyskać swoją niesforną córkę, która przez ostatnie piętnaście lat

odrzucała go z niejasnych dla niego powodów.

Jego nadzieje zostały szybko zduszone przez Marlys, zawsze uczuciową i głośnie nawet w najmniej stosownych miejscach, która zaczęła piszczeć z rozkoszy na widok swoich wnuków.

– Augustine? PJ? – zapytała głośno, sprawiając, że inni odwiedzający skierowali na nich wzrok. Rozpostarła ramiona, oczekując, jak domyślił się Will, że Augie i PJ zerwą się z krzeseł i rzucą się jej na powitanie. Zamiast tego obydwoje wlepili wzrok w babcię, która, jak musiał przyznać Will, wyglądała dość niepokojąco. Zmartwienie stanem Holly, pakowanie się w pośpiechu i zamieszanie z obowiązkami na farmie zdołały wycieńczyć Marlys, zanim jeszcze wyjechali z Broken Branch. Potem był lot samolotem, dla Marlys pierwszy lot w życiu, i jej niedoświadczenie sprawiło, że poczuła się mała i głupia. Kiedy w końcu dotarła do Revelation i zobaczyła swoje wnuki, nie była w stanie dłużej powstrzymać emocji. Objęła zaskoczone dzieci i po chwili odsunęła je od siebie na odległość ramion, żeby dobrze się im przyjrzeć, ale tylko na moment.

– Jesteśmy waszymi dziadkami – mówiła przez łzy. – Ależ jesteś piękna – powiedziała do Augie, której kąciki ust uniosły się w nieznacznym uśmiechu. – Wyglądasz dokładnie jak mama, kiedy była w twoim wieku. A ty – zwróciła się do PJ-a, unosząc jego podbródek jednym ze swoich spracowanych palców. – Jaki z ciebie przystojniak! – Łzy spływały po jej pomarszczonych policzkach i spadały na zadartą buzię PJ-a. Chłopiec nie wykręcił się z objęć ani nie otarł wilgoci z czoła, tylko z zachwytem wpatrywał się w babcię, po czym rzucił dziadkowi niepewne spojrzenie. Will wzruszył jedynie ramionami, jakby chciał powiedzieć, że też nie wie, co robi babcia. Kiedy przerwiał wzrok na Augie, chcąc puścić do niej oko, zastał jedynie oskarżycielskie, pełne podejrzliwości spojrzenie. Holly zdążyła już wypełnić głowę córki opowieściami o swoim dzieciństwie. O pracy do kresu sił, izolacji na farmie, wojnach o godzinę powrotu do domu, niesprawiedliwości, jakiej doświadczyła. Podczas gdy Marlys pękała z dumy na widok wnuków, a one pławiły się w jej uwadze, Will wycofał się i zaczął szukać pielęgniarki, która mogłaby mu podać jakieś informacje na temat stanu córki.

Teraz, dwa miesiące później, nie był ani o krok bliżej zburzenia muru, który odgradzał go od wnuczki. Bóg mu świadkiem, że się starał. Rozumiał, jak trudna dla Augie musiała być rozłąka z matką i starał się na nią nie naciskać. Odczekał tydzień, zanim powiedział jej, że regularne wykonywanie obowiązków to jedna z podstawowych zasad życia na farmie i że musi się do nich dołączyć. Z PJ-em, który z zainteresowaniem chodził z nim po farmie, nie było trudno. Za to Augie codziennie po szkole chowała się w swoim pokoju – dawnej sypialni Holly – i nie wychodziła stamtąd aż do rana. Odpowiadała na pytania monosylabicznymi mrugnieniami i nie chciała z nimi jeść. Twierdziła, że jest wegetarianką, krzywiła się na to, że dziadek hoduje krowy do przerobienia na mięso. Wiedział, że nie powinien kłócić się z Augie, starał się być cierpliwy. Choć czasem wydawało mu się, że eksploduje ze złości, obiecał sobie, że będzie próbował powoli wszystko jej wytłumaczyć, choć czasem mógł wydawać się szorstki. Dziewczynka z pewnością niczego mu nie ułatwiała. Wciąż patrzyła na niego z pogardą i korzystała z każdej okazji, aby się pokłócić albo nie zgodzić z tym, co mówił. Will czuł się, jakby znów wychowywał Holly. Rzecz polegała jednak na tym, że przez te wszystkie lata nieobecności Holly, gdy Willowi zostały jedynie wspomnienia z czasów, kiedy była małeńka i wierzyła, że jej tata wiesza na niebie księżyc, przysięgał sobie, że gdyby miał szansę zacząć wszystko od nowa, postąpiłby inaczej. Teraz taka szansa przydarzyła się w postaci Augie, kopii jego córki, i jeśli tym razem sobie nie

poradzi, niech go szlag.

HOLLY

Znów obudziłam się w szpitalu. Zaczynam myśleć, że nigdy się stąd nie wydostanę. Mam ochotę wyrwać sobie kropłówkę z ręki i uciec z krzykiem. Przez całe życie próbowałam się wyzwolić, najpierw od moich rodziców, Broken Branch i całej tej małomiasteczkowej sztuczności. Potem chciałam uciec od Davida i tego, jak dusi mnie bycie przez kogoś usidloną. Najpierw więc zerwałam więzy z moją rodziną w Iowa i wyjechałam, nie całując ani nie przytulając ich na pożegnanie, tylko mówiąc: „Muszę się stąd wydostać, bo inaczej umrę”. Ani razu nie obejrzałam się za siebie. Uciekłam do Colorado z chłopcem, z którym się wychowałam. Już po roku mieliśmy siebie dość, więc wyjechałam do Arizony, gdzie jakimś trafem znalazłam się w szkole kosmetycznej. Poznałam tam Davida. Pobraliśmy się i urodziłam Augie. Ta farsa trwała całe siedem lat. David próbował mnie przy sobie zatrzymać, mówił, że chce jeszcze jednego dziecka, chce, żebyśmy się razem zestarli. Odparłam, że nie mogę tak dłużej żyć, że umrę, jeśli jeszcze raz obudzę się rano, patrząc na tę samą, paskudną tapetę w gęsty wzór albo jeśli będę musiała wysłuchiwać, jak nasz sąsiad opowiada o tym, że okolica schodzi na psy.

– Zerwiemy tapetę – powiedział David. – Możemy się przeprowadzić – obiecał. Odremontowaliśmy więc sypialnię, a ja zaszłam w ciążę. Ale on wiedział. Rozumiał, że nie chodzi ani o tapetę, ani o sąsiadów. To my byliśmy problemem. A właściwie ja nim byłam. Nie mogłam znieść tego, że tam jestem, nie mogłam znieść bycia żoną, bycia uwięzioną na przedmieściach, które właściwie niczym nie różniły się od małego miasteczka w Iowa. David miał zranioną, pełną cierpienia minę, kiedy patrzył na PJ-a. Po dłuższym czasie ludzie zwykli patrzeć na mnie w ten sam sposób. Najpierw moja matka i ojciec. Zwłaszcza ojciec. Jaką poczułam radość, widząc jego minę, gdy powiedziałam, że życie na farmie jest jak piekło na ziemi i że każda kolejna minuta spędzona w Broken Branch to minuta znarnowana, wyrzucona w błoto, której już nigdy nie odzyskam. Moi starsi bracia nazwali mnie niewdzięczną egoistką. Matka płakała. Czulałam się źle z tego powodu. Ale to nie sprawiło, bym chciała zostać. O dziwo, ojciec pomógł mi zanieść walizkę do starego plymoutha arrow, na który od trzy nastego roku życia odkładałam co wakacje, urywając kwiatostany kukurydzy.

– Masz siedemnaście lat, Holly – powiedział ojciec. – Wydaje ci się, że na wszystko znasz odpowiedź, ale to, co robisz swojej matce, jest niewybaczalne.

– Nie zostanę tu ani jeden dzień dłużej – odparłam, nie będąc w stanie spojrzeć mu w oczy. W zamian utkwiliam wzrok w polu kukurydzy za jego plecami. – Nie potrafię tego wyjaśnić.

Ojciec milczał przez chwilę. Na głowie miał czapkę z logo maszyn rolniczych John Deere,

zsuniętą nisko, tak, że jego oczy osłaniał cień. Mimo to wiedziałam, że patrzy na mnie z dezaprobatą. Oparł się o drzwi bagażnika plymoutha i założył na piersi opalone ramiona.

– Wstydzisz się tego, że jesteś córką farmera? Wydaje ci się, że jesteś za dobra na takie życie? O to chodzi?

Z zawstydzeniem pokręciłam głową.

– Nie! Nie o to chodzi.

– Cóż, tak to wygląda z mojego punktu widzenia. Rozumiem, że chcesz podróżować, zobaczyć świat, ale nie ma potrzeby, abyś wyjeżdżała. Jakbyś całe życie czekała na to, żeby uciec od twojej matki i ode mnie.

Ale tak właśnie było, miałam ochotę powiedzieć, lecz trzy małam język za zębami.

– Kiedy tu jestem, czuję się źle we własnej skórze – próbowałam mu wyjaśnić, wiedząc, że ponoszę w tej kwestii sromotną klęskę.

– Myślisz, że to się zmieni, kiedy stąd wyjedziesz? Że nagle poczujesz się ze sobą lepiej?

– Tak. Tak właśnie myślę – powiedziałam, nieco wstrząśnięta faktem, że trafił w samo sedno. Byłam przerażona myślą, że gdziekolwiek bym nie skończyła, będę czuć dokładnie to samo. Że nie mogę zostać.

– Wrócisz – powiedział ojciec z przekonaniem, które sprawiło, że w piersi poczułam wściekłość.

– Wrócisz, a kiedy przyjdzie ten dzień, będziesz błagać matkę o przebaczenie.

– Nie wrócę – rzuciłam zaciekle. – Nigdy tu nie wrócę.

Ojciec pokręcił głową i zaśmiał się rechotliwie.

– Wrócisz, wrócisz – Wyciągnął do mnie ramiona, żeby uściśnąć mnie na pożegnanie, ale się odsunęłam. – Cóż, skoro przeleciałaś już każdego faceta w miasteczku, to rzeczywiście nie masz już tu zbyt wiele do roboty.

Wsiadłam do samochodu bez do widzenia. Wyjeżdżając z farmy, zerknęłam w lusterko wsteczne, w którym zobaczyłam ojca odwróconego do mnie plecami i otoczonego chmurą pyłu i żwiru, które wzbily się spod opon. Szedł już w stronę swoich krow, które w przeciwieństwie do mnie nigdy nie przysparzały mu rozczarowań i nigdy nie pyskowały.

Dotrzyłam słowa. Odkład wyjechałam z Broken Branch osiemnaście lat temu, ani razu tam nie wróciłam. Zastanawiam się tylko, czy nie zrobiłam czegoś jeszcze gorszego, posyłając tam swoje dzieci.

PANI OLIVER

Pani Oliver nie potrafiła oderwać wzroku od nieznanego, ale krzyki dzieci sprawiły, że w końcu odwróciła się od mężczyzny, którego twarz wydała się jej lekko znajoma.

Szesnaścioro z siedemnaściorga dzieci bezradnie wpatrywało się w panią Oliver, niektóre ze łzami w oczach, czekając na polecenie, co robić. Comiesięczne ćwiczenia na wypadek tornada czy pożaru w żaden sposób ich na to nie przygotowały. Nawet ćwiczenia alarmu czerwonego nie byłyby dobrym treningiem przed zetknięciem się z zaskakująco spokojnym, choć wyglądającym na nieco szalonego mężczyzną, który w dłoniach trzymał pistolet. Tylko jedno dziecko, PJ Thwaite, syn byłej uczennicy pani Oliver, wyjątkowo wzrokiem obserwował intruza i przyglądał się jego twarzy, jakby go dobrze znał albo może kiedyś go widział. Mężczyzna patrzył na PJ-a beznamiętnym spojrzeniem, co jeszcze bardziej zaniepokoiło panią Oliver.

Pani Oliver nie byłaby w stanie zliczyć zajęć, kiedy jako wychowawca musiała zachować zimną krew i udąć, że w pełni kontroluje sytuację. Pewnego razu, i to w dodatku podczas pierwszego roku pracy, siedmioletni Bert Gorse w ramach zakładu z kolegami postanowił wspiąć się na wysoką stalową zjeżdżalnię, po czym skoczyć z niej, próbując w locie złapać gałąź rosnącego w pobliżu klonu. Pani Oliver pamiętała, jak stojąc na drugim końcu placu zabaw, patrzy z przerażeniem na skaczącego Berta, który z zaciśniętymi powiekami wyciąga ręce ku gałęzi i przejeżdża palcami po szorstkiej korze.

– Do diabła! – krzyknęła, zanim zdołała się powstrzymać. – Otwórz oczy!

Nie mogąc chwycić gałęzi, Bert spadł z wysokości ponad trzech i pół metra na gołą ziemię. Pani Oliver powiedziała spokojnym tonem stojącej obok dziewczynce, żeby co sił pobiegnęła po pomoc.

– Pani powiedziała brzydkie słowo – wyszeptęła dziewczynka z nutą niedowierzania.

Pani Oliver pochyliła się nad nią tak nisko, że mogła poczuć zapach kanapki z masłem orzechowym, którą dziewczynka zjadła na lunch, i niskim, miarowym tonem, który przez czterdzieści lat pracy dawał do zrozumienia jej uczniom, że żarty się skończyły, powiedziała:

– Biegnij.

Próbując nie chybotać się w swoich nowych szpilkach, pani Oliver podbiegła do Berta tak szybko, jak tylko zdołała. Chłopiec leżał na brzuchu i się nie ruszał. Im była bliżej, tym luźniejszy stawał się ciasny krąg przerażonych chłopców, którzy go otaczali.

– Stańcie pod ścianą budynku – nakazała, a chłopcy od razu posłuchali. Pani Oliver uklękła, a kolana spodni jej nowego kostiumu pograżyły się w ziemi. Bert miał otwarte oczy, ale z bólu

albo szoku patrzył nimi nieobecnie.

– Żyje – powiedziała radośnie pani Oliver, a za jej plecami dzieci wydały z siebie głośne westchnienie ulgi. – Nic ci nie jest, Bert? – zapytała, ale usta chłopca tylko otwierały się i zamykały bezgłośnie jak u ryby wyrzuconej na brzeg. – Jesteś oszołomiony? – powiedziała tonem, który dzieciom dodawał otuchy. Pani Oliver położyła się na ziemi obok Berta, żeby lepiej widzieć jego bladą, przyciśniętą do ziemi buzię i by on lepiej widział jej okrągłą, opanowaną twarz.

– Wszystko będzie dobrze, Bert. Leż tylko spokojnie, aż nadjedzie pomoc – powiedziała kojącym głosem.

Bert przeżył, choć wszystko skończyło się złamaniem obu rąk i niedodmą. Kiedy chłopiec odzyskał sprawność w rękach, napisał do swojej nauczycielki przemyły list niezgrabną kursywą, w którym podziękował jej za to, że zaczęła z nim aż do przyjazdu karetki. Pani Oliver nadal miała ten list. Oprawiła go i powiesiła w pokoju, który jej córka Georgiana nazwała „Ołtarzykiem dla Pani Oliver”. Bert Gorse był teraz pięćdziesięcioletnim bankierem mieszkającym w Des Moines z żoną i trójką dzieci. Przez lata pani Oliver umocniła się jedynie w przekonaniu, że nauczyciel powinien pozostać opanowany bez względu na okoliczności. Z pewnością nie jak Gretchen Small, która niemal zaczęła się dusić, kiedy włączył się alarm pożarowy.

Pani Oliver wyprostowała się i stanęła pomiędzy PJ-em a mężczyzną z bronią, i zdobywając się na wyraźny, władczy ton, zapytała:

– Czego chcesz?

MEG

Zastanawiam się nad tym, czy uwierzyć Stuartowi, że w szkole znajduje się uzbrojony mężczyzna, i połączyć się z centralą, kiedy w pół drogi zatrzymuje mnie skrzeczenie CB-radia. To Randall Diehl, nasz dyspozytor.

– Musisz natychmiast jechać do szkoły. Mamy alarm.

Szkoła Marii. Cholera. Stuart miał rację.

– Co się dzieje? – pytam. Odkład się tu przeprowadziłam, alarm w szkole, w której uczą się dzieci od przedszkola do dwunastej klasy, podnoszono trzy razy. Niewiele już było takich szkół jak ta. Pod koniec roku jedyna szkoła w Broken Branch miała zostać zamknięta. Była zbyt droga w utrzymaniu i przestarzała, więc dyrektor i rada szkoły zagłosowali za połączeniem się ze szkołami z innych pobliskich miast. W przyszłości okręg szkolny Marii miał nosić nazwę Zespołu Szkół Dalsing-Conway-Bohr-Broken Branch.

Pierwszy alarm, z którym miałam do czynienia, miał miejsce dwa lata temu, kiedy z zakładu karnego w Anamosa uciekli więźniowie i podejrzewano, że znajdują się w naszej okolicy. Drugi zdarzył się, kiedy dwóch licealistów-zartownisiów zadzwoniło z informacją o nieistniejącej bombie. Nie przygotowali się do egzaminów końcowych i wymyślili, że to uchroni ich od pisania testów. Udało się im. Przy okazji wylecieli też ze szkoły.

– W szkole znajduje się potencjalny napastnik. Po prostu pojedź tam – mówi Randall ze zniecierpliwieniem, co zupełnie do niego nie pasuje. – Komendant jest na miejscu i poda ci szczegóły. Mamy komunikacyjny chaos. Linie alarmowe blokują telefony od uczniów, nauczycieli, przerażonych rodziców.

– Już się robi – mówię mu i włączam wycieraczkę, żeby pozbyć się śniegu. To ciekawe, że komendant McKinney jest już na miejscu. Zerkam na zegar. Ledwie minęło południe. To pewnie jakieś nieporozumienie, głupi uczniowski żart na rozpoczęcie ferii. Marii będzie smutno, że ominęła ją cała zabawa.

Zwracam radiowóz i jadę Hickory Street w stronę szkoły, ciesząc się, że mam się czym zająć, zamiast myśleć tylko o tym, że spędzę bez Marii całe cztery dni. Już sama świadomość sprawia, że czuję się pusta w środku, jakby coś wydrążyło moje wnętrze. Tim zawsze mówił, że nie może sobie wyobrazić mnie jako dziecka. Kilka fotografii z dzieciństwa ukazywało mnie jako poważną, ponurą wręcz istotę o rozczochranych włosach, w dzinsach po starszym bracie.

– Czy ty w ogóle się kiedykolwiek bawiłaś? – droczył się ze mną, kiedy po raz pierwszy zobaczył te zdjęcia.

– Pewnie, że tak – Oburzyłam się, choć w dużej mierze było to kłamstwo. Moje dzieciństwo składało się z troszczenia się o rodziców, którzy ze wciąż nieznanymi mi powodami byli całkowicie przytłoczeni życiem, oraz z usuwania się z drogi swojemu wybuchowemu bratu. Kiedy Timowi i mnie urodziła się Maria, postanowiłam sobie, że uczynię jej dzieciństwo tak radosnym i beztroskim, jakiego ja nigdy nie miałam. Myślę, że całkiem nieźle spełniliśmy to zadanie, przynajmniej do czasu rozvodu, ale nawet wtedy robiliśmy co w naszej mocy, żeby ją chronić. Nie kłóciliśmy się przy niej, nie mówiliśmy o sobie źle, ale ona i tak wiedziała. Jak mogłaby nie wiedzieć? Nawet jeśli nie rozeszliśmy się z hukiem, musiała przecież widzieć moje czerwone, zapuchnięte oczy i wymuszony śmiech Tima.

Po kilku minutach parkuję przed szkołą i widzę komendanta McKinneya razem z Aaronem Gritzem – który, co ciekawe, dziś nie ma służby – jak starają się powstrzymać małą, rozwścieczoną grupkę ludzi przed wtargnięciem do szkoły. Powietrze przesywa głęboki baryton McKinneya.

– Wracajcie do samochodów, bo inaczej wszyscy tu zamrzniemy. Musimy wiedzieć dokładnie, co się dzieje, a nie możemy tego robić, jeśli mamy się zajmować...

Przed tłum występuje kobieta, machając telefonem i rozedrganym głosem przerywa komendantowi.

– Właśnie zadzwonił do mnie mój syn i powiedział, że jest tam mężczyzna z bronią. Nie może ich pan stamtąd wyciągnąć?

– Na podstawie posiadanych informacji – cierpliwym głosem mówi komendant McKinney – ustaliliśmy, że najlepiej będzie otoczyć teren i nie wysyłać do środka funkcjonariuszy.

– Ale mój syn z siódmej klasy powiedział, że mężczyzna jest dwóch – mówi kolejna kobieta.

W naszą stronę biegnie mężczyzna ubrany w elegancką koszulę i krawat, bez płaszcza.

– Słyszałem, że w szkole jest bomba. Nie ewakuujecie?

– Na tym właśnie polega problem – zwraca się do mnie po cichu komendant McKinney, najpierw pokazując na szkołę, a potem na tłum. Na jego posiwiałych, szczeniastych wąsach zbierają się płatki śniegu. – Nie dowiemy się, co się dzieje w środku, jeśli będziemy opierać się na plotkach. – Odwraca się do tłumy plecami i obniża głos do szeptu. – Meg, dostaliśmy zgłoszenie od mężczyzny, który powiedział, że znajduje się w środku i jest uzbrojony. Kazał wszystkim trzymać się z daleka, bo inaczej zaczniesz strzelać. Teren szkoły mają ogrodzić barierki i taśmy. – Odwraca się do Gritza. – Aaron, odsuń wszystkich o jakieś sto metrów.

– Proszę państwa – mówi komendant zdecydowanym, ale nie konfrontacyjnym głosem. – Proszę stosować się do poleceń funkcjonariusza Gritza. Musimy zabrać się do pracy. Obiecuję, że jeśli tylko wejdziemy w posiadanie jakichś informacji, natychmiast je podamy.

Wiem, o czym myślą teraz wszyscy rodzice. Strzelanina w Columbine. Mnie też przyszła ona na myśl. Columbine zmieniło sposób reagowania przez służby porządkowe na tego typu sytuacje. Gdybyśmy mieli dowody na to, że przestępca w szkole zaczął strzelać, komendant natychmiast wysłałby jednostkę szturmową, by wyeliminować zagrożenie. Na szczęście w tym przypadku jeszcze do tego nie doszło. Jeszcze. Ponieważ podejrzany zadzwonił na policję i zagroził uczniom oraz wszystkim, którzy wejdą do budynku, do sytuacji podeszliśmy jak do przetrzymywania zakładników, co oznacza, że spróbujemy nawiązać kontakt z napastnikiem, dowiedzieć się, czego chce, i spróbować w spokojny sposób nakłonić go do odstąpienia od swoich planów. Jeśli tylko dojdzie do strzałów, wkroczymy do środka, ale na razie potrzebujemy więcej informacji.

– Czy odsunięcie rodziców siłą nie wywoła paniki? – pytam Aarona cicho, żeby nie słyszeli mnie zebrani.

– Myślę, że i tak są już spanikowani – odpowiada Aaron. Ma na sobie uszankę obszytą króliczym futrem, a jego nos jest czerwony od mrozu.

Tuż po finalizacji mojego rozvodu dostałam posadę funkcjonariuszki w Komendzie Policji w Broken Branch. Aaron znajdował się w komisji, która przeprowadzała ze mną rozmowę o pracę. Ma około czterdziestu lat, także się rozwiódł, ma dwójkę dzieci i jest bardzo przystojny. Podczas rozmowy zapytał mnie, dlaczego chcę się przeprowadzić do takiej małej miejscowości jak Broken Branch, skoro przy wykład do większego, bardziej rozwiniętego Waterloo.

– To, że Broken Branch to mała, rolnicza społeczność, jest powodem, dla którego właśnie chcę się tu przenieść. To idealne miejsce, by wychować tu córkę. – Postanowiłam nie mówić moim potencjalnym współpracownikom, że potrzebowałam oddalić się od Tima i naszego rozvodu. Waterloo wcale nie było takim wielkim miastem. Za każdym rogiem spotykałam kogoś, kto znał mojego byłego męża, moich rodziców, został oszukany przez mojego brata. Poza tym harmonogram pracy na komendzie w Waterloo był ciężki dla samotnej matki. Broken Branch znajdowało się tylko godzinę od Waterloo, więc Tim był wystarczająco blisko, by mógł często widywać Marię.

Zakochałam się w Broken Branch wiele lat wcześniej, kiedy przejeżdżaliśmy przez miasto po drodze do Des Moines. Zatrzymaliśmy się, żeby kupić miód od staruszka, który sprzedawał słoiki złotego płynu z przyczepy swojego pikapa.

– Skąd Broken Branch ma swoją nazwę? Jest bardzo nietypowa – zapytałam.

– To wspaniała historia – powiedział mężczyzna, wkładając szklany słoik koniczynowego miodu, plastikowe rurki z miodowym napojem oraz świecę z wosku pszczelego domowej produkcji do torby, którą podał Timowi. – Ludzie mówią, że nazywa się tak, bo pierwsi osadnicy, biedni i wygłodzeni, napotkali tu wielkie, powalone drzewo, długie na ponad piętnaście metrów, w którym znajdował się wielki ul. W środku i wokół drzewa fruwały tysiące pszczoł. Chcąc dostać się do miodu, który był w środku, wezwali na pomoc starą kobietę, która ponoć miała swój sposób na pszczoły. Podobno podeszła do pustego konaru i zaczęła śpiewać dziwną, obcą pieśń, na co wszystkie owady przestały bzyzczeć i poleciały za staruszką. Nie użądliła jej ani jedna pszczoła. Kobieta poprowadziła je do innego powalonego drzewa, które znajdowało się nad strumieniem, a one stworzyły tam sobie nowy dom. Osadnicy zebrali cały miód ze złamanego konaru i dzięki niemu przetrwali zimę. Byli tak wdzięczni staruszce, że obiecali nazwać osadę jej imieniem, na co ona odparła, że powinni być wdzięczni pszczołom i drzewu, w którym mieszały. Uszanowali więc jej życzenie i nazwali miasteczko Broken Branch.

Byłam całkowicie oczarowana tą historią i kiedy z Timem przyglądaliśmy się spokojnym ulicom pełnym skromnych domów i wysokich drzew, wiedziałam, że wrócę do Broken Branch. Nie wiedziałam jednak, że wrócę tu na stałe.

Na szczęście zrobiłam wrażenie na komendantce McKinneyu, Aaronie i reszcie komisji i zaoferowali mi pracę.

Kilka miesięcy później ja i Aaron poszliśmy razem do miejscowego baru po meczu softballa, w którym grałam na pierwszej bazie. Raziło mnie słońce, byłam głodna, wypilałam dwa cienie piwa i w jednej chwili, chyba najbardziej żenującej chwili w moim życiu, postanowiłam pocałować Aarona. Delikatnie odsunął mnie od siebie i powiedział mi, że nie jest zainteresowany.

– Jestem nudna i zbyt poważna, prawda? – zapytałam. Popatrzył na mnie przeciągle.

– Nie, Meg, nie jesteś nudna, jesteś świetna. To po prostu nie jest najlepszy pomysł – powiedział i poszedł sobie. Choć od tamtego upokarzającego spotkania minęło kilka lat, a Aaron nigdy nie wspomniał o nim słowem, nadal robię się czerwona jak cegła, gdy o nim pomyślę.

Idąc do radiowozu po rolkę taśmy policyjnej, znów czuję, jak wibruje mi telefon. Stuart. Nie daje ja wygraną. Tym razem to SMS. Postanawiam go zignorować i zaczynam ogradać teren.

Poznałam Stuarta w styczniu, kiedy Maria i ja jeździłyśmy na nartach biegowych po Ox-eye Bluff. Maria, która dopiero uczyła się jeździć, zbyt wiele razy upadała. Kroplą, która przepelniła czarę, był fakt, że po tamtym upadku Marii jej narty utknęły w ciernistych krzewach przy szlaku. Kiedy w końcu udało mi się ją wy dostać, zdążyła się już tak zacie trzewić, że nie chciała ani z powrotem założyć nart, ani nawet wyjść z doliny. Siedziałyśmy tak przez dwadzieścia minut, lży zamarzały Marii na policzkach, aż w końcu szlakiem podjechał do nas jakiś narciarz.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak – odparłam. – Małe kłopoty ze sprzętem. Odpoczywamy.

– Mama nie może cię dogonić, co? – powiedział mężczyzna do Marii, wywołując na jej twarzy pierwszy uśmiech tego popołudnia. – Tak właśnie się dzieje, kiedy ludzie się starzeją. – Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo. – Nie są w stanie dotrzymać kroku nam, młodzieniaszkom.

– To ile twoim zdaniem mam lat? – zapytałam, mrużąc oczy.

– Zgadywać byłoby niegrzecznie. – Pociągnął nosem, po czym uśmiechnął się do mnie łobuzersko. – Może pomożesz mi ją podnieść – powiedział do Marii. – Jeśli pozwolimy jej tu dłużej zostać, zaczną się zbierać wilki.

Już miałam mu powiedzieć, że jestem od niego przynajmniej piętnaście lat młodsza i z zamkniętymi oczami zastrzelilibym dzikie zwierzę z odległości dwustu metrów, ale ku mojemu zaskoczeniu Maria szybko poderwała się na nogi i wyciągnęła do mnie rękę, żeby pomóc mi wstać.

– Chodźmy, mamó – powiedziała. – Chyba słyszę, jak wyją.

– W dolinie nie ma wilków – powiedziałam, wyciągając ręce do nieznanego i Marii, aby pomogli mi wstać. – Wydaje mi się, że w całym Iowa nie ma wilków. Kojoty owszem, ale wilki nie. – Mężczyzna był wysoki, miał przynajmniej metr osiemdziesiąt wzrostu, wysportowany, o smukłej twarzy i krótkich, brązowych włosach, pomiędzy którymi pobły skwiała siwizna.

Przyłapał mnie na tym, jak mu się przyglądam, i się zarumienił.

– Jest przedwczesna.

– Na pewno – powiedziałam, unosząc brwi. Razem zjechaliśmy do końca szlaku i wyszliśmy z doliny, gdzie zostawiłam samochód. Nie rozmawialiśmy zbyt wiele, ale dowiedziałam się, że mężczyzna nazywa się Stuart Moore i pisze do „Des Moines Observer”, największej gazety w stanie. W rozmowę udało mu się także wpleść, że ma trójkę dorosłych dzieci i że jest w separacji, a rozwód wstrzymuje jego żona.

– Nie wyglądasz na tyle lat, żebyś mógł mieć troje dorosłych dzieci – powiedziałam z udawanym niedowierzaniem.

– Cóż, żeniłem się jako dziecko – odparł, podczas gdy ja przypinałam narty do dachu samochodu.

– Musiałeś mieć chyba z dwanaście lat, prawda? – drwiłam w najlepsze.

– Mniej więcej. – Zaśmiał się.

– Co cię tu sprowadza? – zapytałam. – Des Moines jest półtorej godziny drogi stąd.

– Właściwie to mieszkam na przedmieściach po południowej stronie, więc nie jest już aż tak daleko. Jeździłem na nartach w całym Iowa, Minnesocie i Wisconsin. W Ox-eye znajdują się jedne z najlepszych szlaków, ale mało ludzi o tym wie. Prawie zawsze jest cały dla mnie.

– Aż do teraz – cieniutkim głosem włączyła się Maria.

– Aż do teraz – przytaknął Stuart.

Stuart i ja nie spieszyliśmy się. Przynajmniej na początku. Nadal nie wylizaliśmy ran po rozwodzie i opokarzającym odrzuceniu przez Aarona, musiałam też myśleć o Marii. Tamtej zimy spotykaliśmy się przypadkiem w Ox-eye i biegaliśmy razem na nartach albo chodziliśmy w rakietach śnieżnych. Wiosną i latem niespotykanym zbiegiem okoliczności spotykaliśmy się w Ox-eye na pieszych wędrówkach. Czasem z Marią, czasem bez.

Przespaliśmy się ze sobą dopiero jakieś dwa miesiące temu. Maria spędzała weekend u Tima. Śniegu było za mało na narty, więc po raz pierwszy zaprosiłam go do siebie. Bycie ze Stuartem, to, jak mnie dotykał, jak odgarniał mi pasma włosów za ucho, sprawiało, że czułam się bezpieczna i potrzebna. Opowiedział mi w zaufaniu, jak jego już wkrótce była żona miała romans z jednym z jego kolegów z pracy, jak to go załamało, jak zniszczyło jego rodzinę. Jak rozwód w końcu przeszedł w finałny etap. Opowiedziałam mu o mojej pracy w policji w małym miasteczku, o Timie i powolnym wypalaniu się naszego małżeństwa. Wypiliśmy za dużo wina i przez trzy godziny nie myślałam o pijanych kierowcach, laboratoriach amfetaminy czy sporach o miedź. Nie myślałam o Timie ani nawet o Marii. Zaprowadziłam Stuarta do mojej sypialni i zapomniałam o reszcie świata. Przez jakiś czas myślałam, że może Stuart i ja mamy szansę na wspólną przyszłość. Jak strasznie się myliłam. W ciągu tylko kilku dni dowiedziałam się o Stuarcie dwóch bardzo ważnych rzeczy: jest żonaty i zrobi wszystko dla dobrego tematu. Nie sądzę, aby zaplanował sobie wykorzystanie mnie, by zdobyć materiał na artykuł. Ale nadarzyła się okazja, a on ją wykorzystał.

Kończę rozwijać złotą taśmę, która na tle białego śniegu mogłaby się wydać jaskrawa, a nawet radosna, gdyby nie czarny napis: LINIA POLICYJNA. NIE PRZEKRACZAĆ.

WILL

Tamtego poranka Will założył na siebie najcieplejszy kombinezon przy zdecydowanym proteście swoich siedemdziesięcioletnich stawów. Zawiązał mocno skórzane, robocze buty, naciągnął na głowę czarno-żółtą, zimową czapkę, którą Marlys zrobiła mu na drutach wiele lat temu, a swe potężne, szorstkie dłonie skrył w ocieplanych rękawicach ze świńskiej skóry. Ruszył w stronę obejścia, mijając po drodze metalowe kontenery, pełne kukurydzy i ziaren soi, i betonowy silos. Poranek był spokojny i cichy. Zimna i mdła kula słońca wzniosła się na szarym niebie, dając słabe światło. Kiedy doszedł do tuczarni i wybiegu dla jałówek, trochę brakowało mu tchu, a serce biło mu mocno z wysiłku. Wiedział, że kiedy Marlys wróci do domu, będzie chciała zabrać go do lekarza, a on powie „nie”.

Krowy rasy angus zbliżyły się do niego z wyczekiwaniem, mierząc go swoimi wielkimi, łagodnymi oczami. Kiedy Will nachylił się, by sprawdzić koryta, zobaczył, że wylizwały je do czysta. Jego podopieczne były głodne. Gdy to samo zastał w zagrodach, spojrzął na zegarek. Znow się spóźnił. Opieszale skierował się do stodoły, gdzie uważnie wymieszał paszę dla zwierząt, mieszankę siana, ziaren, pustych kolb kukurydzy i glutenu kukurydzianego. To dobrze, że miał Daniela, wynajętego pracownika, który zdołał już oczyścić padoki i rozpostarał świeże siano na zamrożonej ziemi.

Zaniedbywanie obowiązków na farmie zupełnie nie pasowało do Willa, ale bez Marlys wszystko, co robił, odbiegało nieco od zwyczajowego planu.

Zbliżała się trzynasta i Will kończył obchód, podczas którego sprawdzał wszystkie cielne krowy. Tego nie mógł przełożyć na później. Nie chciał mieć na sumieniu martwych zwierząt.

Wieczne telefony, zawsze o dziewiętnastej trzydzieści czasu w Iowa, siedemnastej trzydzieści w Arizonie, były najgorsze. Najpierw słuchawkę dostawał PJ i opowiadał, jak bardzo podoba mu się na farmie, jak lubi śnieg i jazdę saniami, nową szkołę, aż w końcu Will delikatnie odbierał mu telefon i przekazywał go Augie, która stała nerwowo obok i obgryzała paznokcie.

– Cześć, mam – mówiła Augie głosem gęstym od lez i czegoś jeszcze – żalu, może poczucia winy. Dalej następowała seria potakiwań, zaprzeczeń, „okej”. Żadnych opowieści o życiu w Broken Branch, krótkie, urywane odpowiedzi. Augie oddawała słuchawkę Willowi i wybiegała z domu lekko ubrana – tylko w bluzie z kapturem i tenisówkach. Will nie był pewien, dokąd uciekała, ale przypuszczał, że był to stary strych na siano w południowej stodole. Tam zawsze chowała się jej matka, kiedy było jej źle.

Na końcu następowała kolej Willa.

– Jak się masz? – pytał. – Czujesz się dziś lepiej?

„Tak, lepiej”, odpowiadała Holly grubym głosem, jakby miała spuchnięty język albo była pod wpływem leków. Obie opcje były dość prawdopodobne.

– PJ-owi naprawdę spodobało się mieszkanie na farmie. Kto by pomyślał? Bardzo mi pomaga. Zadaje dużo pytań.

– Cóż, to chyba dobrze.

– Augie za to jest prawdziwą mieszczką. Bardzo mi cię przypomina – powiedział Will, uśmiechając się. Bez odpowiedzi. – Tęsknię za tobą, ale dbam o nich. Nie martw się o to, dobrze?

– Okej.

– Lepiej szybko zdrowiej, Hol. Kocham cię.

– Pa.

Nie był zbyt wylewnym mężczyzną. Nie był typem, który lubi się przytulać. Ale odkąd pod jego dachem znalazły się dzieci, nie było dnia, żeby nie powiedział im, że je kocha. Kiedy był w Wietnamie, ujrzał dolę umierających żołnierzy, służąc jako porucznik Chłopaków, którzy daliby wszystko, by jeszcze raz móc powiedzieć swoim żonom, dzieciom, rodzicom, że ich kochają. Co wieczór Will chodził do pokoi swoich synów i mówił każdemu z osobna, że ich kocha. Kiedy byli mali, wszyscy, nawet Holly, rzucali mu się w objęcia, przyciskając swoje umyte buzie do jego szyi i wciągając nosem złożone, ziemiste zapachy farmy, które wydobywały się z jego porów. Kiedy chłopcy byli starsi, rzucali niedbale „Też cię kocham, tato” i Willowi to wystarczało. Jeśli te słowa padły, mógł spać spokojnie. Holly, jego najmłodsze dziecko, to zupełnie co innego. Kiedy miała dwanaście lat, coś się zmieniło. Już nie patrzyła na niego oczami małej dziewczynki, która uwielbia swojego ojca, tylko spode łba, spod krytycznie przy mrużonych powiek „Kocham cię, Hol”, mówił, stając w drzwiach jej sypialni, ale nie przekraczając progu krainy lakierów do paznokci i stert ubrań.

– Dobranoc – odpowiadała, nie patrząc mu w twarz, z irytacją przerzucając strony magazynów o modzie.

– Kocham cię, Holly – powtarzał trochę głośniej.

– Mhm – odpowiadała w rozstargnieniu, na co w jego piersi zapalała się iskierka gniewu.

Z czasem przestał nawet otwierać drzwi do jej sypialni, by powiedzieć Holly „dobranoc”. Dwukrotnie pukał do drzwi.

– Dobranoc, Holly. Kocham cię – wołał przez zamknięte drzwi i szybko odchodził. Nie mógł znieść pogardy, jaka malowała się na jej twarzy, nie mógł znieść tego, że nie słyszy w odpowiedzi tych dwóch słodkich słów. I oto znowu, osiemnaście lat później, mówił „kocham cię” do córki, która nie mogła znaleźć ani jednego dobrego powodu, by odpowiedzieć mu tym samym.

Kiedy skończył karmić bydło, pojechał do dużej obory, dokąd kilka dni wcześniej wraz z Danielem przeprowadzili cztery cielne krowy. Do połowy maja miało się urodzić ponad sto cieląt. Mimo schronienia, jakie dawały ściany obory, do środka nadal dostawało się zimno i Will martwił się, że cielęta nie wytrzymają niskich temperatur.

Will poklepał gładki zad jałówki. Będzie musiał przez cały dzień jej pilnować. Spodziewał się, że do wieczora urodzi. Słyszcząc wołanie, uniósł głowę. Daniel machał rękami, biegnąc w jego stronę. Daniel Tucker był zrównoważonym, dokładnym mężczyzną w wieku około lat trzydziestu, nieżonatym i całkowicie oddanym zwierzętom i ziemi. Był dla Willa wielką pomocą, z bydlęm obchodził się spokojnie i łagodnie, można było na nim polegać i nie bał się ciężkiej pracy. Poza

pomaganiem Willowi na farmie Daniel wynajmował od niego ziemię, na której hodował uprawy, marząc o tym, by kiedyś posiadać na własność choćby mały fragment Iowa. Daniel był coraz bliżej, jego spokojną twarz przecinały pełne zmartwienia zmarszczki. Will zdał sobie sprawę, że musiało wydarzyć się coś złego.

– Szkoła – bez tchu wydusił z siebie Daniel. Policzki miał czerwone, a od przesywającego mrozu ciekło mu z nosa. – Coś się dzieje w szkole – powiedział znowu, podcierając nos rękawem.

– Ale co? – Will poczuł, jak przyspiesza mu puls i z wyrzutem sumienia zdał sobie sprawę, że od razu pomyślał o PJ-u. O Augie chwilę później.

– Jest tam jakiś człowiek z bronią – powiedział Daniel i ściągnął z głowy czapkę. – Właśnie dzwoniła moja siostra, mam tam siostrzeńca i siostrzenicę. Jest przerażona. Powiedziała, że przed szkołą stoi tłum rodziców, którzy chcą się dowiedzieć, o co chodzi.

– Moja synowa uczy czwartą klasę w tej szkole – powiedział Will, także ściągając czapkę. – Muszę zadzwonić do syna. Chcesz być teraz z siostrą? – zapytał Will, przy gryzając wargę.

– Pomyślałem, że będziesz chciał sprawdzić co z PJ-em i Augie – odparł Daniel, sięgając do kieszeni po chusteczkę i smarując w nią mokrym katarem. – I oczywiście co z żoną Todda.

– Dziękuję, Danielu – odpowiedział Will. – Numery 97 i 187 dziś się ociela, choć nie wiem o której. Będziesz ich pilnował? – zapytał Will, pokazując na barczystą krowę rasy black baldy, której spuchnięty bok i wymiona wyglądały, jakby zaraz miały eksplodować.

– Jasne – powiedział Daniel, klepiąc swojego szefa po ramieniu. – Jeśli czegoś się dowiesz, daj mi znać.

Wracali do domu szybkim krokiem, ale w milczeniu. Jedynymi dźwiękami były świst wiatru pomiędzy budynkami i łagodne odgłosy bydła, które z pełnymi brzuchami tuliło się do siebie, próbując się ogrzać.

– Kto mógłby zrobić coś takiego? – zapytał Daniel w końcu, znów naciągając czapkę na uszy.

Will pokręcił głową, skonsternowany. Znał każdego, kto mieszka w Broken Branch, i choć uważał, że jest wśród nich kilku wrednych, szalonych drani, nie mógł sobie wyobrazić, by którykolwiek z nich wszedł do szkoły z bronią.

– Nie wiem, Danielu. Pojadę się czegoś dowiedzieć – zapewnił go i wszedł do domu. Will nie pomyślał nawet, żeby przebrać się z kombinezonu albo zmienić brudne robocze buty. Wziął jedynie komórkę, z której rzadko korzystał. Następnie, nieświadomy stróżek odchodów i obornika, jakie ciągnęły się za nim po dywanie Marlys, wszedł do swojego małego biura. Przekręcił zamek sejfów, otworzył go i wyciągnął strzelbę Mossberg 500 i włożył sobie do kieszeni pudełko naboje. Na wszelki wypadek

AUGIE

Pan Ellery wychodzi z sali, a za nim do drzwi ruszają Noah i Justin.

– Siadać. I to już – nakazuje nauczyciel poważnym głosem i nawet Noah wie, że należy go słuchać.

– Co się dzieje? – nerwowo pyta Beth Cragg, obgryzając skórki paznokci. Beth to jedyna osoba w Broken Branch, która jest mi bliska. Nasze babcie się przyjaźnią i bez powodzenia próbowały uczynić z naszych mam przyjaciółki, kiedy te były w naszym wieku. Chyba pomyślały, że nastąpiła ich druga szansa, bo ledwie dziesięć minut po tym, jak PJ i ja pojawiliśmy się na farmie, do drzwi zapukała Beth i jej babcia z talerzem cytrynowych ciasteczek. Ale to ja miałam kwaśną minę, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Beth. Wydawałyśmy się od siebie bardzo różnić. Beth to prawdziwa wiejska dziewczyna. Na co dzień nosi dżinsy i bluzy z logo John Deere albo koszulki reklamujące sklep z paszą McGee. Beth jest jedną z tych naturalnie pięknych dziewczyn, które nie mają pojęcia o swojej urodzie. Ma piegi i wiąże w kucyka albo zapłata w warkocz swoje lśniące, brązowe włosy, które zwisają jej z ramienia jak gruba lina. Za każdym razem, kiedy ja próbuję zapleść tak moje włosy, wyglądają jak ogon anorektycznego szczura. Chłopcy z ósmej klasy ją uwielbiają, bo nadal interesuje ją ganieńcie za żabami i puszczanie kaczek po strumyku, bo należy do organizacji pomagającej zwierzętom i hoduje cielaki, które potem wystawia co lato na regionalnej wystawie. Dużo wie o uprawach i broni, chodzi z ojcem polować na bażanty i jelenie. Z wyjątkiem tego roku, bo jej rodzice postanowili się rozwieść. Przez ostatnie dwa miesiące bardzo się zaprzyjaźniłyśmy. Beth jest miła i umie słuchać, a poza tym była jedyną osobą, która nie naśmiewała się z tego, jak ufarbowałam sobie włosy na czerwono. Nie to co PJ i dziadek. To świadczy o prawdziwej przyjaźni. Mamy też coś wspólnego – naszych rodziców. Moi się rozwiedli, a jej właśnie się rozwodzą. Słucha mnie, kiedy narzekam na to, że musiałam wyjechać z Arizony i zamieszkać z dziadkiem, a ona użala się nad tym, jaka smutna jest jej mama i jak ojciec próbuje wzbudzić w niej wyrzuty sumienia za to, że stanęła po jej stronie.

– Co się dzieje? – jeszcze raz pyta Beth trzęsącym się głosem. Czuję, jak ze strachu przewraca mi się w żołądku i myślę o PJ-u. Potem myślę o mamie, która jest w Revelation i w tej chwili nie ma rzeczy, której pragnęłabym bardziej, niż móc z nią porozmawiać. Telefon mam w plecaku, który znajduje się w szafce na korytarzu i zastanawiam się, czy pan Ellery pozwoli mi po niego pójść.

– Mamy stan alarmowy – mówi pan Ellery poważnym tonem, gdy wraca do sali. – To nie są ćwiczenia. – Przechesuje dłonią swoje czarne włosy i gładzi kocią brodkę. Zamyka drzwi do klasy

i wciska okrągły przycisk, którym zamyka nas od środka. No to z półścia po telefon nici.

– Co pan robi? – pyta Noah, zaskoczony.

– Ciii, myślę. – Pan Ellery przygryza wargę i wygląda przez małe okienko w drzwiach klasy, po czym odwraca się do nas. – Cofnijmy się w tamten róg. – Wskazuje na miejsce za jego biurkiem, najdalej od drzwi i okien.

– Czy to jakiś intruz z pistoletem? – pyta Felicia, otworzywszy szeroko oczy.

– O, Boże – szepcze ktoś za moimi plecami.

– Tego nie wiemy – szybko odpowiada pan Ellery.

– Nie możemy tu po prostu siedzieć i czekać, aż ktoś nas powystrzela – mówi Noah ze złością, a do mnie znów dociera, jakim strasznym jest palantem.

– Nie, zostajemy tutaj. Dopóki nie dostaniemy sygnału, że jesteśmy bezpieczni, nikt stąd nie wyjdzie.

Noah robi minę, jakby chciał z tym dyskutować, ale kiedy jeden po drugim wszyscy zaczynają przechodzić za tyły klasy i usadawiać się w niewielkiej przestrzeni pomiędzy biurkiem nauczycielskim a ścianą, postanawia pójść za nimi.

– Chłopcy powinni usiąść na zewnątrz – mówi Savannah.

– Mam to w dupie – odpowiada Noah, wpatrując się w nią. – Nie mam zamiaru być niczyją tarczą. Chcę być tak blisko okna, jak tylko mogę. Jak tylko nadarzy się okazja, spadam stąd.

– Hej, Noah, wyluzuj trochę – mówi pan Ellery. Mam wrażenie, że sam nie miałby nic przeciwko, żeby wyczołgać się przez okno. – Nikt nie będzie niczyją tarczą. Czy komuś nie przeszkadza siedzenie na zewnątrz? – W górę wędruje pięć dłoni, w tym Beth i Drew. Powoli unoszą i moją. – Okej, dzięki – mówi pan Ellery. – A teraz niech wszyscy usiądą i ani słowa. – Wyłącza światło i wewnątrz sali robi się szare jak chmury na zewnątrz.

Siadam na twardym linoleum i opieram się plecami o biurko pana Ellery'ego. Beth siada po mojej jednej stronie, a Drew po drugiej. Pan Ellery najpierw podchodzi do okien i opuszcza rolety, po czym sięga po telefon, który leży na jego biurku, przykłada słuchawkę do ucha i się rozłącza. Siada na biurku, a jego długie nogi ledwie dotykają podłogi.

– Telefon nie działa – mówi. Po chwili wyciąga z kieszeni komórkę i wybiera trzy cyfry.

Po kilku sygnałach mówi w końcu:

– Tu Jason Ellery, dzwonię ze szkoły. Coś tu się dzieje. – Przez chwilę słucha. – Tak, wszyscy jesteśmy bezpieczni. – Znów słucha i bierze dziennik, który trzyma na biurku. Jedno po drugim, wyczytuje nasze nazwiska w porządku alfabetycznym. Moje nazwisko wypowiada na końcu, pewnie dlatego, że dołączyłam do klasy w połowie roku.

– Augustine Baker – mówi i słyszę, jak Noah prychnie ze śmiechu. – Wnuczka Willa Thwaite'a.

– Znów zapada cisza, kiedy słucha. – Telefony w szkole nie działają, a moja komórka jest naładowana do połowy. – Na chwilę opuszcza słuchawkę i mówi wyraźnym szeptem: – Ktoś ma ze sobą swoją komórkę? – Nikt się nie odzywa. Mamy trzymać komórki w szafkach i nie przynosić ich na lekcje. Podobno jacyś uczniowie używali telefonów, żeby na klasówkach szukać odpowiedzi w Internecie i pisali SMS-y na lekcjach. – Dajcie spokój – powiedział trochę głośniej. – Nie mamy na to czasu. Czy ktoś z was ma teraz ze sobą telefon? – W górę unoszą się trzy dłonie, w tym Noaha Pluma. Nie jestem zaskoczona. – Wyłączcie je i dajcie mi.

– Nie ma mowy – prychnie Noah. – To mój telefon.

– Noah, ja nie żartuję – mówi ostro pan Ellery. – Nie wiemy, ile przyjdzie nam tu siedzieć.

Szkolne telefony nie działają, więc musimy oszczędzać baterie telefonów, które mamy.

– Chcę zadzwonić do mojej mamy. – Beth wtrąca cicho. – Mogę zadzwonić do mamy?

– Ja też chcę – mówi ktoś, co rozpoczyna cały chór „ja też”, aż w końcu słyszę w nim i mój głos. Porozmawiać z mamą to jedyne, czego teraz chcę. Nie byłabym tak oschła jak przez minione dwa miesiące, kiedy odpowiadałam na jej pytania w maksymalnie trzech słowach. „Chyba okej”. „Nie wiem”. „Tak”.

– Nie mogę ci tego zabronić, ale możemy tu długo zostać. Dystryktor wie, że nikomu nic nie jest i da znać waszym rodzicom. Ktoś do nas oddzwoni, kiedy będą mieli więcej informacji. – Pan Ellery wzrusza ramionami i czeka.

Noah momentalnie zaczyna wciskać cyfry w telefonie i zanim zdolałam się powstrzymać, szepczę głośno:

– Co za idiota.

– Zamknij się, Augustine – odburkuje, ale zamyka kłapkę telefonu i kładzie go obok pana Ellery’ego. Inni, którzy mają komórki, robią to samo.

– Dzięki – mówi pan Ellery. – Oddam je wam, kiedy będziecie chcieli. Teraz musimy czekać.

– Siada na biurku. Bierze w dłonie długą, drewnianą wskazówkę, którą zwykle pokazuje nam stolice krajów, których nikt z nas pewnie nie zapamięta, i zastanawiam się, czy naprawdę uważa, że prostym kijkiem obroni nas przed tym, co nas czeka. Ale mimo to cieszę się, że tu jest. Pan Ellery nie pozwolił, by stało się nam coś złego.

MEG

Wracając na parking, zauważam Dorothy Jones, właścicielkę Pomysłowych Robótek, miejscowego sklepu z materiałami dla rękodzielników, i przewodniczącą rady szkoły, która zmierza w moją stronę.

– Witaj, Dorothy, nie mam żadnych informacji. Będziesz musiała cofnąć się za taśmę.

– Meg – mówi błagalnym tonem. – Zajmę ci tylko kilka minut. To ważne. – Zapraszam ją do radiowozu. Obchodzi cruisera, otwiera drzwi po drugiej stronie auta i wsiada do środka.

Dorothy, około pięćdziesiątki, ma kruczoczarne włosy, przycięte na idealnie równego boba, a jej eklektyczny, modny styl dodaje jej atrakcyjności. Zwykle maluje usta jaskrawą, czerwoną szminką i ubiera artystycznie porwane jeansy i tenisówki od Chucka Taylora, ale dziś na jej twarzy nie ma ani śladu makijażu i ubrana jest w dresy oraz cienką wiosenną kurtkę. Mieszka w Broken Branch od nieco ponad dwóch lat, ale wiele dokonała w tym krótkim czasie. Samotnie wychowywała dwoje nastoletnich dzieci, kiedy otworzyła Pomysłowe Robótki, odnowiła starą farmę na południe od miasta i została wybrana do miejscowej rady szkolnej, pozbawiając miejsca Clementa Heitzmana, który był przewodniczącym od dwunastu lat. Dorothy odegrała też znaczącą rolę w doprowadzeniu do połączenia kilku szkół z okolicy, co teraz miało zakończyć się zamknięciem szkoły w Broken Branch, posłaniem licealistów do pobliskiego Conway, gimnazjalistów do Bohr, a uczniów szkoły podstawowej do Dalsing lub Broken Branch w zależności od tego, gdzie mieszkają. Budowa nowej podstawówki w Broken Branch ma zostać zakończona w lipcu, by placówka mogła rozpocząć działalność z końcem sierpnia. Wielu mieszkańców jest urażonych faktem, że Dorothy zamyka ich ukochaną szkołę, bo większość z nich uczęszczała do niej od pierwszej do ostatniej klasy. Jako w pewnym sensie osoba z zewnątrz, jestem w stanie zrozumieć powody stojące za zamknięciem szkoły. To kolos, którego ogrzanie zimą jest niemożliwością, i w którym w ciepłe miesiące wszyscy się duszą. Bojler i piec są stare jak świat i jestem pewna, że sufity wypełniają tony azbestu. Dorothy wraz z dyrektorem szkół w jakiś sposób przekonała resztę rady, że dzięki połączeniu czterech obszarów szkolnych dzieci otrzymają dobre wykształcenie i będą bezpieczne.

Dorothy cieżniej otula się kurtką.

– Nie powinnam była chować jeszcze zimowych ubrań. Wiosenna pogoda z zeszłego tygodnia mnie zwiodła. – Posyła mi złośliwy uśmiech. Staram się nie okazywać zniecierpliwienia, ale nie ulega wątpliwości, że nie mam czasu na rozmowy o pogodzie z przewodniczącą rady szkoły. Odwzajemniam uśmiech, ale nie reaguję na jej słowa. Dorothy bierze głęboki wdech i patrzy mi

w oczy. – Nie mogę być niczego pewna, ale uznałam, że powinnaś wiedzieć o kilku rzeczach, które działy się w szkole. Rzeczach, które mogą mieć pewien związek z tym, co dzieje się teraz.

– To znaczy?

– Właściwie to nie powinnam o tym wspominać. Rozmowy, jakie przeprowadziliśmy, miały miejsce podczas sesji zamkniętych rady szkolnej.

Zaczynam się niecierpliwić.

– Dorothy – mówię – jeśli wiesz o czymś, co może nam pomóc uporać się z sytuacją, musisz mi o tym powiedzieć.

– Mogę mieć przez to wielkie kłopoty. Chodzi o kwestie prawne, są w to zaangażowani prawnicy.

– Dorothy – mówię ostrzegawczym tonem.

– Wiem, wiem. – Kobieta zagryza wargę. – W zeszłym roku mieliśmy problem z jednym z nauczycieli. Został oskarżony o napaść na ucznia.

– Rick Wilbreicht. – Przy pominięciu siebie. – Pamiętam tę sprawę. Myślałam, że przeniósł się do Sioux City, ale na pewno to sprawdzimy. Dziękuję. – Klepię ją po ramieniu i czekam, aż wysiądzie z auta, ale kobieta ani drgnie.

– Dorothy, naprawdę nie mam czasu.

– Okej. – Dorothy robi głośny wydech. – Wiem o sytuacji związanej z jednym z uczniów. Poważne zękanie się. Wyzwiska, przepychanki, bicie.

– Naprawdę? – pytam zaskoczona. Nie jestem na tyle naiwna, by myśleć, że zękanie się nie jest w tej szkole problemem, ale pomyślałabym, że zgłosiliby nam jakikolwiek przypadek fizycznej napaści. Ale mimo wszystko nadal nie mam na to czasu, chyba że ta informacja w bezpośredni sposób odnosi się do sprawy. – Zmierzamy z tym do czegoś, Dorothy?

– Uczeń wielokrotnie informował o tym nauczyciela, ale nic się nie zmieniło.

– Uważasz, że ten uczeń na tyle stracił nad sobą panowanie, że poszedł do szkoły z bronią szukać zemsty? Czy te prześladowania były aż tak ciężkie?

– Mówił, że borykał się z tym cały czas. O jego orientacji seksualnej publikowano posty w Internecie. W sieci jest też filmik, w którym kilku innych uczniów go bije. – W jej niebieskich oczach zaczynają zbierać łzy i kobieta zaczyna się trząść, choć w samochodzie jest ciepło, a z wywietrzników bucha gorące powietrze. Przeszywa mnie prąd. Być może w końcu będziemy mieli postęp w śledztwie.

– Dorothy, kim jest ten chłopak? Czy ma dostęp do broni?

Żałośnie kręci głową.

– Nie wydaje mi się, by trudno było jakąś zdobyć. W każdym domu w okolicy jest przynajmniej jeden pistolet.

– Dorothy, powiedz mi, jak on się nazywa – mówię ostro.

Patrzy na mnie z rozpaczą, a po policzkach płyną jej łzy.

– Myślę, że ten w szkole, to może być mój syn. Zadzwonili do mnie rano. Blake nie przyszedł na lekcje. Nie mogę go nigdzie znaleźć.

HOLLY

Wiem, kiedy wybija jedenasta, bo wtedy po raz drugi danego dnia w drzwiach mojego szpitalnego pokoju pojawia się mama. Przychodzi z samego rana o ósmej, po czym idzie na kawę do szpitalnej kafeterii. Zawsze wraca o jedenastej i puka we framugę, wsuwa głowę przez szczelinę w drzwiach i pyta pogodnym tonem:

– Przychodzę w porę?

W pierwszym tygodniu nawet nie chciało mi się odpowiadać. Każdy ruch, nawet wypowiedanie słów, wywoływało niemiłosierny ból. Mama i tak wchodziła do środka i przyciągała sobie krzesło do mojego łóżka. Przynosiła kolorowe czasopisma oraz robotkę i przez kolejne godziny po prostu siedziała ze mną. Nie wypowiadała ani słowa, chyba że otworzyłam sprawne oko – wtedy znany mi z czasów dzieciństwa głos opadał na mnie niczym świeże, wygrzane na słońcu prześcieradło prosto ze sznura.

– Pamiętasz – zaczyna dziś mama – jak byłaś sama w domu i coś spłoszyło bydło, i krowy jakimś cudem wy dostały się z zagrody? – Staram się nie uśmiechnąć. Mięśnie twarzy wariowały od najmniejszego skurczu. Czuję, jak pod skórą pączkuje mi infekcja, i zastanawiam się, jaki nowy antybiotyk mi podadzą, żeby zwalczyć bieżący problem.

Aż do tej chwili nie wspominałam tamtego dusznego sierpniowego dnia, kiedy krowy uciekły. Moi rodzice wraz z braćmi: Wayne'em, Pete'em, Jeffem i Toddem postanowili zrobić sobie jednodniową wycieczkę do Linden Falls, gdzie odbywała się aukcja rolnicza. Nie miałam ochoty stracić całego dnia na nic niewarte, stare maszyny, więc udałam, że źle się czuję i zostałam w domu.

Leżałam wygodnie w łóżku na długo po tym, jak wyjechali, kiedy nagle usłyszałam muczenie tuż pod moim oknem. Byłam dobrze zaznajomiona z odgłosami zwierząt, te jednak rozlegały się zbyt blisko domu. Wstałam z łóżka, gramoląc się spomiędzy pościeli i rozsunęłam lniane zasłony, ciężkie od wilgotnego powietrza. Pod domem leniwie przechadzało się ponad tuzin czarnych krow o białych pyskach. Założyłam gumki i spędziłam następane cztery godziny, próbując zagnać bydło. Wołałam, pchałam, szturchałam i błagałam zwierzęta, by wróciły do zagrody. Nasz australijski pies pasterski – sześciomiesięczna, błękitno umaszczona suczka imieniem Roo próbowała mi pomóc, ale po trzydziestu minutach padła wycieńczona pod samotnie stojącą jabłonką, która rosła przed domem.

– Ach! – Mama śmieje się, wspominając ten dzień. – Kiedy wróciliśmy do domu, byłaś poparzona od słońca, posiniaczona i cała obolała od ugania się za krowami, ale zwierzęta

znajdowały się tam, gdzie powinny. – Na chwilę odkłada robotkę. – Pamiętam, że ojciec opowiadał wszystkim, jak odpowiedzialnie się wtedy zachowałaś. „Kowbojka z krwi i kości” – mówił. Był z ciebie taki dumny.

Pamiętam każdy obolały mięsień, ciepło, jakie wydzielala moja poparzona skóra, i to, jak lody, po które ojciec specjalnie dla mnie pojechał do Broken Branch, sływały, zimne i gładkie, po moim gardle. Czuję dłoń mamy na moim obolałym policzku.

– Co ci zamówić na lunch, Holly? – pyta mnie. – Co powiesz na lody?

Kiwam głową, mój policzek chłonie chłód jej skóry. Myślę o Augie i PJ-u, którzy są tak daleko ode mnie, i choć wiem, że to spowolni proces gojenia się ran, zaczynam płakać. Potwornie za nimi tęsknię. Ja – osoba, która potrafiła zostawić każdego, nawet nie odwróciwszy się za siebie.

– Dom – daję radę wystękać.

Mama patrzy na mnie przez chwilę zagubionym wzrokiem i wiem, że przez ułamek sekundy myśli, że proszę ją, byśmy wróciły do Broken Branch, ale już po chwili jej oczy się przejaśniają.

– W twoim domu było zbyt wiele dymu i zniszczeń po pożarze. Kiedy stąd wyjdiesz, możesz przez parę dni zostać w moim hotelu, a potem wrócisz ze mną na farmę, tylko do czasu, aż staniesz na nogi. Wtedy znajdziemy ci nowy dom. Już zaczęłam przeglądać ogłoszenia w gazecie.

– Nie do końca rozumiem, co miałam na myśli, ale jestem zbyt zmęczona, a gorączka tak mnie otumanila, że nie jestem w stanie wyjaśnić słowami, o co mi chodzi. I choć większość moich oparzeń się goi, wiem, że wcale nie dobrzeję. Nikt nawet nie mówi o dniu mojego wypisu. Czasem dom nie oznacza budynku – chcę jej powiedzieć – oznacza ludzi. Augie i PJ są moim domem i tęsknię za nimi z całego serca.

PANI OLIVER

– Siadaj – zażądał mężczyzna. – Tam. – Wskazał jej pustą ławkę w pierwszym rzędzie. Ławkę Lily Reese. Tego dnia była nieobecna. Ospa. – Ilu jest dziś nieobecnych? – zapytał.

Jeszcze kilka godzin temu pani Oliver żałowała, że Lily i Marię Barrett omija ostatni dzień przed szkolną przerwą. Teraz była za to wdzięczna. Żałowała, że nie rozpełtała się epidemia ospy, grypy, choroba dłoni, stóp i jamy ustnej. Wszystko, tylko nie to. Milczała, nie chcąc ujawniać jakichkolwiek informacji o swoich uczniach.

– Ilu? – warknął, na co pani Oliver skuliła się w sobie.

– Już, już – powiedziała, podnosząc dłonie w górę, aby uspokoić napastnika. – Dwóch. Nie ma dwóch uczennic – odparła pospiesznie, a mężczyzna jeszcze raz omiół salę wzrokiem. – Czego chcesz? Te dzieci z pewnością nie mają nic wspólnego z...

– Powiedziałem: siadaj – przerwał jej ostro. Pani Oliver usiadła ciężko na miejscu Lily, zaskoczona. Była przekonana, że tylko nauczyciele i licealni trenerzy futbolu posiadali taki ton głosu. Ton, który mówi „nie żartuję”.

– Jeśli będziesz siedzieć spokojnie i robić, co ci każę, nikomu nie stanie się krzywda.

Pani Oliver zakryła usta dłonią z nadzieją, że nikt nie zauważy jak się uśmiecha. Nie mogła się powstrzymać. Była to dokładnie ta sama kwestia, jaką poprzedniego wieczoru wygłosił jeden z czarnych charakterów z ulubionego serialu kryminalnego Cala. Zastanawiała się, czy on też go oglądał. Może siedział przed telewizorem z piwem, miską popcornu i notesem, w którym zapisywał wszystkie przydatne zdania. Wbrew sobie pani Oliver zawsze zaczynała chichotać w najmniej odpowiednich sytuacjach. Na pogrzebie kuzynki Bette, kiedy pastor kichnął, jednocześnie puszczając bąka, musiała wyjść, chowając twarz w chusteczce, aby ukryć swoje rozbawienie. Pewnego razu, kiedy się kochali, Cal nazwał ją słodką buleczką, na co ona dostała takiego napadu śmiechu, że mąż nie odzywał się do niej przez całe dwa dni.

Pani Oliver zawsze wspominała te zdarzenia z poczuciem wstydu i konsternacją. Szczyciła się tym, że jest odpowiedzialna, poważna, godna szacunku. Cal powiedział jej, że nie potrafi znieść silnych emocji i właśnie tak sobie z nimi radzi – maskując je śmiechem i kpiną. Odpowiedziała mu, pytając, czy świadectwo ukończenia ósmej klasy i pięćdziesiąt dwa lata przepracowane w fabryce pralek kwalifikują go jako psychiatrę. Nie odzywał się do niej przez kolejne cztery dni. Tak naprawdę Cal był jednym z najmądrzejszych ludzi, jakich знаła. Potrafił naprawić właściwie wszystko. Świetnie zarządzał ich finansami i to do niego ich dzieci udawały się po poradę w sprawach sercowych. Nie do niej. Jego praca w fabryce pralek opłacała jej studia

nauczyielskie i gwarantowała świetne ubezpieczenie oraz pakiet emerytalny.

Miał rację.

Z jakiegoś powodu, którego nie potrafiła się domyślić, nie radziła sobie ze stresującymi sytuacjami, w jakich stawało ją życie. A może radziła sobie z nimi aż nazbyt dobrze? To Cal płakał przy narodzinach ich dzieci, na ich ślubach, kiedy Georgiana poroniła pierwszą ciążę. Nie to, by pani Oliver nie płakała. Przeciwnie. Robiła to jednak w samotności, zamknięta w łazience, przy odkręconej wodzie i włączonym wentylatorze.

Pani Oliver odwróciła się i zerknęła na PJ-a, nadal oczarowanego nieznanym. Mężczyzna wyglądał, jakby liczył obecnych albo szukał kogoś konkretnego. Może przyszedł tu po jednego z jej uczniów – pomyślała. Jedyńm domowym konfliktem, o zaistnieniu którego wiedziała, był rozwód rodziców Natalie Cragg. Od lat nie widziała pana Cragga i nie była pewna, czy w ogóle by go rozpoznała. Pani Oliver spojrzała na Natalie Cragg, która wpatrywała się w blat biurka i cicho płakała. Kiedy znów spojrzała na PJ-a, jego wzrok nadal utkwniony był w surowym obliczu mężczyzny.

– PJ – szepnęła, próbując zwrócić na siebie uwagę chłopca. On jednak nadal się gapił. Nie na pistolet ani plecak intruza, wypełniony Bóg wie czym. PJ próbował zapamiętać jego twarz i to przerażało panią Oliver bardziej niż cokolwiek innego. Prędzej czy później mężczyzna zauważy przedziwną fascynację ośmiolatka swoją osobą i znajdzie powód, by skupić swoją uwagę na PJ-u.

– PJ – powiedziała głośniej i chłopiec niechętnie odwrócił wzrok od mężczyzny. Czarna grzywa PJ-a, nadal zmierzwiona od ciasno przylegającej czapki, opadła mu na oczy. Chłopiec spojrział na nauczycielkę nieobecny m wzrokiem. Powiedział jej kiedyś, że tylko swojej mamie pozwoli obciąć sobie włosy i dopóki po niego nie przyjedzie, będą sobie rosły.

– PJ, nie gap się – szepnęła srogo.

– Co mówisz? Co do niego powiedziałaś? – zapytał mężczyzna, uniósł broń i skierował ją na panią Oliver.

– Powiedziałam, żeby się nie bał – skłamała pani Oliver.

– Nie boję się – wtrącił PJ.

Mężczyzna spojrział na chłopca, na co pani Oliver zdrząła. Miał zimne, okrutne spojrzenie i martwe oczy. Zabije ich wszy stkich bez mrugnienia okiem.

– Czemu się nie boisz? – zapytał PJ-a.

PJ zawahał się i zagryzł wargę, zanim odpowiedział:

– Bo pan powiedział, że nie zrobi nam krzywdy, jeśli będziemy robić, co nam pan każe.

– Mądry dzieciak – odpowiedział intruz, uśmiechając się gorzko.

MEG

Zapewniam Dorothy, że sprawdzimy, czy to Blake wtargnął do szkoły, i odprowadzam ją, prosząc, żeby zadzwoniła do mnie, jeśli tylko jej syn się odezwie. Jestem już sfrustrowana. Nie mamy na tyle personelu, żeby sprawdzać każdy najmniejszy trop, a z minuty na minutę pogoda coraz bardziej się pogarsza.

Mój telefon znów wibruje. Kolejny SMS od Stuarta. Najpierw czytam najnowszą wiadomość od niego. DAJ SPOKÓJ MEG. PRZEZ WZGLĄD NA STARE, DOBRE CZASY. TYLKO JEDEN KOMENTARZ? Kręcę głową i zatrząskuję telefon, nie czytając nawet pierwszej wiadomości. Doskonale wiem, co w niej będzie. Stuart byłby wniebowzięty, gdyby dostał jakieś poufne informacje od policji, byłby nawet skłonny uciec się do szantażu, by je zdobyć, a wtargnięcie do szkoły mogło się okazać najważniejszym materiałem jego kariery. Aż do czasu sprawy Merritta reportaż Stuarta dotyczący Afganistanu sprzed kilku lat, kiedy pracował jako reporter wojenny, był jego klejnotem w koronie i przyniósł mu nagrodę Pritcharda-Saya w dziedzinie dziennikarstwa śledczego. Potem pojawiła się sprawa Merritta, która poza całym tym kłamstwem z rozwodem stała się ostatecznym gwoździem do trumny naszego związku. Ale teraz Stuart powrócił. Nie może się oprzeć zapachowi dużego tematu i policyjnej obławy. Mogę sobie wyobrazić, jak rozkoszuje się myślą o masakrze tak dużej, jak ta w Columbine lub na politechnice w Wirginii, choćby ze względu na notkę autorską, jaką by o nim podano.

Do czasu, gdy otoczyłam teren szkoły taśmą policyjną, komendant zdołał już ściągnąć funkcjonariuszy, którzy nie byli na służbie, oraz rezerwę – mieszkańców miasteczka, którzy odbyli osiemdziesiąt godzin szkoleń i czterdzieści godzin służby z naszymi funkcjonariuszami. Jedyne przypadek, jaki pamiętam, gdy zostały wezwane służby rezerwowe, przydarzył się kilka lat temu, kiedy przez Parkersburg przeszło tornado i poproszono nas o pomoc. To, że komendant ich wezwał, mówi mi, że sprawa jest poważna.

Na parkingu zebrał się spory tłum. Przekazuję komendantowi McKinneyowi to, co powiedziała mi Dorothy, a on powoli potakuje.

– Jakież nowe informacje, komendancie? – pytam.

– Nic, co mogłoby się przydać, oprócz zgłoszenia od samego napastnika. – Kręci głową, zrzucając płatki śniegu, które osiadły mu na włosach. – Ale mamy za to mnóstwo powiadomień, które wprowadzają jeszcze większe zamieszanie. Na miłość boską, dlaczego pozwala się przy nosić komórki do szkoły? Mogłoby się wydawać, że pomogą ustalić, co się dzieje w środku, ale dzięki nim mamy jedynie zablokowane linie telefoniczne i to, że zwykle opanowani ludzie tracą rozum.

– Nikt niczego nie widział? – pytam z niedowierzaniem. – Nie wiemy, dlaczego intruz jest w szkole i czego chce?

– Z telefonów wiemy tyle. – McKinney ściąga skórzaną rękawiczkę i zaczyna wyliczać na palcach. – Mamy jednego uzbrojonego napastnika. Mamy trzech uzbrojonych napastników. Mamy człowieka z maczetą, mamy kogoś – nie wiem, czy kobietę, czy mężczyznę – z bombą. Gówno mamy i tyle. – McKinney przeciera dłonią usta, a szron na podmarzłych wąsach kruszy mu się pod palcami.

– Więc czekamy, tak? Nie wchodzimy do środka? – pytam, znając już odpowiedź.

– Robimy to co teraz, próbujemy opanować sytuację. Jeśli uda się nam skontaktować z podejrzanym, wydostaniemy stamtąd dzieci i nauczycieli. Najbardziej martwię się o pogodę – mówi McKinney, spoglądając na stalowoszare niebo. Robię to samo i od razu do oczu wpadają mi płatki śniegu. – Drogi międzystanowe i autostrady zostały już zamknięte. Wezwałem wszystkich, którzy nie pełnili dziś służby, rezerwę i dyspozytorów, i poprosiłem też szeryfa Hestera, żeby ściągnął wszystkich swoich funkcjonariuszy. Pilnują każdego centymetra budynku.

Pokazuje mi zastępców szeryfa, którzy chodzą wokół budynku z karabinami M4 przewieszony mi przez plecy.

– Będziemy potrzebować brygady do zadań specjalnych? – pytam. Chodzi mi o grupę wykwalifikowanych funkcjonariuszy z całego stanu, którzy specjalizują się w rozwiązywaniu tego typu sytuacji.

– Na to wygląda – mówi McKinney. – Ale jeśli nadal będzie tak śnieżyc, to do nas nie dojedzie. Jesteśmy swoją własną brygadą.

Widzę ruch za jednym z okien sekretariatu i kładę McKinneyowi dłoń na ramieniu.

– Tam – mówię, wytyczając wzrok przez zaslonę śniegu i chwytając za broń niczym za talizman.

AUGIE

Chłód podłogi przenika moje spodnie i mam wrażenie, że siedzę tu od zawsze, choć minęło dopiero z pół godziny. Po głowie tłucze mi się myśl, że po tym wszystkim nie będę w stanie zobaczyć się z mamą. Mieliliśmy jutro polecieć do Arizony i spędzić tam tydzień.

Zastanawiam się, jak teraz wygląda. Kiedy widziałam ją po raz ostatni, miała zabandażowane ręce, włosy przypalone, a twarz jaskrawoczerwoną, jakby chodziła po pustyni bez kapelusza. Nie miała rzęs, a pielęgniarki wmasowywały jej w ramiona gęstą, błyszczącą maść. PJ i ja codziennie z nią rozmawiamy, ale zwykle tylko minutę lub dwie. Jest zbyt zmęczona lub odurzona lekami przeciwbólowymi, żeby mogła wytrzymać dłużej, ale przeważnie wydaje mi się, że ma smutny głos. Wiem, że czuje się strasznie, że ja i PJ musieliśmy zamieszkać w Broken Branch, zwłaszcza że zawsze opowiadała nam, jak to przez pierwsze siedemnaście lat swojego życia marzyła, by stamtąd uciec.

Za drzwiami klasy dobiega nas huk i jestem pewna, że on idzie do nas. Siedząca koło mnie Beth zasłania sobie uszy dłońmi i zaczyna się bujać w przód i w tył, na co obejmuję ją ramieniem. Nie wiem, co się z nią dzieje. Jest w naszej klasie chłopczycą, jeździ na quadach, poluje na jelenie, ale teraz jest w zupełnej rozsypce.

– Wychoďte stąd – mówi Noah. Wstaje i podchodzi do okien.

– Siadaj, Noah – mówi pan Ellery srogim głosem.

– Nie ma szans – odpowiada Noah, siląc się na ton twardego. Z jego gardła wydobywa się jednak głos tak piskliwy, że niemal mi go szkoda.

– Noah, wróć. Jeśli ktoś tam jest, minie naszą klasę, jeśli będziemy cicho. Nie wejdzie do środka, drzwi są zamknięte.

– Jakby nie mógł ich rozwalić pistoletem – odpyskuje Noah i próbuje otworzyć okno, za którym znajduje się parking dla nauczycieli. Na korytarzu rozlega się kolejny huk, słychać brzęk tłuczonego szkła i krzyki w oddali, na co Noah pada na podłogę. Gdybym nie była tak samo przerażona jak on, pewnie zaczęłabym się z tego nabijać. Przez chwilę w sali słychać jedynie ciężkie oddechy i to, jak Beth szczęka zębami.

– Kto to może być? – szepcze mi do ucha Drew. Kręcąc głową. Nie mogę nic z siebie wydusić. Beth ciągnie mnie za rękaw, więc spoglądam na nią.

„Mój tata” – czytam z ruchu jej warg, po czym Beth chowa twarz w dłoniach.

PANI OLIVER

Pani Oliver co chwilę odwracała się na krześle, żeby sprawdzić, jak mają się dzieci. Większość była opanowana i siedziała cicho, pani Oliver martwiła się jednak o Lucy Shelton, która przejawiała autystyczne zachowania i nie znosiła najlepiej zmian w swoim planie dnia. Autobusy szkolne miały podjechać o trzynastej trzydzieści, dwie godziny wcześniej niż zwykle, rozpoczynając tym samym wiosenną przerwę. Nie wyglądało na to, aby do tego czasu ich napastnik skończył to, co miał do zrobienia. Trzy następnego zbliżała się nieubłaganie.

Martwiła się też o Wesleya, który miał pęcherz wielkości naparstka. Najbliższa toaleta znajdowała się tuż za drzwiami, ale szanse na to, by mężczyzna pozwolił dzieciom wyjść z sali, były znikome. Za każdym razem, kiedy zerkała za siebie, mężczyzna pstrykał na nią palcami, żeby siadła twarzą do niego. Teraz wiem, jak się czuł Bobby Latham – pomyślała pani Oliver, krzywiąc się. Bobby był najcięższym przypadkiem ADHD, z jakim miała do czynienia w ciągu czterdziestu trzech lat nauczycielskiej kariery, a widziała ich wiele. „Bobby, patrz przed siebie” – powtarzała w kółko, aż w końcu się poddała i posadziła go na końcu sali, gdzie mógł wstawać, odwracać się, a nawet robić gwiazdę, jeśli miał ochotę, pod warunkiem że nie przeszkadzał innym dzieciom. Było to na długo zanim leki na ADHD, takie jak ritalin i strattera, zaczęto rozdawać jak cukierki. A jakże, podobał się jej wpływ, jaki te leki miały na jej uczniów, nie akceptowała natomiast stosowania ich jako rozwiązanie bolączek nauczycieli i rodziców. Nafaszerować dziecko lekami i mieć święty spokój. To nie powinno tak wyglądać. Uczniowie tacy jak Bobby powinni uczyć się różnych sposobów na to, jak się skupić, jak nad sobą zapanować. Leki powinny jedynie spowolnić pracę ich mózgow na tyle, by nauczyciele mogli im pomóc zyskać te prawdziwe życiowe umiejętności.

Pani Oliver wzięła głęboki wdech, próbując spowolnić własny mózg. Często stosowała techniki relaksacyjne wobec swoich uczniów przed klasówkami z ortografii albo zanim przystąpili do budzącego postrach testu kompetencji obowiązującego w stanie Iowa. Teraz zaczynała powątpiewać w efektywność strategii, którą z taką determinacją wmuszała swoim uczniom. Czula, jak w jej piersi zagnieżdża się panika, a serce wali jej tak mocno, że koraliki na jej wyszywanej sukience za chwilę wystrzelą do przodu. Próbowwała połączyć głębokie oddechy z myśleniem o Calu. Cal zawsze potrafił ją uspokoić.

Co zaskakujące, pani Oliver nie zawsze była panią Oliver, jak wydawało się wielu ludziom. Przez pierwsze siedemnaście lat swojego życia była Evelyn Schinckle. Potem stała się panią George'ową Ford.

George był jej wzrostu, przystojny i zabawny, o przepięknych zielonych oczach. Był pierwszym chłopcem, jakiego Evelyn kiedykolwiek pocałowała i kiedy tylko jego wargi dotknęły jej warg, postanowiła, że jest to mężczyzna, którego poślubi. Pobrali się w pierwszy weekend po ukończeniu szkoły średniej, w deszczowe czerwcowe popołudnie. Na przyjęciu weselnym George śmiał się, że wyszła za niego tylko po to, by pozbyć się swojego nazwiska. I choć musiała przyznać, że Evelyn Ford brzmiała dużo lepiej niż Evelyn Schnicke, zdecydowanie nie był to powód, dla którego za niego wyszła, i wyzywająco patrzyła w dół, przez co biedny George zaczął się czerwienić. Dwa miesiące później został wysłany do Wietnamu, a Evelyn zamieszkała z jego rodzicami w Cedar Falls i zapisała się do college'u nauczycielskiego. Trzy miesiące później dwóch umundurowanych żołnierzy stanęło w ich progach z wiadomością, że świeżo upieczony mąż Evelyn poległ w Plei Mei wraz z jedną trzecią swojego batalionu. Usłyszawszy tę przerażającą wiadomość, Evelyn zwymiotowała wprost na wypolerowane buty jednego z żołnierzy, które już po chwili próbowała wyczyścić ulubionym szalikiem pana Forda. Jedyne po pięciu miesiącach małżeństwa, mając zaledwie osiemnaście lat, Evelyn została wdową. W dodatku ciężarną.

Nie wiedziała, na czym polega bycie wdową. Nie zdołała się nawet dowiedzieć, na czym polega bycie żoną. Oplakiwała stratę George'a – oczywiście w odosobnieniu. Nie mogła spać, myśląc o tym, jak umarł całkiem sam, gdzieś pośród parnej dżungli. Teściowie Evelyn byli poruszeni tragedią swojej nowej synowej i robili co w ich mocy, by ją pocieszyć. Powiedzieli jej, że może z nimi zostać tak długo, jak tylko zechce. Na tym jednak polegał problem. Evelyn miała wrażenie, że całkowicie odejdzie od zmysłów, jeśli zostanie z Fordami choć chwilę dłużej, niż tego naprawdę potrzebuje. Czuła, że smutek panujący w ich domu ją dusi i jeśli ma być ze sobą szczerą, myśli, że zostanie matką, przerażała ją.

Wszystko to zmieniło się, kiedy poznała Cala Olivera. Teraz, czterdzieści pięć lat później, zastanawiała się, czy tym razem to jego odwiedzi umundurowany funkcjonariusz, który przekaze mu, że jego małżonka nie żyje. Została zabita przez uzbrojonego w pistolet szaleńca, który zastrzelił ją w połowie marca podczas burzy śnieżnej w szkolnej klasie w małym miasteczku w Iowa. Kto by pomyślał, że umrze właśnie dziś? Spodziewała się raczej, że wykończy ją zawał, tak jak jej ojca, albo rak piersi, jak jej ciotki, a nie jakiś żądny krwi kretyn. Zastanawiała się, czy Cal będzie płakał, ale od razu uznała, że myśli, iż mógłby nie uronić łzy na jej pogrzebie jest niedorzeczna. Oczywiście, że by płakał – to on był tym wrażliwym. Ciekawe, jak przekaze tę wiadomość dzieciom. Tak kiepsko sły mu rozmowy przez telefon. Wystarczyło tylko, żeby włożyła mu słuchawkę w dłoń, a tracił umiejętność komunikowania się. Mógł rozmawiać godzinami z kimś, z kim siedzi twarzą w twarz, ale nie przez telefon. „Lubię widzieć twarz osoby, do której mówię” – próbował jej tłumaczyć. Evelyn jedynie cmokała na to językiem i zabierała mu słuchawkę. Żałowała teraz, jak mało czasem miała cierpliwości do męża. Gdyby tylko miała szansę, zaczęłaby zachowywać się inaczej. Nie zrządziłaby tyle, że Cal potrafi wejść do kuchni, wyciągnąć sobie z szafki paczkę krakersów czy płatków śniadaniowych, po czym pójść sobie, zostawiając otwarte drzwi, żeby ktoś rozbił sobie o nie głowę. Nie gderałaby na to, jaki potrafi być skrupulatny w kwestii utrzymywania porządku w garażu, ale nie potrafi wyrzucić choćby skrawka papieru, nie przeżywając tego cały dzień.

Nie, pani Schinckle-Ford-Oliver dziś nie umrze. Wróci po południu do domu i ucałuje męża. Mocno. Zadzwoni do dzieci i wnuków, a potem ściągnie z siebie sukienkę z kryształkową tęczą.

WILL

Wsiadając do swojego pikapa, Will zastanawiał się, czy powinien zadzwonić do Marlys, by dać jej znać, że w szkole ich wnuków dzieje się coś złego. Szybko porzucił ten pomysł. Wiedział, że Marlys zaleje go pytaniami, na które nie będzie umiał odpowiedzieć, a potem sama stanie przed dylematem, czy mówić coś Holly. Nie, to nie byłoby w porządku. Marlys nie będzie w stanie mu w żaden sposób pomóc, przebywając w Revelation w Arizonie. Jej zadaniem było zajmowanie się Holly, która najwyraźniej nigdy nie miała z górki. Najnowszym problemem była infekcja, która w jakiś sposób przeniknęła do jej krwiobiegu, mimo że Holly faszeryowano antybiotykami od pierwszej chwili, kiedy znalazła się w szpitalu. Nie, Will nie odezwie się słowem co do wydarzeń w szkole, dopóki nie będzie miał jakichś pewnych informacji, choć nawet i wtedy może nic nie powiedzieć. Marlys była wykończona. Holly musiała się skupić nad tym, by wydobrzeć, a martwienie się o PJ-a i Augie jej nie pomoże. Zamiast tego zadzwonił do swojego syna Todda, którego żona uczyła czwartą klasę.

– Jestem już na miejscu – odparł Todd, kiedy Will powiedział, że jedzie do szkoły i spotka się z synem przed głównym budynkiem.

Do szkoły w Broken Branch jechało się dwadzieścia minut po zwirowych, nieutwardzonych drogach, ale Will pokonał tę drogę w mniej niż dwanaście. Ze szkolnego parkingu, na którym zostawił samochód, widział spory tłum, który już zdołał się tam zebrać. Dobiały go niezrozumiałe krzyki, które niesły się z wiatrem. Will spojrzął na mossberga, który leżał na siedzeniu obok i próbował zdecydować, czy wziąć go, czy nie. Nagle jego komórka eksplodowała otępiającą rapową piosenką, którą Augie ustawiła mu jako dzwonek. Uważała, że to przezabawne, kiedy w połowie obiadu albo, co gorsza, w kawiarni czy sklepie wykrzykiwana do rytmu fala przekleństw rozlegała się nagle z jego telefonu.

– Do diabła, Augie – mawiał w panice, wciskając guziki i próbując wyciszyć telefon.

– Co? – odpowiadała Augie niewinnym tonem. – Cały czas mówisz takie słowa.

– To prawda – potwierdził PJ z powagą, kiwając głową.

– Halo – rzucił szorstko do słuchawki.

– Will? – odezwał się nieśmiały głos, zupełnie niepasujący do Marlys. – Wszystko w porządku?

– Tak, tak A u ciebie? Jak się czuje Holly? – zapytał, patrząc przez szybę na czterech policjantów z Broken Branch, którzy próbowali zapanować nad tłumem.

– Nadal ma gorączkę i nie chce jeść – odparła Marlys drżącym głosem. – Jak dzieci?

– W porządku – powiedział. – PJ bardzo mi pomaga przy cielnych krowach. To urodzony

hodowca.

– A Augie?

– Augie to... – Will nie umiał wydusić z siebie słowa krytyki na temat Augie, nie wiedząc, czy jest bezpieczna. – Augie się stara – dokończył. Powiedział prawdę. Ostatnio dołączyła nawet do niego i PJ-a, kiedy krowa numer 135, piękna herefordka o kudłaty, rudo-białym umaszczeniu, zaczęła rodzić. Augie patrzyła w zachwycie, jak z macicy matki wypada cielę, śliskie i lepkie od porodowych płynów, ale niezaprzeczalnie piękne.

– Och – jęknęła Augie, dając się owładnąć ekscytacji. Oczy jej rozbłysły, a zwykle kwaśny grymas zamienił się w uśmiech.

Obok pikapa Willa zatrzymał się kolejny samochód i mężczyzna zauważył w nim swoich kolegów farmerów, Neala i Neda Vinsonów. Will skinął do nich głową, stwierdzając, że bracia również przyjechali uzbrojeni.

– Will? – zapytała Marlys niepewnie. – Masz dziwny głos. Co się dzieje?

– Nic – odparł Will, natychmiast żałując, jakim ostrym tonem to powiedział.

– Bierzesz leki? – zapytała, mając na myśli tabletki na nadciśnienie, o których zażywaniu musiała mu ciągle przypominać.

– Tak, tak, biorę leki. – Will podążył wzrokiem za Vinsonami, którzy zdeterminowanym krokiem ruszyli w stronę szkoły, oparli się karabiny w zagłębieniu łokcia.

– Więc co się dzieje? – zapytała Marlys płacząco. – Nie dam rady jednocześnie martwić się o Holly, o ciebie i dzieci. Nie znoję tego.

– Nie ma się czym martwić. – Will starał się, aby jego głos brzmiał lekko, jak co dzień. – Augie ufarbowała się na czerwono. Wygląda, jakby miała na głowie koguci grzebień. Zapomniałem, jak to jest mieć nastolatkę w domu.

– Wiem, że dzieje się coś jeszcze, ale jestem zbyt zmęczona, żeby z tobą dyskutować, a muszę wracać do Holly. Zadzwoń wieczorem i radzę, żebyś był ze mną szczerzy, rozumiesz?

– Okej – w końcu odezwał się Will. Inne wymówki byłyby zwykłym kłamstwem. Prędkiej czy później Marlys i tak się dowie o sytuacji w szkole. Lepiej, żeby usłyszała o tym od niego, ale nie w tej chwili.

– To wszystko jest strasznie ciężkie – powiedziała Marlys, pociągając nosem.

– Wiem, Marlys – przytaknęła, choć mówili o dwóch zupełnie innych rzeczach.

HOLLY

– Jaki mamy dzień? – pytam mamę, której zręczne palce uwijają się nad robótką. Chyba zaczyna sweter. Śmieszne, bo na zewnątrz pewnie świeci słońce i jest ze trzydzieści jeden stopni, jak niemal każdego dnia.

– Czwartek, dwudziesty czwarty marca. – Jestem w szpitalu od niemal pełnych ośmiu tygodni. Z jednej strony wydaje się to wiecznością, ale w jakiś sposób dni stopiły się ze sobą, nakładając jeden na drugi. Ból, leki, kuracja, operacja. Nieprzerwany cykl zdrowienia. Mama zerka na zegar na ścianie, nie przerywając robienia na drutach, których uspokajający brzęk pamiętam z dzieciństwa. – Jakiś czas temu dzwoniłam do ojca – mówi mi. – Powiedział, że wszyscy mają się dobrze. PJ chętnie mu pomaga przy cielnych krowach.

Robienie na drutach zawsze było dla mamy chwilą odpoczynku i wyciszenia. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś pracował tak ciężko jak ona. O poranku wstawała przed wszystkimi, a zapach kawy, jajek i boczku był naszym budzikiem. Po śniadaniu i umyciu naczyń mama pomagała ojcu przy krowach, karmiąc je, pojąc i sprawdzając, czy z ogrodzenia pastwiska nie wystają druty i gwoździe, które mogłyby poranić bydło. Potem wracała do domu, żeby posprzątać, zrobić pranie, przyszykować lunch, zrobić zakupy, zając się potrzebami pięciu bardzo wymagających dzieci i równie wymagającego męża, przyrządzić obiad, znów pozmywać, pomóc przy pracy domowej, aż w końcu – w końcu – mogła wyczerpana sięść na chwilę i trochę podzięgać. Oczywiście pomagaliśmy mamie, ale było tyle do zrobienia, że doba zawsze wydawała się za krótka. Widząc zmęczenie naszej mamy, choć nigdy nie narzekała, przysięgłam sobie, że moje życie nie będzie tak wyglądać, i wiedziałam, że kiedy tylko dorosnę, ucieknę z Broken Branch.

– W Iowa jest pierwsza – mówię. – Ciekawe, co robią teraz dzieci.

PANI OLIVER

Pani Oliver uważnie przyglądała się mężczyźnie. Ustalenie, jak naprawdę wygląda, nie było łatwe. Miał na głowie szarą czapkę z daszkiem, naciągniętą nisko na czoło. Przy uszach wystawały mu ciemne, brązowe włosy. Ubrany był w czarną kurtkę zasuniętą po brodę, a na dłoniach miał skórzane rękawiczki. Po zmarszczkach w kąciach jego niebieskich oczu poznała, że musi być przynajmniej po czterdzieste. Wydawał się zbytnio przejmować faktem, że brakuje dwóch uczennic. Lily i Maria. Czy jedna z nich była jego celem? A jeśli tak, to dlaczego nie poszedł ich szukać, zamiast stać w jej klasie? Czy zabrnął za daleko i czuł, że nie ma już nic do stracenia?

PJ nadal bezwstydnie wpatrywał się w mężczyznę i pani Oliver wpadło do głowy, że może PJ go zna, może już go kiedyś widział.

Zastanawiała się, czy to nie przypadkiem Bobby Latham, jej były uczeń, który teraz zmusza ją, by siedziała w nieznośnym bezruchu, tak jak przed laty ona kazała jemu. Ale nie. Lubili się z Bobbym i w końcu się dogadali. Ona obiecała nigdy nie kazać mu odwracać się do przodu, pod warunkiem, że nie będzie używał stron podręcznika do matematyki do robienia mokrych kulek, którymi strzelał przez rurkę długopisu prosto w tył głowy Kitty Rawling. Nie, to nie był Bobby Latham. Może inny były uczeń.

W myślach prześledziła całą listę dzieci, które uczyła przez wszystkie lata. To nie mógłby być Walter Spanski, jedyny uczeń, którego kiedykolwiek nie przepuściła do kolejnej klasy. Teraz powinien mieć około pięćdziesięciu lat. Tak bardzo bała się zatrzymać Waltera na kolejny rok w trzeciej klasie. Bez względu na to, jak bardzo próbowała mu pomóc nauczyć się tabliczki mnożenia i czytania choćby najprostszych zdań, nigdy nie dorównał rówieśnikom. Nie mogła posłać go do czwartej klasy, skoro nie potrafił odróżnić czasownika od rzeczownika i tydzień w tydzień pisał błędnie siedemnaście z dwudziestu słów na klasówce z ortografii. Był to jej drugi rok pracy i dokładnie pamiętała, jak siadła naprzeciw pana Spanskiego i jego żony w trzecim miesiącu ciąży z drugim dzieckiem i poinformowała ich, że Walter, choć przemylił z niego chłopiec, nie otrzyma promocji do kolejnej klasy razem ze swoimi kolegami. Pan Spanski miał kapelusz w swoich potężnych, spracowanych dłoniach i błagał ją, żeby przynajmniej dała mu szansę. Przez wakacje dużo może się zmienić. Mogliby uczyć się z nim codziennie, znaleźć mu korepetytora. Pani Spanski może odezwała się słowem, tylko płakała bezgłośnie, ocierając łzy chusteczką.

– Bardzo mi przykro, proszę państwa – powiedziała pani Oliver, kręcąc głową. – Po prostu nie mogę ze spokojnym sumieniem przepuścić Waltera do czwartej klasy przy jego obecnych

umiejętnościach. Jestem przekonana, że kolejny rok w trzeciej klasie będzie dla niego przepustką do jego przyszłości – oznajmiła szczebioczącym tonem. Cóż, spędziła z Walterem kolejny rok w trzeciej klasie i jak się okazało, nie przyniósł on absolutnie żadnej poprawy. Podczas dziewięciu dodatkowych miesięcy pani Oliver była świadkiem, jak Walter przeistacza się z bardzo milego w bardzo rozniewanego chłopca, którego drugie podejście do programu nauczania nie zakończyło się sukcesem. Ale mężczyźni z bronią to na pewno nie Walter Spanksi, choć bez problemu rozumiała, dlaczego mógłby go kusić powrót z bronią w rękę do swojej niegdyśszej klasy, gdzie dwudziestotrzyletnia nauczycielka z dwuletnim stażem miała tupet go usadzić. Miałby pewnie z tego wiele satysfakcji. Walter był jednak za stary, by być tym mężczyzną.

Podczas wielu lat swojej pracy pani Oliver przylapywała uczniów na ściąganiu, bójkach i kłótniach, paleniu, kradzieżach i wielu innych przewinieniach, ale nikt nie pałał do niej nienawiścią. Szczyła się tym, jaka jest sprawiedliwa i ile ma w sobie współczucia. Przekonała się, że o uczniach nie świadczą tylko ich oceny. Byli ludźmi młodymi i z pewnością nie w pełni uformowanymi, ale tu właśnie pojawiała się ona. Po okropnym drugim roku z Walterem przekonała się, że ma moc, a nie kontrolę nad tym, by dziecko się nauczyło, aby chciało się uczyć. I w swojej czterdziestotrzyletniej karierze nauczycielskiej spotkała tylko jednego ucznia, na którego nie udało jej się pozytywnie wpłynąć. Pani Oliver przymrużyła oczy, starając się dostrzec za czapką i rękawicami lata, które upłynęły. To mógłby być on – pomyślała.

Kenny Bingley. Wysokie chuchro o długich nogach i nieproporcjonalnie krótkich rękach. Jej matka powiedziała, że wyglądał jak źdźbła palczatki Gerarda lub też indyjskich stóp, jak zwano strzelistą, preriową trawę, której pełno było w ich części stanu. Bez wątplenia mógł to być Kenny Bingley. Właściwy wiek – około czterdziestki, brązowe włosy, złośliwe oczy. To chyba przez Kenny'ego Bingleya pani Oliver najczęściej nie spała po nocach. Jeśli w ogóle przychodził do szkoły, był spóźniony. Jego skóry bez przerwy trzymał się zatęchły, mokry zapach, jak gdyby rzucał ubrania w ką i zapominał o nich do czasu, aż znów trzeba je było założyć. Bez względu na pochodzenie i sytuację życiową dziecka pani Oliver zawsze była w stanie znaleźć w oczach swoich uczniów iskierkę zaciekawienia. Ale w ośmioletnim Kennym ponad siłkami, które podkreślały jego oczy, nie było żadnej iskry, żadnego zainteresowania ani zadziwienia światem. Nie było w nich niczego. Tylko niepokojący spokój. Kenny nie zakócał spokoju w bezpośredni sposób, ale gdzie się nie pojawił, działo się coś niedobrego. Przerwy szkolnych meczów kończyły się rozkwaszonymi nosami, ginęły pieniądze na lunch, klasowe zwierzątka zdychały w podejrzanych okolicznościach. Pani Oliver nie mogła jednak bezpośrednio obwinić Kenny'ego. Podejrzała, że jest krzywdzony przez matkę. Nie miał siniaków, ale czuć było od niego tę aurę dystansu i obojętności.

Podczas tygodnia, w którym wyrzucono Kenny'ego ze szkoły, miały miejsce dwa wydarzenia. Na stopniach przed głównym wejściem znaleziono górniczkę ze złamanymi nogami. Po raz kolejny pani Oliver nie miała żadnego dowodu na to, że to Kenny śmiertelnie zranił pięknego ptaka. Jednak to ona znalazła go na szkolnych schodach, z cienkimi nóżkami w nienaturalnej pozycji. Była ostatnią osobą, która usłyszała urywany, wysoki szczebiot stworzenia, albo tak przynajmniej się jej wydawało.

Drugi incydent dotyczył pary nożyczek i bardzo ładnej trzecioklasistki, która nazywała się Cornelia Patts. Pani Oliver tylko na chwilę wyszła na korytarz, właściwie to jedynie wychyliła się z sali. Dyrektor szkoły, pan Graczyk, chciał ją o coś zapytać i poprosił, by podeszła do drzwi.

Nie minęła chwila, a usłyszała krzyk Corneli, która uciskała krwawiącą rękę.

– On mnie dźgnął! – krzyknęła z niedowierzaniem. Pan Graczyk wpadł do klasy i chwycił Kenny'ego, na którego ławce leżały zakrwawione nożyczki. Kiedy pani Oliver zawijała dłoń Corneli w czystą chusteczkę, w klasie było cicho, nie licząc łkania dziewczynki. Wyprowadzany z klasy przez pana Graczyka Kenny zacisnął mocno wąskie, blade usta, spuścił ramiona, przez co wyglądał jak zgięta trzcina, i pogwizdywał wysoko, jak górniczek, który umierał przed szkolnymi drzwiami.

Mężczyzna z bronią, który teraz przed nią stał, z dużym prawdopodobieństwem mógł być Kennym Bingleyem. Po tamtym dniu Kenny nigdy nie wrócił na lekcje – został wyrzucony ze szkoły w trybie natychmiastowym, a pani Oliver nigdy nie dowiedziała się, jakie były jego dalsze losy, choć często o niego pytała. Postanowiła przetestować swoją hipotezę i zagwizdała tak jak umierający górniczek. Na początku cicho, potem coraz głośniej. Mężczyzna, który siedział na wysokim taborecie pod tablicą z bronią na kolanach, spojrział na nią zimnymi, obojętnymi oczami.

– Kenny Bingley – powiedziała kategorycznie pani Oliver. – Wystarczy tych głupot.

MEG

W tłumie rozlegają się krzyki, kiedy nagle ktoś rozbija okno, rzucając w nie krzesłem. Wraz z innymi policjantami wyciągamy broń z kabur i patrzymy w zadziwieniu, jak ubrana na różowo postać niezdarne wychodzi przez szybę. Niemal natychmiast wiem, że to nie napastnik, a Gail Lowell, wiekowa szkolna sekretarka. Nie ma na sobie kurtki, ubrana jest w jaskraworóżowy sweterek i ciężką metalową biżuterię. Jej naszyjnik i bransoletki brzęczą radośnie, gdy kobieta ostrożnie zaczyna przedzierać się przez śnieg z torebką zwisającą jej z ramienia. Zbliży się do nas i natychmiast zaczyna ją bombardować głosy z tłumu. „Co się dzieje? Dzieciom nic nie jest? Czy w środku naprawdę jest człowiek z bronią?”

– Ilu jest napastników? – pytam cicho, kiedy jest już blisko. Wygląda, jakby płakała, ale przez śnieg trudno mieć co do tego pewność. – Widziałś kogoś z pistoletem? Jesteś ranna? – Gail patrzy bezradnie na mnie, a potem na komendanta McKinneya a i jej twarz wykrzywia się w grymasie.

– To wszystko moja wina – mówi przez łzy.

– To ważne, Gail. Powiedz nam, co się tam dokładnie dzieje – odpowiadam ostrzejszym tonem, niż zamierzałam.

– Spokojnie, Gail – włącza się komendant. – Jesteś ranna? – Stoję obok nich, zagarniając stopą śnieg i wydając z siebie ciche, pełne zniecierpliwienia odgłosy, aż McKinney posyła mi spojrzenie.

Gail głośno sapie.

– Nie, nie. Nic mi nie jest.

– Najpierw musisz się rozgrzać, a potem powiesz nam, co się dzieje. – Prowadzi ją do radiowozu z silnikiem na chodzie, otwiera drzwi i pomaga jej wsiąść na miejsce z przodu od strony pasażera. Komendant siada od strony kierowcy, a ja z tyłu. Przez chwilę słychać jedynie cichy płacz Gail. Komendant McKinney majstruje przy pokrętlach klimatyzatora i po chwili radiowóz zalewa fala ciepłego powietrza.

– Gail – mówię przez kratkę, która oddziela przednie siedzenia od tylnych. – Wiem, jakie to musi być dla ciebie trudne i jaka musisz być przerażona. – Spoglądam na komendanta, a on kiwa głową na znak, bym mówiła dalej. – Musimy dowiedzieć się trzech rzeczy, a potem zawieziemy cię gdzie zechcesz, dobrze? – Kiwa głową i pociera palcami powieki. – Przede wszystkim, czy ktoś w środku jest ranny?

Trzęsie się jej podbródek

– Nie wiem – mówi cicho. – Nie wiem, przeszedł korytarzem i zniknął.

– Jeden napastnik, Gail? Znasz go? To chciałaś powiedzieć? Jest ty lko jedna osoba? Młoda czy stara? – pytam, myśląc o synu Dorothy, Blake’u.

Gail zamyka oczy i kręci głową, jakby próbowała przywołać do siebie jego obraz.

– Nie rozpoznałam go. To mężczyzna, tylko jeden. Około czterdziestki – odpowiada szeptem.

Komendant McKinney i ja spoglądamy na siebie z ulgą. Przynajmniej możemy zapewnić Dorothy, że to nie jej syn wtargnął do szkoły, i zachęcić, by jak najszybciej znalazła dla niego pomoc.

– Widziałam, jak wchodzi do środka. – Gail płacze. – Mój Boże, przeszedł tuż przed szybą sekretariatu. Miał na sobie pas z narzędziami. Myślałam, że idzie naprawić piec, bo cały czas się psuje, a dziś jest przecież strasznie zimno. Nawet się nad tym nie zastanowiłam. A on tak po prostu przede mną przeszedł. Nawet mi pomachał. – Szloch nawraca i komendant klepie Gail po kolanie. – Powinłam była zauważyć, że nie jest ubrany jak konserwator. Miał na sobie eleganckie buty, a nie robocze. – Odrywa dłonie od oczu. Palce ma brudne od tuszu do rzęs. – Czy mogę zadzwonić do mojego męża? Proszę.

– Doskonale sobie radzisz, Gail. Jeszcze tylko jedno pytanie i będziesz wolna. – Czekam na skinienie komendanta, zanim zacznę mówić dalej. – Jeden mężczyzna. Rozpoznałaś go? – Kręci głową. – Miał broń? Pistolet, nóż? Zauważyłaś coś?

– Zobaczyłam dopiero, kiedy wrócił do sekretariatu. Zamknął nas na klucz i pomachał, jakby się z nami żegnał. Ale miał pistolet – mówi, wydając z płuc długi, drżący wydech. – Miał pistolet.

WILL

Will zakończył rozmowę z Marlys, nie porozmawiawszy z Holly. Miała gorączkę, nie spała dobrze w nocy. Holly tyle przeszła. Poparzenia, potwornie bolesna fizjoterapia. Kiedy Marlys opisała mu ją pewnego wieczoru przez telefon, Will aż musiał usiąść.

– Coś strasznego – powiedziała Marlys trzęsącym się głosem. – Musi wejść do wanny z wirującą wodą, która odrywa kawałki poparzonej skóry, a potem zrywają z niej resztkę szczotką.

– Mogę porozmawiać z mamą? – zapytał wtedy PJ, niecierpliwie ciągnąc Willa za rękaw. – Chcę jej powiedzieć, jak uciekła sześćdziesiątka trójka, a ja i Daniel zagnaliśmy ją z powrotem.

– Nie dziś, PJ – odpowiedział Will. – Twoja mama nie za dobrze się dziś czuje.

– Ale ja chcę jej powiedzieć. To jej na pewno poprawi humor – odparł PJ, podskakując, by wyrwać Willowi telefon.

– Powiedziałem: nie! – warknął Will ostrzej, niż zamierzał. PJ spojrział na dziadka z miną pełną żalu i niezrozumienia, po czym wybiegł z pokoju.

Tego wieczoru Will usiadł przy stole w kuchni, schował twarz w dłoniach i rozplakał się na myśl, że jego dziecko musi znosić taki ból. Nie mógł przestać myśleć o tym, że gdyby mieli lepsze relacje, gdyby miał więcej cierpliwości, więcej zrozumienia, Holly nigdy nie wyjechałaby z Broken Branch i żadna tragedia nie miałaby miejsca. W końcu w kuchni pojawiła się Augie i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Coś się stało mamie? – zapytała wystraszonym głosem.

Will wzdrygnął się na niespodziewany dotyk i Augie zrobiła dwa kroki w tył. Pospiesznie otarł łzy z twarzy wierzchem dłoni.

– Nic jej nie będzie – odpowiedział, nie potrafiąc spojrzeć wnuczce w oczy.

– Okej – odpowiedziała Augie niepewnym głosem. Po chwili, jakby to był dla niej wielki wysiłek, znów się odezwała. – Nic ci nie jest, dziadku?

– Nic, nic – szorstko odpowiedział Will, odsuwając krzesło od stołu. – Muszę sprawdzić, co u krów – dodał, po czym ruszył do drzwi.

– Przepraszam, że zapytałam – odburknęła Augie. – Chciałam być miła. Mój błąd.

– Wiesz, Augie, nie wszystko kręci się wokół ciebie – powiedział Will, nawet się nie odwracając.

Teraz siedząc w ciężarówce i przyglądając się spanikowanym rodzicom, którzy zbiegali się przed szkołę, zmartwieni o swoje dzieci, Willowi było wstyd. Augie, choć uparta i bardzo często nierozsądna, wyciągnęła do niego rękę, okazała mu życzliwość, której nie potrafił docenić. Choć

żadne z nich więcej nie wspomniało o tym zdarzeniu, przepaść między nimi się powiększyła. Augie nie atakuje go, nie lekceważy w bezpośredni sposób, odzywa się do niego tylko kiedy musi, jakby uznała, że nie jest godzien jej starań, i Will zastanawiał się, czy dziewczyna przypadkiem nie ma racji.

Spojrzał na strzelbę na siedzeniu obok i pokręcił głową ze wstydem. Zachował się jak szaleniec, przynosząc broń na miejsce zbrodni. Świetny sposób, żeby zarobić kulę – pomyślał. Policja może nie potrzebować jego pomocy, nawet jeśli był porucznikiem marines podczas wojny w Wietnamie. Nie zmieniało to faktu, że kiedy tylko dowie się, co dokładnie zaszło w szkole, będzie miał mnóstwo pomysłów na to, jak powinna działać policja. Nie zawaha się też powiedzieć, jak się załatwia takie rzeczy.

AUGIE

Nigdy nie poznałam ojca Beth. Kiedy przyjechaliśmy z PJ-em do Broken Branch, Beth z mamą i siostrami wyprowadziły się już ze swojej farmy i zamieszkały w niewielkim domu tylko kilka ulic od szkoły. Beth nie mówiła zbyt wiele o tym, co zaszło między jej matką i ojcem, ale wiem, że było ostro. Bardzo szybko przekonałam się, że w małych miasteczkach mężczyźni plotkują tak samo jak kobiety, z wyjątkiem mojego dziadka. To, że nie obgaduje innych, to chyba jego jedyna zaleta. Następnego dnia po naszym przyjeździe do Broken Branch zabrał mnie i PJ-a na stację benzynową, gdzie co rano spotykali się starzy farmerzy. Stali przed regałem z chipsami, pijąc kawę i rozmawiając o mężczyźnie imieniem Ray i kobiecie imieniem Darlene.

– Słyszałem, że załatwiła Rayowi sądowy zakaz zbliżania się – powiedział starzec o pomarszczonej, czerwonej twarzy i z łuszczącą się skórą na czubku nosa. – Po tym wszystkim, co dla niej zrobił.

– Nie pozwala mu nawet odwiedzać własnych córek – dodał mężczyzna w ogrodniczkach. Pokręcili głowami, jakby to była najsmutniejsza wiadomość, jaką w życiu słyszeli, ale w ich oczach dostrzegłam uśmiech. Byli tak samo wredni jak ósmoklasistki z mojej klasy w Revelation, kiedy dowiedziały się, że Cleo Gavin jest w ciąży i ponoć nie wie, kim jest ojciec.

– Wystarczy już – powiedział dziadek – Nie wiemy, co dokładnie zaszło. Nie róbcie większej tragedii, niż naprawdę jest. – Wszyscy mężczyźni spuścili głowy w poczuciu winy i wlepili wzrok w brudne od błota buty, aż w końcu ktoś zaczął mówić, jaka to niby deszczowa ma być nadchodząca wiosna. Zorientowałam się wtedy, że mój dziadek jest w Broken Branch kimś ważnym, choć nie polubiłam go bardziej z tego powodu.

– To na pewno nie on – szepczę Beth do ucha, nie wiedząc, czy to prawda, czy nie. – Twój tata by tego nie zrobił.

Beth oblizuje spierzchnięte usta i rozgląda się, by sprawdzić, czy ktoś podsłuchuje.

– Myślę, że mógłby – mówi ze smutkiem. – Myślę, że to on.

PANI OLIVER

Pani Oliver czekała na odpowiedź mężczyzny, wychylając się z krzesła i studiując jego twarz w poszukiwaniu choćby znaku, że ma rację.

– Kim, do cholery, jest Kenny Bingley? – zapytał mężczyzna. – Myślisz, że jestem jednym z twoich uczniów? – Nie dowierzał. – Przykro mi szanowną panią rozczarować, ale twoja obecność tutaj to tylko zbieg okoliczności. To nie ma z tobą nic wspólnego.

Pani Oliver z niezadowoleniem opadła na krzesło, w pełni świadoma, że jej sześćdziesięciopięcioletnie siedzenie kompletnie nie pasuje do krzesła przeznaczonego dla trzecioklasisty. Teraz miała jednak dwie wskazówki co do tożsamości intruza. Po pierwsze z całą pewnością nie był jej byłym uczniem. Wydał się być zupełnie niewzruszony takim zarzutem. Po drugie chodziło mu o kogoś z dzieci w klasie. Tak, jedno z nich miało dla niego kluczowe znaczenie. Ta świadomość dodała jej odwagi.

– W takim razie powiedz, czego chcesz – dopytywała. – Dlaczego przetrzymujesz klasę pełną ośmiolatków? Czemu to ma służyć?

Mężczyzna spojrział na zegarek.

– Przekonasz się – odpowiedział. – Przekonasz się już niedługo.

– A może zgadnę? – zapytała pani Oliver, kiedy tylko taka myśl zaświtała jej w głowie.

– Co zgadniesz? – zapytał mężczyzna w rozargnieniu, sprawdzając coś na komórcie sprawiającej wrażenie trudnej w obsłudze. Ten sam model, o który długo prosiła Cala.

– Jeśli zgadnę, co tu robisz albo kim jesteś, puścisz dzieci wolno? Z pewnością nie potrzebujesz osiemnastu zakładników. Jeden powinien ci wystarczyć.

Dla pani Oliver nie była to nowa gra. Przez czternaście lat żaden z jej uczniów nie dowiedział się, że na pierwsze imię ma Evelyn. Przypadek sprawił, że stało się to dla dzieci zabawą. Przez lata uczniowie próbowali odgadnąć jej imię niczym we współczesnej wersji *Rumpelstytka*, ale bez pięknej królowny ani zabawnego małego człowieka, chyba że liczyć Russela Franco, który uparł się rozwiłkać tę tajemnicę.

– Gertrude? – mówił Russel, wchodząc do klasy. – Shirley, Margaret, Sally, Diano, Inger, Raquel? – Pani Oliver kręciła głową i pokazywała Russelowi jego ławkę. Pewnego wiosennego dnia, tuż pod koniec roku szkolnego, Russel wszedł pewnym krokiem do sali, jeszcze zanim pojawiła się reszta uczniów, i hardym tonem powiedział:

– Dzień dobry, Evelyn. – Pani Oliver była przygotowana na ten dzień. Nie żeby przeszkadzało jej, że uczniowie znają jej imię – po prostu bardzo nie lubiła przegrywać.

– Dzień dobry, Russelu Hubercie – powiedziała lekkim tonem. Russel zamarł i spojrzał na nią, jakby chciał powiedzieć: „nie ośmieli się pani”.

Pani Oliver uśmiechnęła się, dając mu do zrozumienia, że owszem, ośmieli się. Przez ostatnie tygodnie szkoły Russel kontynuował grę, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

– Dzień dobry, Delores, Lorraine, Ramono? – Pani Oliver tylko uśmiechała się tajemniczo.

Pani Oliver była więc bardziej niż skłonna grać w tę zgaduj-zgadulę, zwłaszcza jeśli oznaczało to, że zdoła w ten sposób wyzwolić swoich uczniów i umożliwić im powrót do domu. Miała pamięć jak słoń. Gdyby tylko dobrze się zastanowiła, potrafiłaby przypomnieć sobie każdego ze swoich byłych uczniów i ich rodziców. To z pewnością nie była przypadkowa wizyta.

– Jasne, zgaduj sobie – powiedział mężczyzna z bronią, patrząc na nią martwym wzrokiem.

– I jeśli będę miała rację, wypuścisz dzieci wolno? – zapytała z nadzieją.

– Tak. A jeśli się pomylisz, to któreś zastrzelę.

MEG

Ktoś puka w szybę radiowozu i cienka warstwa śniegu, która ją przykrywała, opada. Przez okno zagląda pomarszczona, zmartwiona twarz i Gail znów zaczyna płakać.

– Czy mogę już pójść? – pyta, wyciągając dłoń po wewnętrzną klamkę. Jej mąż, Merle, starszy od niej o przynajmniej piętnaście lat, stoi przed samochodem i czeka.

Patrzę na komendanta, który przecząco kręci głową.

– Jeszcze nie, Gail, ale znajdziemy kogoś, żeby zabrał ciebie i Merle'a na komisariat. Musimy mieć portret pamięciowy mężczyzny, którego widziałas. Wtedy będziesz mogła pojechać do domu.

– Czuję się okropnie – mówi Gail, z trudnością wydobywając z siebie słowa. – Powinnam być w środku z całą resztą, ale pani Brightman kazała mi uciekać, póki jeszcze mogę.

– Pani Brightman kazała ci uciekać? – pyta komendant McKinney. Margaret Brightman to dyrektorka szkoły. – Co się wtedy z nią działo?

– To ona rzuciła krzesłem w okno. Nie mogliśmy się wydostać poza sekretariat. Ten człowiek założył łańcuch na drzwi albo inaczej je zablokował. – Spoglądam na komendanta i unoszę brew, zaskoczona. Margaret Brightman zdecydowanie nie jest typem osoby, która rzucałaby w cokolwiek krzesłami. Gail mówi dalej, co chwilę wdychając.

– Kiedy wyczołgałam się na zewnątrz, nie chciała iść ze mną. Próbowwała się dodzwonić do policję. Szkolne telefony przestały działać. Pewnie właśnie do tego zabrał się w piwnicy – do przecinania kabli telefonicznych. Margaret dzwoniła z komórki, ale od razu ją odrzuciło, a kiedy oddzwoniła, linia była zajęta. – Gail pokręciła głową. – Nie wiedziałam, że coś takiego może się przydarzyć. Pani Brightman powiedziała, że nie opuści szkoły, dopóki wszyscy uczniowie i nauczyciele nie będą bezpieczni.

– A woźny?

Pani Lowell chwytając palcami swój wisiołek i siada wyprostowana.

– Harlan. Harlan Jones. Jego pokój znajduje się na dole, przy kotłowni. – Spogląda na komendanta z zaskoczonym miną. – Myślicie, że ten intruz zrobił coś Harlanowi?

Próbuję wyciągnąć z Gail jak najwięcej, zanim przytłoczy ją ogrom sytuacji.

– Gail, czy oprócz ciebie i pani Brightman był w sekretariacie ktoś jeszcze? Inni nauczyciele czy uczniowie? Czy szkolna pielęgniarka jest dziś w pracy?

– Nie, dziś jest w szkole w Dalsing. Byłyśmy tylko we dwie. Właśnie odesłałam dziewczynkę z zerówki z powrotem do jej sali. Skarzyła się na ból brzucha, a ja ją odesłałam.

Wibruje mi telefon, zerkam na wyświetlacz, na wypadek gdyby dzwoniła Maria albo Tim. Znów Stuart. Nie wie, kiedy przestać. Dwa tygodnie temu, kiedy wyciągnęłam ze skrzynki na listy sobotnie wydanie „Des Moines Observer” i zobaczyłam pierwszą stronę, aż zbladłam z przerażenia. Nie wiem, jak dokładnie Stuart dotarł do ofiary gwałtu, jak połączył ją z najbardziej wpływowym mężczyzną w hrabstwie Stark, ale wiem, że informacje uzyskał ode mnie, choć podałam mu je przy padkowo i z pewnością nie w tym celu.

W styczniu, późnym wieczorem, zostałam wezwana do domu państwa Marthy i Nicka Crosbych. Tamtego wieczoru ich dziewiętnastoletnia córka, Jamie, wróciła do domu na skraj hysterii i z podejrzanyminymi siniakami na twarzy.

– Nic nam nie chce powiedzieć – powiedziała mi Martha, cała we łzach. – Zamknęła się w swoim pokoju i nie chce wyjść. – Nick Crosby, z dłońmi zaciśniętymi w pięści, chodził po pokoju w tę i z powrotem, nie wiedząc, co ze sobą począć. Dwoje młodszych dzieci Crosbych, przypominających ojca kropka w kropkę, stało boso w pidżamach i patrzyło na wszystko przerażonymi minami.

– Dajcie mi spróbować – powiedziałam i odesłałam rodzinę do kuchni.

Cicho zapukałam do drzwi pokoju Jamie.

– Jamie, tu Meg Barrett – przedstawiłam się, celowo nie wymieniając stopnia służbowego. Wiedziała przecież, czym się zajmuję, a nie chciałam jej jeszcze bardziej przestraszyć. – Twoi rodzice bardzo się o ciebie martwią. – Zamilkłam, oczekując odpowiedzi. Nic, tylko ciężki oddech kogoś, kto próbuje powstrzymać płacz. – Może mi otworzysz, Jamie, i porozmawiamy? Obiecuję, jestem tu sama. Kazałam wszystkim czekać w kuchni.

Usłyszałam szuranie stóp za drzwiami.

– Idź sobie, proszę – odezwał się niepewny, chrapliwy głos.

Oparłam się o framugę drzwi, próbując utrzymać cichy i kjący ton głosu.

– Chcę się tylko upewnić, że nie potrzebujesz pomocy lekarza, Jamie. Jeśli nie chcesz, nie musisz niczego mówić. Obiecuję.

Po pięciu minutach cisy drzwi powoli się otworzyły i spojrzało na mnie szeroko otwarte, przestraszone, brązowe oko. Poczekałam, aż kiwnie głową i ustąpi mi przejścia, zanim weszłam do środka. Była to typowa sypialnia nastolatki. Porozrzucane ubrania, tablice korkowe pełne zdjęć przyjaciół, odznaczeń szkolnych, biletów kinowych i plakatów kampanii Greta Merritt, miejscowej bizneswoman i najmłodszej kandydatki na gubernatora, czarnego konia wyborów. Kiedy Jamie zobaczyła, jak przyglądam się plakatowi, zaczęła na nowo płakać. Wiedziałam, że Jamie jest nianią dwójki dzieci Merrittów i udzielała się w sztabie kampanii.

Ostrożnie zmierzyłam ją wzrokiem, wiedząc, że wystarczy jeden fałszywy ruch i Jamie zupełnie zamknie się w sobie. Lewe oko, mocno spuchnięte, zaczynało już sinieć. Ostrożnie trzymała przy ciele prawe ramię. Czekałam, rozglądając się po pokoju za jakimkolwiek śladem. Mój wzrok spoczął na jednej z tablic. Była pełna materiałów promocyjnych z kampanii Greta Merritt – wpinek zdjęć, naklejek na zderzaki. Jedno zdjęcie przykuło moją uwagę. Greta Merritt uśmiecha się jak gwiazda filmowa i obejmuje ramieniem swojego przy stojnego męża, Matthew. Pomiędzy dwójką ich płowłosych dzieci stoi Jamie Crosby i nieśmiało uśmiecha się do obiektywu.

– Ktoś cię skrzywdził – powiedziałam, nie spuszczać wzroku ze zdjęcia.

– Tak – szepnęła.

– Bardzo nam pomogłaś, Gail – mówi komendant, otwierając drzwi samochodu, a lawina zimnego powietrza przywraca mnie do rzeczy wiści.

Gail nie wygląda na przekonaną, więc nachylam się w jej stronę.

– Komendant ma rację. Potrzebowaliśmy tych informacji. Teraz wiemy, z czym mamy do czynienia i możemy pomóc tym, którzy są w środku.

Gail kiwa głową i otwiera drzwi. Merle stoi tuż za nimi, pomaga wysiąść żonie z samochodu i bierze ją w ramiona. Szybko odchodzę z opuszczoną głową, żeby dać im trochę prywatności. Jeden mężczyzna ma broń. To niewiele, ale przy najmniej teraz wiemy coś na pewno.

AUGIE

Beth kołysze się delikatnie w przód i w tył, a jej ramię ociera się o moje. Przytrzymuje głowę dłońmi i mamrocze coś pod nosem. Dopiero po kilku minutach zdaję sobie sprawę, że się modli. Wypowiada słowa modlitwy, którą usłyszałam kiedyś, przerzucając kanały w telewizorze. Modlitwę prowadziła kobieta w zbyt mocnym makijażu, stojąca na czele wielkiego tłumy. Ludzie mieli zamknięte oczy i łyły na policzkach i z rozpostartymi ramionami kołysali się to w lewo, to w prawo do rytmu słów kobiety. Amen, siostró – mam ochotę powiedzieć, ale w porę się powstrzymuję.

W pierwszą niedzielę, jaką spędziliśmy w Broken Branch, dziadek kazał mi i PJ-owi pójść z nim do kościoła. Leżałam w łóżku zagrzebana pod kołdrą w pokoju, który kiedyś należał do mojej mamy. Dziadek najpierw zapukał do drzwi, po czym dobiegło mnie lekkie skrzyknięcie. Czułam, jak stoi w progu, a jego ciało rzuca wysoki i szeroki cień. Staralam się oddychać miarowo i głęboko, jakbym spała.

– Augie – szepnął. Jego głos był niski jak odgłosy krów, które trzymał w wielkiej oborze. – Augie, czas wstawać. Za pół godziny jedziemy do kościoła. – Leżałam nieruchomo, w nadziei, że sobie odpuści i pojedzie beze mnie. Niestety. – Augie – powtórzył i tym razem jego głos poniosł się po całym pokoju. – Wyjeżdżamy za pół godziny.

Wyjrzałam spod kołdry i momentalnie poczułam na nosie zimne powietrze.

– Źle się czuję – wymamrotałam, chowając twarz w miękkiej poduszce. Była tak dziurawa, że po pierwszej przespanej na farmie nocy, kiedy po przebudzeniu spojrzałam w lustro, myślałam, że w pokoju spadł śnieg.

– Masz dwadzieścia pięć minut – powiedział zniecierpliwiony, po czym odwrócił się i zamknął za sobą drzwi.

Wtedy nie znałam jeszcze dziadka na tyle, by wiedzieć, jak daleko mogę się posunąć, więc zwlekłam się z łóżka i włożyłam te same dzinsy, które miałam na sobie dzień wcześniej oraz T-shirt z długim rękawem. Byłam pewna, że kiedy zejść na dół, dziadek natychmiast odeśle mnie na górę, żebyśmy się przebrała, ale sam miał na sobie dzinsy.

– Lepiej weź coś ciepłego – powiedział, podając mi czerwoną kurtkę, która cuchnęła pleśnią i pewnie kiedyś należała do mamy. Prawie po nią sięgnęłam, ale ostatecznie cofnęłam rękę.

– Nie jest mi zimno – powiedziałam i przeszłam obok dziadka, po czym siadłam w pikapie obok PJ-a, który ubrany był w kurtkę o takim samym stęchłym zapachu, tylko o jakieś cztery rozmiary za dużą.

– Wiem – powiedział, widząc moje spojrzenie. – To wujka Todda. Ale przynajmniej jest mi ciepło. Ty zamarznieś.

– Przynajmniej nie wyglądam jak debil – odpyskowałam, wkładając dłonie w rękawy koszulki, próbując je rozgrzać. W tej samej chwili dziadek wsiadł za kierownicę, na co całe auto przechyliło się na jego stronę. Przejechaliśmy w ciszy całą drogę do kościoła, który okazał się być mniejszy, niż myślałam, ale też ładniejszy. Spodziewałam się, że dziadek przeprawiając z nami przez główną nawę do ławki w pierwszym rzędzie, ale nic podobnego. Zamiast tego poprowadził nas w prawą stronę. Usiadłam na twardej, drewnianej ławce, a dziadek opuścił klęcznik. Patrzyłam na niego uważnie kątem oka. Spodziewałam się, że będzie zgrywał straszego świętoszka, ale się myliłam. Śpiewał za to głośno i wyraźnie. Nawet lepiej niż kierownik chóru w mojej byłej szkole w Revelation.

Z mamą nie chodziliśmy do kościoła w Revelation. Nigdy nie zapytałam dlaczego, ale zawsze mnie to zastanawiało. Za to PJ zapytał o to ledwie na tydzień przed pożarem. Siedzieliśmy przy małym stoliku w kuchni i jedliśmy kurczaka z ryżem, którego zrobiłam na kolację.

– Dlaczego nie chodzimy do kościoła? – zapytał, po czym zapchał usta ogromnym kawałkiem mięsa.

Ktoś, kto nie zna naszej mamy, mógłby pomyśleć, że kompletnie nas ignorowała. Powoli gryzła kawałek bagietki, niespiesznie piła wodę, wycierała usta serwetką, odniosła talerz do zlewu. Dawała sobie czas, by dokładnie przemyśleć odpowiedź, jakiej powinna nam udzielić.

– Przez siedemnaście lat ojciec zmuszał mnie, żebym co niedzielę chodziła do kościoła, PJ, i w niczym mi to nie pomogło. – Upuściła sztućce do zlewu i odwróciła się do nas. – Uważam, że człowiek nie musi chodzić do kościoła, żeby być blisko Boga. Pustynia równie dobrze się do tego nadaje. – Siedziałam przy stole, po cichu mówiąc: „Cii, nie mów takich rzeczy”. Czulałam ciężar jej przewinienia. – Boga i tak tam nie ma, a nawet jeśli ktoś chodzi do kościoła codziennie, to wcale nie czyni go świętym.

Patrzyłam, jak stoi przy zlewie i zgrzebuje z talerzy ryż do wurnika, przy tym samym zlewie, przy którym stała tydzień później, a jej poparzona skóra ześlizgiwała się z jej rąk i splywała do odpływu razem z wodą. Czasem zastanawiam się, czy poparzenie było karą za to, co powiedziała, choć w głębi duszy wiem, że to nie ma sensu, że Bóg nie mógłby być tak okrutny.

Zerkam na zegar na ścianie. Siedzimy tu od niespełna godziny, a mam wrażenie, że minęła wieczność. Pan Ellery zeskakuje z biurka, sięga do kieszeni, wyciąga komórkę, patrzy na nią przez chwilę, po czym odkłada ją do kieszeni.

– Dlaczego nikt nie zadzwonił? – nagle pyta Beth. – Dlaczego nikt po nas nie przyszedł?

Pan Ellery kręci głową. Ja też się nad tym zastanawiam. Nie mogę uwierzyć, że nie slychać jeszcze policyjnych syren, helikoptera ani niczego w tym stylu. W Arizonie nasza szkoła ogłaszała alarm czerwony przynajmniej raz na kilka miesięcy, ale nigdy nic złego się nie stało. Zawsze chodziło o jakiś wypadek w okolicy, nikt nigdy nas nie zaatakował. Martwię się też o P.J-a. Straszny z niego mięczak. Pewnie chowa się właśnie pod swoją ławką.

Kiedy mama się poparzyła, zamiast pomóc, PJ pobiegł do swojego pokoju i schował się pod kocem. Trochę to rozumiem. Patrząc, jak płoną nasze zasłony i jak mama zrywa je gołymi rękami, które ogarniają płomienie, aż w końcu wygląda tak, jakby trzymała w dłoniach kule ognia, było czymś szokującym. Wyprowadzenie mamy z domu było wystarczająco trudne. Musiałam odciągnąć ją od zlewu i wypchnąć za drzwi, podczas gdy cały czas krzyczała „PJ,

PJ!”. Wyprowadzenie PJ-a graniczyło z cudem. Nie chciał wyjść, aż w końcu chwyciłam za rogi koca i wywlekłam mojego brata z pokoju, jakby był workiem śmieci. Dym był gęsty i czarny. Płuca miałam ściśnięte i każdy oddech przypominał polykanie pokruszonej kredy. Od ciągnięcia PJ-a po pełnych dymu korytarzach bolały mnie ręce. Kiedy w końcu dotarłam do drzwi i wyszłam na ganek, gdzie oślepiło mnie ostre słońce, zobaczyłam mamę na kolanach i pochylonych nad nią sąsiadów. Obok mnie PJ próbował wygrzebać się spod koca, a kiedy w końcu się spod niego wyłonił, okulary miał przelrzywione, a brązowe włosy sterczały mu jak u jeżowierza.

Syreny wozów strażackich i karetki zagłuszyły jego wołania do mamy i to, jak potknął się na schodach. Zanim zdołał do niej dobiec, strażacy zdążyli nas przechwycić, żeby zabrać mnie i PJ-a na bezpieczną odległość od domu, z którego wydobywały się kłęby szarego dymu.

Wyobrażam sobie, jak PJ siedzi teraz w swojej sali, z rękami i głową schowanymi pod bluzą, niczym żółw w skorupie, i myśli sobie: „Jeśli tego nie widzę, to tego nie ma”.

– Głupi mięczak – odruchowo mówię na głos i Noah daje mi mocnego kuksańca w bok.

Nasza sąsiadka, Pani Florio, zadzwoniła do mojego taty i powiedziała mu, co się stało. Jechaliśmy w ciszy na tylnym siedzeniu jej kombi. Tata miał czekać na miejscu.

– Myślisz, że nic jej nie będzie? – zapytał PJ, patrząc na mnie wielkimi, przerażonymi oczami, powiększonymi przez jego brudne od sadzy okulary.

– Nie wiem – odpowiedziałam uczciwie. Poparzenia na dłoniach mamy wyglądały strasznie źle, włosy po jednej stronie głowy były kompletnie spalone, twarz miała ogniście czerwoną, a jedno ucho pokrywały sączące się pęcherze. Zanim dym przesiąkł moje ubrania i włosy, nadając mi zapach ogniska, czułam woń jej płonącej skóry, słodką i ostrą jednocześnie. Przelknęłam głośno ślinę, starając się nie zwymiotować.

– Myślisz, że puszczą ją dziś do domu? – zapytał PJ. – Myślisz, że wszyscy wrócimy dziś do domu?

– Nie wiem – odparłam i zatkałam palcami nos, próbując powstrzymać okropny zapach.

– Co z naszymi ubraniami? Gdzie będziemy dziś spać? O rany – jęknął PJ. – Myślisz, że moja praca domowa się spaliła? Jeśli zniszczą się podręczniki, każą ci za nie płacić, wiesz?

– Zamknij się, PJ! – powiedziałam wściekle. – Wiem tyle, co ty. – Odsunęłam się od niego jak najdalej i wystawiłam głowę za okno, biorąc wielkie wdechy świeżego powietrza.

– W ten sposób możesz sobie odciąć głowę – powiedział PJ, zadzierając nosa. – Nie żeby była ci potrzebna. – Czekał, aż zapytam go, dlaczego niby miałabym nie potrzebować mojej głowy, ale nie dałam mu tej satysfakcji i jeszcze dalej wystawiłam głowę. – Bo i tak nie masz mózgu – dokończył z dumą.

– Ha, ha – odpowiedziałam.

– No już, spokój – powiedziała pani Florio z wyraźnym hiszpańskim akcentem. – Musicie się o siebie troszczyć, a nie kłócić. – Uwielbiałam głos pani Florio. Czasem zamykałam się w łazience, stawałam przed lustrem i próbowałam naśladować jej niską barwę, która wydobywała się głęboko z jej gardła jak mruczenie kota. Wyobrażałam sobie, że mam jej czarne, gładkie, lśniące włosy zamiast moich brązowych, wątych i zwykłych. Nie miała chyba męża, tylko wyglądających groźnie chłopaków, którzy wieczorami podjeżdżali z rykiem silnika pod jej dom i odjeżdżali wcześniej rano, zanim weszło słońce.

– Augie – powiedział ojciec, podbiegając do mnie i mocno mnie obejmując. Przytuliłam

twarz do jego piersi i wciągnęłam powietrze. Pachniał jak zawsze, jak gruby, skórzany pas, który nosił w spodniach, i krem do golenia. – Nic ci nie jest? – zapytał, odsuwając się i mierząc mnie wzrokiem. – Co się stało?

– Wybuchł pożar i mama się poparzyła, i w całym domu był dym, i Augie musiała wytaszczyć mnie na zewnątrz w kocu, i przyjechała straż pożarna i karetka – jednym tchem odpowiedział PJ.

Ostrożnie przyglądałam się twarzy taty. Bardzo się starał, ale nie zawsze udawało mu się ukryć to, co czuł wobec PJ-a... Może było to zniecierpliwienie, zazdrość, nienawiść? Nie wiem.

– Nic ci nie jest, PJ? – zapytał tata miłym tonem, a ja odetchnęłam.

– Nie – odpowiedział PJ, patrząc na niego, jakby był Bogiem czy coś. – A jak ty się masz? – Aż przewróciłam oczami. Mały dorosły. Zanim mój tata zdołał odpowiedzieć, podeszła do nas bardzo wiekowa kobieta w lekarskim kitlu i z siwą trwałą, w której wyglądała, jakby na głowie siedział jej pudeł.

– Nazywam się doktor Ahern – przedstawiła się, wymieniając z każdym z nas uścisk dłoni, nawet z PJ-em. – Jesteście rodziną Holly Baker?

– Tak – odpowiedział mój ojciec. – To znaczy, jestem jej byłym mężem, a to są jej dzieci, Augie i PJ.

Doktor Ahern pokiwała głową ze rozumieniem.

– Oparzenia na dłoniach i ramionach Holly okazują się być dość poważne. Podaliśmy jej kroplówkę z antybiotykami, żeby zapobiec zakażeniu, oraz leki uspokajające, żeby nie czuła bólu. Inne oparzenia – te na twarzy i uchu – są mniej groźne, ale będziemy się im uważnie przyglądać.

– Mama wróci dziś z nami do domu? – zapytał PJ. Trzęsła mu się dolna warga, a oczy wypełniły łzami.

Lekarka pokręciła głową.

– Przykro mi, ale twoja mama musi tu na trochę zostać. Zespół z oddziału oparzeniowego oceni dokładnie jej stan zdrowia, ale podejrzewam, że nie od razu stąd wyjdzie.

Po twarzy PJ-a spłynęła pojedyncza łza, pozostawiając na jego policzku brudny ślad. Spojrzał na mnie.

– A co będzie z nami? – Zastanawiałam się nad tym samym i spojrzałam na tatę, który robił co w jego mocy, aby nie patrzeć na mnie.

– Możemy ją zobaczyć? – zapytałam, próbując się nie rozplakać. Gdyby nie moja głupota, mama w ogóle nie trafiłaby do szpitala.

Doktor Ahern przecząco pokręciła głową.

– Jeszcze nie teraz. Na razie musimy się nią zająć, ale ktoś będzie was regularnie informował o jej stanie. Jeśli chcecie pójść się umyć i przebrać, możecie zostawić numer telefonu, a my zadzwonimy po was.

Razem z PJ-em spojrzeliśmy na mojego tatę.

– Jedziemy do domu. Przydałby się prysznic i jakieś nowe ubrania. – Przytulił mnie do siebie, co było wspaniałym uczuciem, ale jednocześnie nie mogłam nie widzieć stojącego obok samotnie PJ-a. Jego nikt nie chciał przytulić.

– PJ też? – zapytałam.

– Oczywiście – odparł ojciec, jakby to było głupie pytanie, ale nie dałam się nabrać.

Zanim zdołam powiedzieć panu Ellery'emu, że muszę znaleźć brata, ten zsuwa się z biurka.

– Zostańcie tu – nakazuje. – Wyjrzę za drzwi.

– Niech pan nie idzie – mówi Beth, podnosząc się na nogi i łapiąc go za rękaw.

– Nie martw się – mówi jej. – Wyjrzę tylko na korytarz. – Podchodzi do drzwi i przyciska twarz do szyby, po czym przetacza czoło po szkle, najpierw w lewo, potem w prawo, starając się rozejrzeć po długim korytarzu.

Przekręca gałkę, po czym bezszelestnie uchyła drzwi, uważając, by nie skrzyknęły.

– Gdzie pan idzie? – mówi Beth z paniką w głosie. – Nie może nas pan zostawić.

– Cii, Beth – uspokaja ją pan Ellery. – Wracaj na miejsce i siadaj.

– Nie, niech pan tam nie idzie – nalega Beth. Panika w jej głosie mnie zaskiwa. Zwykle jest taka opanowana i potulna.

Wstaję, podchodzę do niej i biorę ją za łokieć, próbując odciągnąć od pana Ellery'ego.

– Chodź – mówię jej cicho do ucha.

– A jeśli on tu wejdzie? – pyta Beth trzęsącym się głosem. – A jeśli przyszedł tu po mnie?

– Kto? – pyta pan Ellery, patrząc groźnie na bladą twarz Beth. – Wiesz coś o tym wszystkim?

– Ona myśli, że to jej tata – szepczę tak, żeby nikt inny nie usłyszał. – Myśli, że po nią przyszedł.

Beth wlepia we mnie wzrok. Jej przerażone oczy stają się surowe i wściekłe. No i po mojej jedynej przyjaciółce w Broken Branch. Przepadła ot tak.

Pan Ellery zamyka drzwi z ledwie słyszalnym kliknięciem. Zabiera Beth z dala od drzwi i od innych uczniów w przeciwległy kąt sali. Chcę pójść z nimi, by móc jakoś wynagrodzić Beth to, co powiedziałam, ale pan Ellery krótko potrząsa głową na znak, bym wróciła na miejsce na zimnej podłodze.

– O co, do cholery, chodzi? – pyta Noah. Wzruszam ramionami i czuję, jak twarz robi mi się czerwona, a w brzuchu zaczyna głośno burczeć. Szkoda, że nie zjadłam nic na śniadanie, ale jakby powiedziała mama, „strzeliłam klasyczną Augie” i zagnałam się w kozi róg. Byłam zła na dziadka, a ponieważ powiedział mi, że powinnam coś zjeść przed szkołą, odparłam, że nie jestem głodna. Na dodatek w czasie lunchu nie zjadłam nic poza torebką chipsów. Więc teraz, mimo że tak się boję, że aż mi niedobrze, czuję głód.

Beth zaczęła płakać i pan Ellery próbuje ją uspokoić, poklepując po ramieniu. Ma niezręczną minę i skinieniem głowy daje mi znak, że powinnam do nich podejść, ale mam przecucie, że to tylko pogorszy sprawę, więc kładę głowę na kolanach i odwracam od niego twarz, udając, że nie widzę.

HOLLY

Wchodzi lekarka, sprawdza przeszczepy na moich rękach oraz miejsca, z których je pobrano, ciągnące się długim pasem na moim udzie. Przez wiele tygodni ból był tak obezwładniający, że nie miałam właściwie siły myśleć o tym, jak wyglądam. Teraz jednak nie mogę się powstrzymać od patrzenia na moją zmasakrowaną skórę i myślenia o tym, jak to będzie, kiedy wyzdrowię.

– Minie trochę czasu, zanim nabierzemy pewności, że operacje się udały, ale wygląda na to, że przeszczepy dobrze się goją, Holly – mówi mi. – Naszym największym zmartwieniem jest na razie twoja nawracająca infekcja i to, dlaczego tak powoli reaguje na działanie antybiotyków.

Kiwam głową. Infekcje od początku były problemem.

– A co z moimi dłońmi? – pytam. To moje największe zmartwienie. Nie gorączka, twarz ani ramiona, tylko dłonie. Jakimś sposobem nie poparzyłam ich aż tak bardzo, a mimo to stwierdzono na nich oparzenia drugiego stopnia. Bez pełnej władzy w rękach nie będę mogła pracować jako fryzjerka. Niektórym ludziom taki zawód może się wydawać mało atrakcyjny, ale ja uwielbiam moją pracę. Uwielbiam, jak klientki nieśmiało uśmiechają się z zadowoleniem na widok nowego cięcia albo koloru. Uwielbiam upięcia, które robię pannom młodym i nastolatkom szykującym się na studniówkę, odmieniając je na ten wyjątkowy dzień. Może nie mieszkałam długo na farmie, ale nauczyłam się czegoś, mieszkając z rodzicami – jak ciężko pracować. I tak właśnie robię. Nie zarabiam wielkich pieniędzy, ale radzę sobie na tyle, by utrzymać Augie i PJ-a.

– Proszę się przykładać do rehabilitacji – nakazuje lekarka. – A nie widzę powodu, dlaczego nie miałabyś odzyskać pełnej władzy w rękach. – Z powrotem padam na poduszki, nagle czując ogromne zmęczenie, ale i ulgę. – Jesteście z Iowa, prawda? – pyta lekarka, idąc do wyjścia. – W wiadomościach mówią coś o szkole w Iowa i napadzie z bronią.

– Ojej, to straszne – wzdycha mama i w tej samej chwili do pokoju zagląda pielęgniarka.

– Gotowa na smarowanie? – Pokazuje mi tubkę balsamu, który wmasowuje co dzień w przeszczepioną skórę, żeby nie wyschła i nie popękała.

– Jasne – odpowiadam. Jestem gotowa wydobrzeć i się stąd wynosić. Im wcześniej, tym lepiej.

PANI OLIVER

Pani Oliver nie wiedziała, co odpowiedzieć mężczyźnie z pistoletem po jego deklaracji, że zabije jednego ucznia za każdą błędną próbę odgadnięcia jego tożsamości. Nie sądziła, by rzeczywiście mógł zabić dziecko, ale czy mogła mieć pewność? Robił się bardzo rozkojarzony i co kilka minut sprawdzał telefon. Niedawno Cal kupił jej taki sam model. Można było przez niego rozmawiać, kupować coś przez Internet i wysyłać e-maila jednocześnie.

Pani Oliver jeszcze raz rozejrzała się po twarzach uczniów. Większość z nich niespodziewanie dobrze radziła sobie w tej sytuacji. Nawet Austin, który zwykle nie był w stanie usiedzieć pół minuty, był nieruchomy jak kamień. A buzia Natalie w końcu nabierała normalnego koloru, choć jeszcze przed chwilą była tak blada, jakby za chwilę miała zemdleć. Pani Oliver chciała, żeby mężczyzna pozwolił dzieciom czytać albo rysować – robić cokolwiek, co choć trochę je rozluźni, pomoże im przeczekać.

To, co martwiło panią Oliver najbardziej – oczywiście poza ich bezpieczeństwem – było to, czy po całym tym zajściu będą chciały wrócić do swojej szkoły. Szkoła w Broken Branch i klasa pani Oliver miały być miejscem, gdzie uczniowie czują się chciani i bezpieczni. Dla wielu był to drugi dom, a jeśli dobrze się przyjrzeć, niektórzy otrzymywali tu więcej troski i uwagi niż u siebie. Na przykład Andrew Pippin. Pani Oliver nie umiała tego dowieść, ale była przekonana, że chłopcem pomiata jego ojczym. Andrew często przychodził posiniaczony, ale zawsze miał na to jakąś wymówkę. To zresztą nie wszystko. Pod koniec zajęć w jego oczach pojawiał się niepokój. Andrew robił się jeszcze bardziej pobudzony, jeszcze bardziej przeszkadzał, cały czas zerkając na zegar, który coraz bliższy był wskazania piętnastej dwadzieścia.

W chwili takiej jak ta Andrew straciłby poczucie bezpieczeństwa. Jak zresztą wszystkie dzieci. Ciężka praca, jaką wykonała, by stworzyć ciepłe, przyjazne środowisko, została zniszczona przez tego okropnego mężczyznę. Im więcej o tym myślała, tym większe czuła oburzenie. Czy dzieci będą miały koszmary o szkole? Czy będą się trząść i pocić, przychodząc na lekcje? Czy będzie je ścisnąć w dołku po drodze do tej klasy? Zespół stresu pourazowego to udowodnione zaburzenie psychologiczne. Pękłoby jej serce, gdyby kiedyś okazało się, że ten dzień będzie jedyną rzeczą, jaką dzieci zapamiętają z tego roku. „Jak się nazywała twoja nauczycielka z trzeciej klasy?”. „Nie pamiętam, za to dobrze sobie przypominam dzień, kiedy na lekcję wszedł facet z pistoletem” – będą mówić.

„Z pistoletem?” – zapyta ktoś. „Co zrobiła wasza nauczycielka?”.

Jej byli uczniowie ze smutkiem pokręcą głowami, ręce wcisną w kieszenie i powiedzą:

„Absolutnie nie”.

Pani Oliver wiedziała, że robi się coraz starsza, i wiele razy pytano ją, kiedy przejdzie na emeryturę i znacznie cieszyć się życiem. Bywały takie dni, kiedy z trudem nadążała za swoimi uczniami, i więcej niż raz przyłapała się na tym, że przysypia nad biurkiem. Raz zdarzyło się nawet, że podczas prezentacji Jillie Quinn na temat pingwinów zdała sobie sprawę, że lekko pochrapuje. Na szczęście zauważył to tylko PJ Thwaite i dyskretnie szepnął jej, że jego dziadek pije w niedzielę rano cztery filiżanki kawy, żeby na porannej mszy nie zdarzyło mu się to samo.

Nie było mowy, by pani Oliver odeszła w taki sposób. Nie miała zamiaru przejść w czerwcu na emeryturę, będąc zapamiętaną jako nauczycielka, która siedziała beczynnie. Nie chciała, żeby ostatnie wspomnienia uczniów o tej szkole, zanim zostanie zamknięta na zawsze, dotyczyły przemocy i strachu. Prędeży umrze. W zakamarkach swojego umysłu usłyszała wtedy głos Cala, który próbuje przemówić jej do rozsądku. „Evie, kochana” – powiedziałby kojącem tonem, a ona niemal poczuła, jak mąż obejmuje ją ramieniem. „Naprawdę myślisz, że będzie lepiej, jeśli dzieci zapamiętają, jak ktoś cię zastrzelił?”.

Oczywiście miałby rację, jak niemal zawsze, ale podjęcie jakiegoś działania niekoniecznie musiało oznaczać śmierć. Zaczęła myśleć intensywnie o wszystkich przedmiotach, które ma do dyspozycji, a które mogłyby posłużyć jej za broń – nożyczki, zszywacz, pinezki. Musiał istnieć jakiś sposób na to, by mogła unieszkodliwić tego człowieka na tyle, by mogła bezpiecznie wyprowadzić stąd dzieci.

Mężczyzna zerknął znad telefonu i przyłapał panią Oliver na tym, jak mu się przygląda.

– Co? – zapytał. – Nigdy nie widziałś telefonu?

Postanowiła zgrywać głupią. Nie była z tego dumna, ale być może później jej udawany brak polotu jakoś im wszystkim pomoże.

– Mój mąż w nie nie wierzy – odpowiedziała rozważnie.

– Co? To nie jakiś bzdurny wielkanocny zajęczek – prychnął. Znad ławek podniosło się kilka głów i dzieci spojrzały na panią Oliver z zaciekawieniem.

Utkwiła wzrok w mężczyźnie. Nie musiał miażdżyć ostatnich okruszków ich niewinności zupełnie bez powodu. Mężczyzna wydawał się niczego nie zauważyć i znów wrócił do gapienia się w telefon. Tak naprawdę pani Oliver uważała się za bardzo obeznaną w nowych technologiach. Poświęcała długie godziny na uczenie się najnowszych programów i to ją koledzy prosili o pomoc przy tworzeniu arkuszy kalkulacyjnych i prezentacji w PowerPoincie. W rzeczy wistości Cal bardzo wierzył w telefony komórkowe i nalegał, żeby pani Oliver miała taki dla własnego bezpieczeństwa. Znajdował się w zasuwanej kieszonce jej skórzanej torebki, którą włożyła do dolnej szuflady biurka po lewej stronie. Gdyby tylko mogła zdobyć swój telefon, dałaby znać policji, że napastnik właśnie w jej klasie wymachuje pukawką. Poczekaj na odpowiedni moment. Była bardzo cierpliwą kobietą.

MEG

Komendant McKinney i ja patrzymy, jak jeden z funkcjonariuszy rezerwy odjeżdża razem z Gail i jej mężem.

– Co dalej? – pytam.

Patrzy na mnie z góry.

– Dalej zapytam, czy wszystko z tobą w porządku.

– Co? – odpowiadam, nie do końca rozumiejąc. – O co chodzi, komendancie?

– Twoja córka chodzi do tej szkoły.

– Tak, ale nie ma jej tu dzisiaj. Jest z Timem...

– Jesteś w stanie to znieść, Meg? Poradzisz sobie na przykład z tym, że koledzy lub nauczyciele twojej córki mogą zginąć? – pyta McKinney.

W lot pojmuję, o co chodzi.

– Do cholery, komendancie, przecież doskonale wiesz. Byłam w domach połowy tych dzieciaków z tego czy innego powodu i zawsze zachowywałam profesjonalizm.

– Wiem, Meg, ale musiałem zapytać. Jesteśmy zdani tylko na siebie.

– Żadna z grup do zadań specjalnych nie przyjedzie?

– Nie, autostrady są zasypane. Próbowałem wezwać kogoś z Waterloo i Cedar Falls, żeby przynajmniej pomogli zapanować nad tłumem, ale na drogach są straszne warunki. Mogą minąć całe godziny, zanim dostaniemy dodatkową pomoc. Na południe od nas trwają gradobicia, a na północy śnieżyce. Będziemy musieli dać sobie radę w obecnym składzie. W międzyczasie postępujemy zgodnie z planem alarmowym. Musimy się dowiedzieć, kto dokładnie znajduje się w budynku. Nauczyciele, uczniowie, kucharki. Donna próbuje ustalić bieżącą listę zatrudnionych i numery kontaktowe, żebyśmy mogli sporządzić listę uczniów i sprawdzić, gdy będą opuszczać szkołę, czy wszyscy trafili do rodziców.

Skinieniem głowy wskazuję w stronę tłumy.

– Jeśli niedługo nie wyprowadzimy tych dzieci, to niektórzy z nich będą próbować siłą dostać się do środka.

– Może do tego dojść. – Głos McKinneya jest jak granit. Kręci głową. – Do diabła, jeśli ci ludzie nie pozwolą nam wykonywać naszej pracy, a komuś coś się stanie... Co, do cholery? – mówi, patrząc na coś za moimi plecami. Po tym, jak opadły mu wąsy, wiem, że nie jest to przyjemny widok Grupa mężczyzn. Farmerów, jak wnioskuję po brudnych od błota roboczych ogrodniczkach, czapkach od producentów pasz i strzelbach.

– Jezusie, Mario i święty Józefie – mówi McKinney przez zaciśnięte zęby.

WILL

Will patrzył, jak bracia Vinsonowie wysiadają ze swojego pikapa ze strzelbami w dłoniach i brodzą przez śnieg w stronę tłumu rodziców, więc wysiadł szybko, aby do nich dołączyć.

– Cześć, chłopaki – powiedział Will na powitanie. Dwaj bracia gwałtownie się odwrócili.

– Witaj, Will – powiedział Neal i skinął głową do starszego mężczyzny. – Straszne rzeczy się tam dzieją – dodał, ruchem szyi wskazując na szkołę. Neala i jego brata Neda dzieliły dwa lata, ale wyglądali niemal identycznie. Obaj mieli pociągłe, końskie twarze osadzone nad wąskimi ramionami. Znani byli z tego, że bardzo łatwo ich rozjuszyć. Według plotek Ned zastrzelił swojego byka rasy angus, który wygrał wiele wystaw, za to, że pchnął go na ziemię. Warty dziewięć tysięcy dolarów byk wykrwawił się na wybiegu. Wersja Neda jest taka, że byk miał krowią gruźlicę i trzeba go było wyeliminować, zanim zarazi całe stado.

– Po co wam te strzelby? – niewinnie zapytał Will, choć wiedział, że bracia wpadli na ten sam pomysł, co on, kiedy wyjeżdżał z domu.

– Pomyśleliśmy, że najlepiej będzie, jak przygotujemy się na różne ewentualności – odpowiedział Neal, po czym splunął czymś w śnieg za swoimi plecami.

– Wygląda na to, że komendant McKinney i jego ludzie mają wszystko pod kontrolą – odpowiedział Will, mimo że tłum zrobił się jeszcze głośniejszy i nieposłuszny.

– Właśnie po to tu jesteśmy – dodał Neal. – Zobaczycy, o co chodzi.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli odłożycie strzelby z powrotem do pikapa – poradził im Will.

– Wygląda mi na to, że McKinney sprowadził posiłki z innych miast. Nie chciałbym, żeby komus stała się krzywda bez powodu.

– Chodzą tu twoje wnuki? – zapytał Ned.

– Tak

– I masz zamiar stać z boku i pozwolić jakiemuś wariatowi trzymać je za zakładników?

Will wzruszył ramionami.

– Nie sądzę, byśmy wiedzieli wystarczająco dużo. To może być jakieś nieporozumienie. Może to dziewięćciolatek z pistoletem na kulki.

– Chodź, Ned – powiedział Neal ze zniecierpliwieniem. – Robi mi się zimno. Porozmawiamy z McKinneyem. Dowiemy się co i jak – W przeciwległym rogu parkingu pojawiła się kolejna grupa mężczyzn ze strzelbami w dłoniach i ramionami przygarbionymi w osłonie przed wiatrem, która zmierzała w stronę McKinneya i braci.

– Dobry Boże – powiedział Will, unosząc ręce w geście porażki. – Mam nadzieję, że się nie

powystrzelacie – wymamrotał pod nosem. W tłumie zauważył Vernę Fraise i podszedł do niej. Verna i Marlys przyjaźniły się od lat. Verna prawie pojechała z Marlys do Arizony zamiast Willa.

– To twoja córka, Will – powiedziała Marlys z niedowierzaniem, kiedy Will zasugerował, że może zostałaby na miejscu.

– Wiem, że Holly jest moją córką, ale od piętnastu lat nie odezwała się do mnie słowem. Nie wiem po prostu, czy to najlepszy moment, żeby się z nią spotkać.

– Will, twoja córka miała straszny wypadek. Podejrzewam, że gównem ją będzie obchodzić, czy rozmawiała z tobą, czy nie. – Will uniósł brwi, zaskoczony. Marlys właściwie nigdy nie przeklinała. – Będzie się raczej cieszyć, że obchodzi ojca na tyle, że przyjechał do niej, gdy potrzebowała pomocy.

Will wiedział, że Marlys ma rację. Jeśli miał być szczerzy, to bardzo chciał zobaczyć Holly, ale bał się, co może go czekać na miejscu. Oparzenia zazwyczaj były straszne. Kiedy stacjonował w Wietnamie, widział zwęglone szczątki w wioskach napadniętych przez Wietkong. Spalone domy, dymiące zwłoki i, co gorsza, mieszkańcy, którzy nie zginęli w pożarze i błagali, by skrócić ich cierpienia. Will nie chciał myśleć o tym, że jego córka przeżywa podobną agonię.

– Nie widziałaś gdzie Todda? – zapytał Vernę, kiedy stanął koło niej.

Pokręciła przecząco głową.

– Co tu się, do diabła, dzieje?

– Nie mam pojęcia, ale dowiem się, jak tylko porozmawiam z komendantem McKinneyem – zapewnił ją Will.

– Jak się czuje Holly? – zapytała Verna, nie spuszczać wzroku z wejścia do szkoły.

– Bez zmian – odparł Will. Przekonał się, że to bezpieczna odpowiedź, która nie prowokuje kolejnych pytań. Nie miał na tyle energii, by szczegółowo opowiadać o infekcjach Holly i jej leczeniu. Chciał jedynie zabrać dzieci ze szkoły i bezpiecznie wrócić z nimi na farmę. Wieczorem mogliby zadzwonić do matki i opowiedzieć im o całej tej przygodzie. Wyobrażał sobie podekscytowanego PJ-a, który mówi tak szybko, że ledwie można go zrozumieć, i to, jak Augie udaje obojętną i niewzruszoną. „Nic wielkiego” – powiedziałyby mamie.

– Will, widziałeś gdzie Raya? – zapytała Verna mimochodem, ale coś w jej głosie kazało Willowi spojrzeć na jej twarz.

– Nie, nie widziałem go od tygodni. Czemu? Coś się stało?

– Wiesz, że Darlene i Ray się rozeszli? – Verna pocierała rękawicami ramiona, próbując je rozgrzać. Darlene Cragg była córką Verny. Jej wnuczki, Beth i Natalie, chodziły do tych samych klas, co Augie i PJ.

– Tak, Jim coś o tym wspomniał, kiedy ostatnio się widzieliśmy. Jak się miewa Darlene? – Will stanął na palcach, próbując wyjrzeć nad głowę mężczyzny, który stał tuż przed nim.

– Spodziewałam się, że poczuje się lepiej, kiedy w końcu się od niego wyniesie. – Verna wydała z siebie zniecierpliwione cmoknięcie i pokręciła głową. – Ale Ray bardzo uprzykrza jej życie. Nie daje jej ani chwili spokoju. Bez przerwy do niej wydzwaniał. W jednej chwili błaga ją, żeby do niego wróciła, już po chwili klnie na nią i grozi, że odbierze jej dziewczynki, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu.

Will rozejrzał się wokół, żeby sprawdzić, czy ktoś ich słucha, ale wszyscy wpatrywali się w szkołę i komendanta McKinneya, który zrobił minę, jakby zaraz miał wszystkim przemówić do

rozsądku. Will przechylił głowę w stronę Verny i szepnął:

– Myślisz, że Ray może mieć z tym coś wspólnego?

– Nie wiem. Jest zdolny do naprawdę strasznych rzeczy. – Dolna warga Verny zdrząła, a Will, czując się niezręcznie, bujał się na piętach to w przód, to w tył. Żałował, że nie ma z nim Marlys. Na pewno podniosłaby na duchu swoją przyjaciółkę. On nie umiał jej wesprzeć, nie wiedział, co powiedzieć.

– Komendant McKinney idzie chyba w naszą stronę – zauważył Will, zadowolony, że jest powód, by zmienić temat. – Naprawdę powinnaś mu powiedzieć o swoich obawach co do Raya.

Verna westchnęła i przysłoniła oczy ubraną w rękawiczkę dłonią.

– Wygląda na to, że komendant ma ręce pełne roboty. – Skinieniem głowy wskazała na braci Vinsonów i trzech innych mężczyzn w pełnym uzbrojeniu. – Idioci – prychnęła cicho. Will znowu pomyślał o strzelbie, którą zostawił na przednim siedzeniu pikapa i mimo mroźnego wiatru poczuł, jak twarz robi mu się gorąca od wstydu.

MEG

– Meg, ty i Aaron rozpoznaćecie wdrażanie procedury alarmowej, a ja się zajmę tymi oszołomami. – Przechyliła głowę w stronę grupy około pięciu uzbrojonych farmerów, którzy stoją wzdłuż policyjnej taśmy.

– Jasne – mówię, idąc do radiowozu po szczegółowy kodeks procedur alarmowych. Pewnie dałabym sobie radę i bez niego. Po strzelaniu w Columbine tak pilnie go studiowałam, że nauczyłam się go na pamięć, a potem przewertowałam go raz jeszcze po masakrze w szkole amiszów w Nickel Mines w Pensylwanii. Po pierwsze: „przejmij dowodzenie i kontrolę nad działaniami”. Spoglądam na komendanta. Udziela ostrej reprymendy farmerom ze strzelbami i tłumowi mocno oprószonemu śniegiem. Zrobione. Po drugie: „kontroluj wejścia do szkoły i wyznaczone lokalizacje poza jej terenem”. Nie całkiem. Musimy pozbyć się z terenu szkoły wszystkich ludzi, którzy nie muszą tu być, i odprowadzić ich w bezpieczne miejsce, gdzie utworzymy centrum ewakuacyjne. Miejsce, w którym rodziny mogłyby uzyskać informacje o swoich dzieciach i dokąd eskortujemy dzieci, kiedy w końcu bezpiecznie wyprowadzimy je ze szkoły. Mam wrażenie, że jeśli szybko komuś nie oddeleguję tej roboty, to sama będę siedzieć w kawiarni U Lonniego, ustalonym zawczasu centrum ewakuacyjnym, odpowiadając na pytania zdesperowanych rodziców. Nie ma mowy. Biorę kodeks i idę do policjantów, których wezwano do pomocy.

– Cześć, Braun – mówię szybko. – Komendant chce, żebyś zorganizował centrum ewakuacyjne w kawiarni U Lonniego, a ty – spoglądam na Kevina Jarrowa – masz odprawiać tam rodziny, które tu przyjadą. – Obaj patrzą na mnie z powątpiewaniem. – Mówię poważnie. Taka jest procedura. – Potrząsam przed nimi kodeksem.

– A tobie co kazał robić McKinney? – pyta Jarrow.

Wzdycham żałośnie.

– Kontakt z mediami.

– Ha! – mówi Eric Braun i klepie mnie w ramię. – Baw się dobrze. – Obaj odchodzą, czując się lepiej niż jeszcze przed chwilą.

Widzę, że Aaron próbuje uspokoić przestraszoną matkę, która próbuje mu się wyrwać i wbiec do szkoły. Poznają tę kobietę z klasy Marii. Mama dziewczynki imieniem Lucy. Nie znam szczegółów, ale wiem, że Lucy różni się nieco od pozostałych dzieci.

– Jesteś mamą Lucy, prawda? – pytam zapłakaną matkę.

– Tak, tak! Wiesz coś? – Chwyta mnie za kurtkę. – Nic jej nie jest?

– Nie ma powodów, by myśleć, że któremukolwiek z dzieci stała się krzywda. Jeśli będziemy mieć jakieś informacje, prześlemy je do kawiarni Lonniego, która posługuje nam za centrum informacyjne do czasu, aż wy dostaniemy dzieci ze szkoły.

– Nigdzie stąd nie pójdę – krzyczy matka Lucy. – Lucy jest dzieckiem autystycznym i nie lubi, kiedy w jej planie dnia pojawiają się jakieś zmiany. Przecież twoja córka też jest w środku!

Mam nadzieję, że moje opanowanie się jej udzieli.

– Właściwie to jest nawet w klasie Lucy. Trzecia klasa, wychowawczynią jest pani Oliver, prawda? – dodaje swobodnym tonem i zaczyna odprowadzać ją w stronę parkingu, jak najdalej od policyjnej taśmy. Komendant zdołał się już pozbyć uzbrojonych farmerów, a Jarrow kieruje resztę tłumu do samochodów i kawiarni. – Widzisz, wszyscy jadą do Lonniego. Będziemy tam przekazywać wszystkie nowe informacje. Gdybym mogła, też bym tam pojechała. – Mama Lucy niepewnie spogląda w stronę parkingu.

– Nie boisz się? – pyta, patrząc mi prosto w oczy.

– Nie – kłamie. – Kontrolujemy sytuację. Będzie po wszystkim szybciej, niż myślisz, a Lucy nic się nie stanie. – Uśmiecham się na tyle przekonująco, że kobieta robi kolejne kilka kroków w stronę samochodu. – Jedź do Lonniego, napij się kawy i trochę rozgrzej. – Czuję na sobie palące spojrzenie Aarona i wiem, że zgani mnie za to, że powiedziałam matce Lucy, że panujemy nad sytuacją. Zanim mama Lucy odjedzie, a Aaron zacznie mnie pouczać, zaczynam biec, wołając przez ramię.

– Hej, Aaron, nadjeżdżają reporterzy. – Na parkingu zatrzymuje się wóz transmisyjny Kanału Trzeciego i wyskakują z niego kamerzysta wraz z elegancko ubraną dziennikarką, która w pierwszym krokiem zaczyna ślizgać się na lodzie i niemal upada na tyłek – Komendant właśnie tobie kazał zorganizować centrum informacyjne dla mediów.

– Co? – pyta skołowany Aaron.

– Media. Punkt 3.3.4 (E) w kodeksie. – Rzucam mu broszurę. – Dzięki. Muszę lecieć!

PANI OLIVER

PJ Thwaite nadal gapił się na napastnika. Jego wzrok był przenikliwy i niezachwiany. W końcu mężczyzna podniósł wzrok znad telefonu i posłał chłopcu wyczekujące spojrzenie.

– Co?

– Był pan kiedyś w Revelation w Arizonie? – zapytał PJ nieśmiało, głosem trzęsącym się z nerwów.

– Nie – krótko odpowiedział mężczyzna, podszedł do okna i zerknął na zewnątrz przez żaluzje.

– To zaraz obok Phoenix. – Mężczyzna ignorował PJ-a. Pani Oliver jeszcze raz spróbowała pochwycić spojrzenie chłopca, ale ten uparcie nie patrzył w jej stronę.

– Zna pan Holly Baker?

– Nigdy nie byłem w tym mieście, nie znam żadnej Holly Baker. Przykro mi – odparł mężczyzna nieobecny tonem.

PJ zaczął w zamyśleniu obgryzać skórkę palca.

– Na pewno by ją pan zapamiętał. Jest bardzo ładna...

Mężczyzna gwałtownie uniósł głowę.

– O co ci chodzi? – zapytał zniecierpliwiony.

– Cicho, PJ – ostro upomniała go pani Oliver. PJ utkwił wzrok w swojej ławce, a mężczyzna wrócił do wglądania przez okno.

Na pewien sposób PJ przypominał pani Oliver córkę, Georgianę. Słodka, ale nieustępliwa. Zastanawiała się, co robią teraz jej dzieci, co robi Cal. Czy wiedzą, co się dzieje w szkole? Czy dzieci jadą do niej w śnieżycy? Kiedy chodziły do trzeciej klasy, uczyła je w tej samej sali. Pamiętała, jak tłumaczyła im, że w szkole muszą się do niej zwracać per „pani Oliver”, a „mamo” mogą do niej mówić w domu.

– Ale to dziwne – oświadczyła ośmioletnia Georgiana. – Kto to słyszał, żeby do własnej mamy mówić „pani”?

Mimo to pani Oliver nalegała. Po dziś dzień Georgiana nazywała ją „panią Oliver”, choć robiła to z czułością. Teraz zastanawiała się, czy postąpiła słusznie. Czy podczas pogrzebu Georgiana powie coś w stylu: „Pani Oliver była wspaniałą matką...”? Aż się wzdrygnęła na tę myśl.

Zastanawiała się, czy Cal stoi na zewnątrz z uczniami i rodzicami, żądając, by policja powiedziała im, co się dzieje. Czy może jest wszystkiego nieświadomy i siedzi w swoim ulubionym fotelu, rozwiązując krzyżówki i odłamując kostki ulubionej czekolady? Miała nadzieję, że nie wie. Cal za dużo się wszystkim przejmował. Gdyby wiedział, próbowałby odświeżyć

podjazd, a odgarnianie ciężkiego śniegu nie było prostym zadaniem dla siedemdziesięcioletniego mężczyzny. Poza tym nie trzymał się już tak dobrze na nogach jak kiedyś i bała się, że poślizgnie się na lodzie albo wjedzie w drzewo, albo jeszcze gorzej. Od ich pierwszego spotkania Cal zawsze przychodził jej na ratunek.

Cal pojawił się w domu Fordów, żeby naprawić im pralkę, która odmówiła posłuszeństwa w trakcie prania białiny starszej pani Ford. Kiedy do domu wszedł Cal uzbrojony w skrzynkę narzędziową i zażenowany uśmiech, Evelyn nie przypuszczała jeszcze, że zostaną bliskimi przyjaciółmi, a potem mężem i żoną. Była zwyczajnie wdzięczna za to, że może porozmawiać z kimś oprócz pani Ford, która bezustannie rozprawiała o swoim zmarłym synu. Nie żeby Evelyn nie lubiła słuchać o dzieciństwie George'a, wręcz przeciwnie. Czuła wtedy jednak, jak coś kluje ją w sercu. Dużo bardziej wolała wspominać George'a w zaciszu własnej sypialni, gdzie wyciągała jego zdjęcie zrobione na zakończenie szkoły i kładła je obok siebie na poduszce. Na tym zdjęciu włosy miał gładko zaczesane nad czoło i ubrany był w swój jedyny garnitur. Uśmiechał się szeroko, ukazując niemal wszystkie zęby. Evelyn poznawała po jego oczach, że ledwie się powstrzymuje, by nie wybuchnąć gromkim śmiechem. Uwielbiała to zdjęcie George'a, podczas gdy pani Ford preferowała zdjęcie z wojska, na którym pozował w galowym mundurze z błyszczącymi, mięsistymi guzikami. Pod jego białą czapką z czarnym daszkiem sterczały obcięte na jeża włosy, przez które jego uszy wyglądały jak ucha cukiernicy. Usta miał zamknięte, minę poważną. Evelyn uważała, że wygląda na nim jak ktoś inny, więc to zdjęcie było jej zupełnie obojętne.

Kiedy więc w domu Fordów pojawił się Cal i po trzeszczących schodach zszedł do piwnicy, gdzie znajdowała się pralka, Evelyn poszła za nim.

– Naprawi ją pan, prawda? – zapytała Evelyn, siadając na wieku zamrażarki.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedział Cal nieobecny tonem.

– Mam taką nadzieję – odparła Evelyn, patrząc na swoje dłonie, suche i zaczerwienione od prania ręcznego.

– Cóż, z pralkami jest trochę jak z ludźmi – też nie żyją wiecznie. Choć jedno wytrzymują dłużej niż inne. – Kiedy Evelyn nie zaśmiała się ani nie skomentowała tego małego żartu, Cal podniósł wzrok na strapioną minę dziewczyny.

– Nic ci nie jest? – zapytał z troską.

– Nie. A co jeśli na pralkę napadła banda brudnych majtek i maszyna zmarła przedwcześnie? To chyba nie fair?

Evelyn spodziewała się, że Cal uniesie brew i każe dać sobie spokój, żeby mógł pracować, ale tego nie zrobił. Powiedział za to coś bardzo ciekawego.

– Powiedziałbym, że pralka wykazała się ogromnym męstwem w swoich staraniach. Że zrobiła to, do czego była powołana: wyzwała świat spod ucisku brudu i plam. Powiedziałbym, że choć pralka zakończyła swój żywot zdecydowanie przedwcześnie, spełniła swoją misję po to, by kolejne pralki mogły bezpiecznie wykonywać swoje obowiązki i cieszyć się długim życiem.

– Ach, tak – Tylko tyle była w stanie wydusić z siebie Evelyn. Ale poczuła się lepiej. Resztę popołudnia spędziła, podając Calowi narzędzia i rozmawiając. Opowiadała mu o George'u i o mieszkaniu z Fordami, Cal zaś mówił o tym, jak przez szmer w sercu nie mógł wstąpić do wojska i jak jego starszy brat zginął w bitwie pod Binh Gia. Nie zdradzał zbyt wielu szczegółów, ale Evelyn uznała, że Cal jednocześnie miał poczucie winy i odczuwał ulgę, nie

mogąc służyć swojemu krajowi.

Nagle panią Oliver dobiegł odgłos siedemnastu małych ciał, które ze strachu podskakują na krzesłach na przenikliwy dźwięk dzwonka o trzynastej dwadzieścia. Pani Oliver wychyliła się na krzesło i zerknęła przez żaluzje w szkolnych oknach. Stalowszare niebo zasnuły ciężkie od śniegu chmury. Usłyszała za plecami nieprzyjemne szuranie nóg krzesła o linoleum, po którym rozległy się niedbale kroki jednej z jej uczennic.

– Czas iść do domu – oznajmiła Lucy swoim mechanicznym tonem, stanąwszy przy nauczycielce. – Czas się pożegnać.

Pani Oliver ośmieliła się spojrzeć na mężczyznę. Żalowała, że nie zna jego imienia, że nie może się do niego nijak zwrócić. W serialach kryminalnych, które lubił oglądać Cal, negocjator zawsze pytał o imię napastnika, jak gdyby znajomość imienia szaleńca mogła w jakikolwiek sposób zapobiec tragedii. Zazwyczaj przynosiło to skutek. Czekala, aż policjant zacnie krzyczęć przez megafon: „Otoczy liśmy cię, Bill (albo Larry lub Alphonse), wychodź z rękami nad głową”.

– Wracaj na swoje miejsce – powiedział mężczyzna do Lucy. – Nigdzie jeszcze nie idziecie.

Lucy zaczęła wykręcać sobie dłonie, jak za każdym razem, kiedy jej szczegółowy plan dnia, dopełniony obrazkami i kartami zadaniami, został zaburzony.

– Zadzwoił dzwonek, przyjeżdża autobus. – Lucy wypowiedziała te słowa do pani Oliver, słusznie wyzywając, że intruz w sali nie jest jej przyjacielem i bez wątplenia nie zna się też na zegarku.

– Lucy, skarbie – odezwała się kojącym tonem Pani Oliver. – Autobusy się dziś spóźnią. – Jaka szkoda, że w klasie nie było dziś pani Telford, szkolnej asystentki, która pomagała Lucy oswoić się ze wszystkimi elementami szkolnego życia, ale popłynęła w rejs gdzieś po Morzu Karaibskim.

Lucy mocniej zacisnęła dłonie, aż jej palce zrobiły się białe i drętwie.

– Autobus odjedzie, pani Oliver – upierała się.

– Kaź jej usiąść – nakazał mężczyzna. – To nie potrwa dużo dłużej. Powiedz jej, że za niedługo będzie mogła pojechać do domu.

Ale Lucy zdążyła już wrócić do swojej ławki i wyciągnąć spod drewnianego pulpitu stertę książek

– Czas wsiąść do autobusu – powiedziała, jak zawsze o tej porze, głosem pełnym niepokojem. – Do widzenia i pięknej wiosny – dodała i skierowała się do drzwi.

– Hej! – wrzasnął mężczyzna. – Stój! – Zeskoczył ze swojego taboretu i chwycił Lucy za kaptur bluzy.

Zanim pani Oliver podniosła się z krzesła, czując, jak na ten gwałtowny ruch jej plecy reagują bólem, mężczyzna zaczął ciągnąć Lucy na jej miejsce.

– Puść ją – krzyknęła pani Oliver, utykając w jego stronę. – Puść ją natychmiast!

– Słuchaj – warknął mężczyzna, jednocześnie przytrzymując wykręcającą się na wszystkie strony Lucy. – Chcę, żeby wszyscy wyszli z tego cała tak samo jak ty, ale te dzieci muszą zostać na swoich miejscach i siedzieć cicho!

– Puść ją! – powiedziała pani Oliver, próbując wyrwać mu dziewczynkę. – Nie lubi, jak się jej dotyka. Puść ją i daj mi z nią porozmawiać. Uspokój ją.

Mężczyzna gwałtownie rozluźnił uścisk, a Lucy padła na podłogę i wybuchając płaczem, zwinęła się w kłębek. Pani Oliver ostrożnie przyklucnęła przy niej, niemal dokładnie tak samo jak czterdzieści trzy lata temu, po tym jak Bert Gorse spadł z drzewa. Jej stawy trzeszczały z każdym

ruchem.

– No już, Lucy – szepnęła dziewczynce do ucha, uważając, by jej nie dotknąć. Z nieznanego pani Oliver powodu Lucy reagowała na niespodziewany dotyk tak samo, jakby się oparzyła. – Nie płacz, wszystko będzie dobrze. Mała zmiana w planie, nic wielkiego. Kiedyś już o tym rozmawialiśmy.

– Ale dzwonek zadzwonił – czuła Lucy. – Mała wskazówka na jedyńce, duża na czwórce. Czas do domu. – Lucy, leżąc na plecach i z kolanami uniesionymi do góry, zaczęła uderzać stopami o podłogę, na początku powoli i rytmicznie, potem coraz szybciej i bardziej natarczywie. Uderzenia niosły się echem po klasie. Pani Oliver słyszała płacze i jęki innych uczniów. Wybuchy Lucy nawet w dobry dzień działały na grupę niepokojąco, ale w dzień, w którym do klasy wszedł mężczyzna z pistoletem, były zwyczajnie przerażające.

– Przestań, Lucy, bo zrobisz sobie krzywdę – łagodnie powiedziała pani Oliver i położyła dłoń na kolanach dziewczynki, starając się powstrzymać tupanie.

– Mała wskazówka na jedyńce, duża na czwórce. Czas. Do. Domu! – Lucy zacisnęła zęby i powieki, z każdym słowem uderzając piętą w podłogę.

– Jaja sobie robisz? – mruknął mężczyzna. – Zrób coś, żeby przestała.

Pani Oliver spojrzała na niego bezradnie.

– Nie mogę. Kiedy się tak nakręci, to musi się po prostu zmęczyć. Daj jej chwilę.

– Nie mogę myśleć, kiedy ona tak wyje – powiedział, spoglądając na biały zegar z czarnymi wskazówkami, który wisiał nad drzwiami. Z miejsca na podłodze pani Oliver mogła się przyjrzeć intruzowi. Brązowe, wypastowane buty garniturowe. Ładne, ale niezbyt drogie. Nie wyglądały na buty szaleńca. Na krótką chwilę buty zniknęły z podłogi i nagle zegar z hukiem runął na podłogę, jego szklana tarcza rozbiła się na kawałki, a czarne wskazówki zastygły na trzynastej pięć. Nagły hałas wywołał kolejną falę płaczu wśród uczniów na krzesłach, ale łkania Lucy ugrzęzły jej w gardle i dziewczynka momentalnie zamilkła. Pani Oliver patrzyła z przerażeniem, jak twarz dziewczynki nabiera nies zdrowego sinego koloru, i już planowała przewrócić ją na bok i klepnąć w plecy, kiedy usłyszała gulgot jej oddechu. Lucy szeroko otworzyła oczy i zrobiła głęboki wdech, po czym na nowo zaczęła wrzeszczeć i uderzać piętami o podłogę.

– Chryste – powiedział mężczyzna pokonany tonem. – Dokąd one prowadzą? – zapytał, wskazując na drzwi w rogu sali.

– Do schowka – odpowiedziała pani Oliver, próbując przekrzywić płacz Lucy. – Można stąd wyjść tylko drzwiami – dodała w nadziei, że mężczyzna puści przy najmniej jedną dziewczynkę.

– Otwórz je – nakazał chłopcu siedzącemu najbliżej schowka. Chłopiec siedział sparaliżowany strachem, przerzucając wzrok z pani Oliver na mężczyznę i z powrotem, nie wiedząc, co robić.

Pani Oliver skinęła do niego głową, na co uczeń podniósł się z krzesła, pociągnął za gałkę w drzwiach i szybko ją puścił, jakby się przestraszył, po czym wrócił na miejsce. Mężczyzna schylił się, wziął Lucy na ręce, zaniósł ją do schowka i niedbale położył na podłodze. Zamknięte drzwi dodatkowo zapał krzesłem, którym unieruchomił gałkę.

– Nie możesz tego zrobić – sprzeciwiła się pani Oliver. – Nie pozwolę na to. – Słyszcząc trzask swoich stawów, pani Oliver podniosła się na kolana, zachwiała i z trudem stanęła na nogi. Mężczyzna wykonał trzy długie kroki w jej stronę, chwycił ją za przód sukienki, sprawiając, że kilka dżetów upadło na podłogę, i pociągnął do pierwszego rzędu.

– Siadaj – kazał – albo skończysz w szafie. – Płacz Lucy był stłumiony, ale silny. Ktoś

z pewnością ją usłyszy – pomyślała pani Oliver. Musi tu być ktoś, kto jej pomoże. Przełknęła łzy, w duchu ganiąc się za niepodobny do niej pokaz emocji. W ciągu czterdziestu trzech lat nauczania ani razu nie rozplakała się w obecności uczniów. Nawet kiedy doszła do rozdzierającego serce zakończenia powieści *Shiloh*, którą czytała uczniom, mimo że popłakały się wszystkie dzieci, nawet chłopcy. Nawet kiedy w drzwiach pojawił się pan Dutcher i poinformował ją, że Shirley Ouderirk, nauczycielka ósmej klasy, z którą pani Oliver pracowała od lat, zginęła w wypadku samochodowym w drodze do szkoły. Nie płakała też jedenastego września, kiedy wszyscy nauczyciele puszczały w szkolnych telewizorach relacje z Nowego Jorku. Nie chodziło o to, że widziała we łzach słabość, ale starała się nie łączyć szkoły i swoich uczuć. Widziała zbyt wiele krzywdzonych dzieci, jej uczniowie umierali z powodu strasznych chorób, była świadkiem, jak przeżywają rozwody rodziców i sercowe rozterki, które dla ósmoklasisty są sprawą życia i śmierci. Nie chodziło o to, że jej nie zależało. W tamtej chwili zdała sobie sprawę, że jest zupełnie odwrotnie. Zależało jej może nawet za bardzo. Ale co dobrego przyniosłby dzieciom widok ich nauczycielki, która pada na podłogę i zalewa się łzami?

MEG

Kiedy podchodzę do komendanta McKinneya, tłum prawie całkowicie się już rozpierchł. Aaron zмага się z reporterką telewizyjną, a moje dłonie zamarzły na kość. Stłumiony dźwięk dzwonka kończącego lekcje, dobiegający ze szkoły, sprawia, że wszyscy przystają. Oczy tłumy zwracają się ku frontowemu wejściu. Uświadamiam sobie, że wstrzymuję oddech, licząc, że przez drzwi wyskoczy nagle tłum uczniów, krzycząc z podekscytowaniem z powodu wiosennej przerwy. Nic z tego. Drzwi pozostają zamknięte.

– Cholera – mówi komendant, kiedy staje się jasne, że nikt nie wyjdzie na zewnątrz. A przynajmniej nie teraz.

– Centrum ewakuacyjnym poza obszarem zarządza Braun – mówię. – Jarrow będzie tam kierował wszystkich rodziców, a Aaron zajął się mediami.

– Aaron mediami? – pyta komendant, marszcząc czoło.

Wzruszam ramionami.

– Powiedział, że zrobi to z przyjemnością.

Komendant rzuca mi spojrzenie, które mówi „bo ci uwierzę” i strzepuje sobie śnieg z kurtki.

– Co dalej? – pytam.

– Większość takich sytuacji rozwiązuje się w ciągu dwudziestu minut. W dobry sposób albo zły. U nas trwa to... – Sprawdza zegarek – Czterdzieści pięć minut. Ale musimy przygotować się na ewentualność, że potrwa to dużo dłużej. – Kręci głową. – Cholerne stare szkoły. Jedyne kamera znajduje się nad wejściem i nie możemy się do niej dostać.

– To ostatni rok szkolny w tym budynku. Pewnie rada nie chciała topić w niej kolejnych pieniędzy – mówię.

– No to pewnie teraz żałują tej decyzji. – Komendant wyciera nos chusteczką wyciągniętą z kieszeni. – Jedna kamera, żadnego domofonu, a układ budynku... – Przewraca oczami. – Przeczesał go zajmie nam godziny. To jakieś monstrum z mnóstwem skrzydeł, zakamarków i zaułków. Masz plan budynku?

– Tak, w radiowozie – mówię mu. Była to część procedury dotyczącej bezpieczeństwa w szkołach, żeby trzymać w radiowozach plany budynków na takie właśnie sytuacje.

– Idź po niego. Musimy dojść do ładu ze zgłoszeniami na numer alarmowy i spróbować ustalić, gdzie znajduje się intruz. Jay Sauter podjedzie tu swoim kamperem i zrobimy w nim tymczasowe centrum dowodzenia. Rozłożymy tam plany architektoniczne, porównamy notatki z Randallem. Miejmy nadzieję, że uda się nam połączyć z dyrektorką i dowiedzieć się od niej

czegoś więcej.

– Jakież wieści co do jednostki szurmowej? – pytam.

– Dojechał tu tylko jeden człowiek z Waterloo. Chaos na drogach. Miną godziny, zanim ktokolwiek dojedzie. – Na te słowa opuszcza ramiona.

– Pójdę po plany, a potem? – pytam. Współczuję komendantowi. Za nic nie chciałabym być na jego miejscu. W okupowanej przez napastnika szkole przebywają wszystkie dzieci z Broken Branch w wieku od pięciu do osiemnastu lat, a my nie znamy jego motywów.

– Meg, musisz się dowiedzieć, kto, do cholery, znajduje się w środku. Masz się połączyć z dyrektorką i wyciągnąć z niej wszystko, co wie. Chcę się dowiedzieć o wszelkich sporach o opiekę nad dziećmi, zwadach z byłymi pracownikami, niezadowolonych uczniach.

Kiwam głową, przyswajając ogrom zadania. Każdy skrawek informacji, jaki uda mi się zdobyć, może mieć kluczowe znaczenie.

– A kiedy już porozmawiasz z dyrektorką, masz jechać na komisariat i jeszcze raz przepytąć sekretarkę. Nikt nie zna lepiej tego budynku niż ona.

– Jasne – mówię w tej samej chwili, gdy na parking wjeżdża swoim starym, zniszczonym kamperem dobry przyjaciel komendanta, Jay Sauter, i zatrzymuje się gwałtownie, hamując w zaspie.

– Jezu – komendant mruczy pod nosem. – Ale przynajmniej będzie nam ciepło.

WILL

Tum sprzed szkoły odganiano niczym bydło i choć Will rozumiał konieczność pozbycia się cywili z miejsca zdarzenia dla ich własnego bezpieczeństwa, jak i ze względu na śledztwo, nadal go to drażniło. Nie podobało mu się to, że nie wie, co się dzieje, i choć darzył komendanta McKinneya, którego znał od lat, bezgranicznym zaufaniem, czułby się o wiele lepiej, gdyby znał jego plan działania, a przynajmniej wiedział, że taki istnieje.

– Masz jak dojechać do Lonniego? – zapytał Will Vernę, która pokiwała głową.

– Najpierw sprawdzę, jak się trzyma Darlene. Czeką w samochodzie.

– Spotkamy się na miejscu – obiecał Will. – Pójdę jeszcze porozmawiać z McKinneyem. – Will poczekał, aż McKinney rozprawi się z braćmi Vinson i innymi męzczyznami, którzy przyszli pod szkołę ze strzelbami. Will nie mógł się powstrzymać, by nie zaśmiać się pod nosem. McKinney miał niespełna sto siedemdziesiąt siedem centymetrów wzrostu i nie miał postawnej sylwetki. Największą jego częścią były sumiaste wąsy, a mimo to sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie i kiedy mówił, ludzie słuchali.

Kiedy Neal i Ned odeszli zażenowani, z karabinami zwisającymi im u boku, Will podszedł do McKinneya, który powitał go pełnym irtacji uściskiem dłoni.

– Uwierzysz w głupotę tych chłopaków?

– Wiele rzeczy można zrzucić na karb młodości – odparł Will, łajając się po cichu.

– Może, ale nie mam teraz czasu na takie rzeczy – powiedział McKinney, gęsto mrugając, by strącić sobie płatki śniegu z rzęs. – Cholera, przez śnieżycę zamknięto już drogi I-80 i I-35.

– A co ma piernik do wiatraka? – zapytał Will ze zniecierpliwieniem. Interesowało go to, co dzieje się w szkole jego wnuków, a nie pogoda i jej wpływ na warunki drogowe.

– Ano to, że nie może do nas dojechać jednostka szturmowa – ostro odpowiedział McKinney. – Mam do dyspozycji tylko mój zespół i kilku funkcjonariuszy z pobliskich miast.

– Na miejscu masz całą chmarę strzelców wyborowych – przypomniał mu Will. – Każdy z tutejszych myśliwych ustrzeli ci jelenia z dwustu pięćdziesięciu metrów.

– Nie potrzebuję snajpera, Will – odparł McKinney ze znużeniem. – Potrzebuję wyszkolonych funkcjonariuszy, którzy – jeśli facet w środku zacznie strzelać – wejdą do środka i go wyprowadzą, żywego albo martwego, nie ma to dla mnie znaczenia, a potem uwolnią dzieci i nauczycieli. A co gorsza, nie mam nikogo, kto byłby przeszkolony w negocjacjach z porywaczami.

– A po co negocjować? Nie możesz po prostu kazać mu wyjść, bo jak nie, to sam go dorwiesz?

– zapytał Will.

– To nie najlepszy pomysł straszyć kogoś, kto może być bardziej okrutny niż ty. – McKinney podrapał się po twarzy. – Posłuchaj, Will, muszę już iść. Czeka mnie rozmowa konferencyjna z dowódcą jednostki szturmowej i negocjatorem z Des Moines.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebował, jestem na miejscu – zapewnił go Will. – W środku są moje wnuki i zrobię wszystko, żeby je stamtąd wyciągnąć. Holly nie znieśie kolejnego dramatu.

– Doceniam twoje dobre chęci, Will. – McKinney klepnął go w ramię. – Możesz zrobić dla mnie jedną rzecz – nastaw uszu w kawiarni. Słuchaj, co mówią ludzie i kogo podejrzewają.

– Verna Fraise uważa, że jej zięć, Ray Cragg, mógłby być do tego zdolny. Paskudny rozwód.

McKinney pokiwał głową.

– Sprawdzimy to. Dzięki za informację. – Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i Will zaczął przedzierać się przez opustoszały, zasypany parking do swojego pikapa, otulonego przez śnieżny kokon. Rękawem zrzucił gęsty śnieg z przedniej szyby i odwrócił się, by spojrzeć na szkołę, niemal niewidoczną za białą kurtyną opadów.

Po czasie spędzonym w Wietnamie wiedział najlepiej ze wszystkich, co to znaczy walczyć z wrogiem, którego nie widać, którego nie można namierzyć. Najpierw pojedzie do kawiarni, potem zadzwoni do Daniela, żeby dowiedzieć się, co z cielnymi krowami, i może do Marlys, by wyjaśnić jej sytuację. Nie sądził, by wydarzenia w małym miasteczku w Iowa przedostały się do krajowych serwisów informacyjnych, ale nie mógł mieć pewności. Nie chciałby, żeby Marlys i Holly dowiedziały się o wszystkim z telewizji. Potem może sam pojedzie do Raya Cragga i złoży mu przyjacielską wizytę. Będzie mu żęj, wiedząc, że jego sąsiad, człowiek, który poślubił córkę przyjaciółki rodziny, nie jest zdolny do tego, by wziąć sobie za zakładników szkołę pełną dzieci z powodu nieudanego małżeństwa.

AUGIE

Dzwonek oznajmia koniec lekcji, a pan Ellery odprowadza Beth na jej miejsce na podłodze, obok mnie. Beth nadal płacze, ale jej łkania są już cichsze i nie brzmią tak rozpaczliwie.

– Przepraszam – szepczę, ale ona odsuwa się tak daleko ode mnie, jak tylko może. Noah patrzy na mnie z pogardliwym uśmieszkiem, aż muszę oprzeć się pokasie, żeby wetknąć mu w oko wskazówkę pana Ellery’ego, którą ten zostawił na skraju biurka.

Nad nami słychać jakiś hałas, na początku delikatny, potem głośniejszy, głuchy łomot, jakby ktoś uderzał w bęben. Ewentualnie jakby walił głową o podłogę. Wzrok wszystkich wędruje do góry.

– Co to? – pyta Beth. – Co się dzieje?

Pan Ellery powraca do drzwi i znów je otwiera, powoli, ostrożnie. Walenie nad naszymi głowami trwa dalej, staje się szybsze i mocniejsze.

– Idę tam. – Pan Ellery patrzy na nas, jakby prosił o wybaczenie. – Komuś chyba dzieje się krzywda – próbuje nam wytłumaczyć. – Zostańcie tu. Bez względu na wszystko nie ruszajcie się stąd. – Wychodzi na korytarz i delikatnie zamyka za sobą drzwi.

– To jakieś szaleństwo – mówi Noah swoim normalnym tonem i trzy osoby zaczynają go uciszać. – No co? – odpowiada z wielkim zdziwieniem.

– Cicho, Noah – mówi Amanda, ze strachem spoglądając na drzwi. – On cię może usłyszeć.

– Co za bzdura – mówi Noah, ignorując Amandę i odzywając się jeszcze głośniejszym głosem. – Przez okno widać policyjne radiowozy, otworzymy okno i spadajmy stąd.

– A jeśli jest ich więcej niż jeden? – pyta Drew. – A jeśli są uzbrojeni?

– Na tym właśnie polega problem – upiera się Noah. – Nie wiemy kompletnie niczego. Mamy komórki, a pan Ellery nie pozwolił nam ich używać. Jak mamy wiedzieć, co się dzieje, skoro nie możemy z nikim porozmawiać?

– Dlaczego pan Ellery nie wraca? – zastanawia się Beth. Wszyscy patrzymy na drzwi.

– Pewnie nas zostawił – prychna Noah. – Typowe.

– Na pewno nie – mówię ze złością. Ale w duchu zadaję sobie pytanie, czy to aby prawda. Uderzenia nie ustały, a niedaleko naszej klasy znajduje się wyjście na parking dla nauczycieli. Równie dobrze pan Ellery mógł wyjść z klasy i udać się do drzwi, wsiąść do swojego samochodu i odjechać w stronę dal.

– Gdzie on jest? – pyta Amanda. – Dlaczego jeszcze nie wrócił?

– Może go dorwał? – mówi Felicia. – Może go postrzelili.

– A słyszałaś wystrzał, Einsteinie? – sarka Noah.

– Może mają tłumiki albo paralizatory, albo kije bejsbolowe. Może wzięli go jako zakładnika, Noah? – wtrącam się.

– No cóż, nie będę tu czekał, żeby się o tym przekonać. – Noah wstaje i podchodzi do okna, które pokrywa gruba warstwa szronu. Trudno przez nie dostrzec, co dzieje się na zewnątrz. Noah dmucha na szybę, aż tworzy się niewielki otwór, przez który można coś zobaczyć.

– Tak jak myślałem, na zewnątrz czeka stado policjantów. – Znow spogląda na nas. – Ktoś idzie ze mną? – Żadnej reakcji. Wszyscy rozglądają się po sobie, licząc, że odezwie się ktoś inny.

– Może lepiej zaczekajmy na pana Ellery’ego – mówi w końcu Drew.

– Minęło już z dziesięć minut! – wybuchu Noah. – On zwiał! Gównu go obchodzimy, więc zostawił nas tu samych! – Twarz Noaha jest blada i wykrzywiona złością i po raz pierwszy zdaje sobie sprawę, że boi się tak samo, jak pozostali. Hałasy nad nami w końcu ustały i z jakiegoś powodu przeraża mnie to bardziej, niż gdyby rozbrzmiewały dalej. Noah przekręca dwa haczyki na jednym z wielkich okien i pcha ramę w górę. Do środka wdziera się podmuch zimnego powietrza, ale pachnie świeżością i rozprasza cuchnący potem i strachem smród dwadzieściorga dwojga trzynastoletków. Jeden po drugim, wszyscy wstają i idą do okna. Nawet ja. Noah popycha rękami siatkowy ekran, który dzieli nas od wolności, ale nie wyłamuje się on z futryny okna. Kilkanaście metrów od nas policjanci, którzy zebrali się na parkingu, zauważyli, że w naszej klasie coś się dzieje, i paru z nich wyciągnęło broń.

– Uważaj – mówię do Noaha, zanim zdołam się powstrzymać, a on spogląda na mnie, jakbym straciła rozum. Koło niego staje Drew i oboje próbują wypchnąć ekran, który w końcu spada na ziemię. Jeden za drugim moi koledzy z klasy wychodzą przez okno i zaczynają biec w stronę policji tak szybko, jak mogą. Rozlegają się krzyki, na co Noah i Drew stają w miejscu i unoszą ręce nad głowę. Pozostali robią to samo. Zastanawiam się, czy pobiec za nimi, czy nie. Widzę, jak ktoś otula Noaha i Tommy’ego kocem. Bardzo chcę mieć koc na swoich ramionach, a nawet zobaczyć dziadka. Wspinam się na parapet, przekładam jedną nogę na drugą stronę i zerkam przez ramię. W sali została tylko Beth.

– Idziesz? – pytam ją. Przygryza wargę i kręci głową na nie.

– Muszę sprawdzić, czy to mój ojciec – mówi chropawym głosem.

W oddali widzę, jak jakaś policjantka macha do mnie zamasyście, żebym szła w jej stronę.

– No chodź – krzyczy.

Myślę o P.J-u. Zawsze, kiedy się denerwuje albo boi, musi iść do toalety. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje ten dzieciak, jest towarzyskie samobójstwo, jakim byłoby posikanie się w spodnie w obecności kolegów i koleżanek z klasy. Kręcę głową na nie. Policjantka opuszcza rękę i nawet z tej odległości widzę niedowierzanie, jakie maluje się na jej twarzy. Odwracam się od niej i wolności parkingu. Beth patrzy na mnie i czeka na to, co zrobię. Wyciągam rękę, a Beth chwytła za nią i wciąga mnie z powrotem do klasy.

HOLLY

Mama przysypia na krześle przy moim łóżku. Bez przerwy powtarzam jej, by wróciła do oddalonego o kilka przecznic od szpitala hotelu, w którym wynajęła pokój, i porządnie się wyspała, ale zawsze macha tylko ręką i mówi:

– Później będzie czas na spanie. – Jak to pasuje do mojej mamy. Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek widziała, jak ucina sobie drzemkę, gdy mieszkalam na farmie. Kiedy wstawałam rano, była już na nogach i zawsze zasypiałam wcześniej niż ona. Nawalaliśmy w każdy dzień matki, bo żadne z nas nie było w stanie zwlec się z łóżka przed nią, żeby przygotować jej śniadanie.

W moim najwcześniejszym wspomnieniu z farmy stoję przy płocie wybiegu, w którym trzymano krowy, i przyglądam się naszemu psu Frisbee, który biega w tę i z powrotem pomiędzy gałkowatymi kolanami jałówek. Ojciec zawsze mnie ostrzegał, żebym nie stała zbyt blisko bydła, zwłaszcza nowo nabytego, bo było płochliwe i uciekało w najdalsze zakamarki zagrody na nawet najdelikatniejszy dźwięk czy ruch.

Ubrana byłam w bładoniebieską letnią sukienkę, która pasowała do koloru nieba, i ubrudzone błotem gumiaczki. Był przyjemny letni dzień i od czasu do czasu podmuch wiatru unosił dół sukienki, na co ja chwytalam ją ze śmiechem. Patrzyłam, jak Frisbee kładzie się na środku zagrody, kręgosłup wyprostowany, w zupełnym bezruchu. Nawet ja, choć miałam dopiero cztery lata, wiedziałam, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Krowy to ciekawskie stworzenia, więc powoli, jeden ostrożny krok za drugim, zaczęły iść w stronę nieruchomego psa. Jedna z jałówek o uszach w kształcie łyżek w kolorze anyżowych cukierków, które ojciec zawsze trzymał w kieszeni, podeszła do Frisbee i przybliżyła swój szeroki nos do jego, jakby chciała dać mu buziaka. Frisbee skoczył w powietrze i ugryzł niczego niepodejrzewającą krowę w nos, płosząc ją i inne przestraszone zwierzęta w odległy róg zagrody. Pies zrobił kilka radosnych, triumfalnych okrążeń po zagrodzie, zachęcany jedynie przez moje pokrzykiwania i oklaski, po czym wrócił na środek wybiegu i zaczął zabawę od nowa.

Pamiętam, jak rozglądałam się po farmie, żeby zobaczyć, czy ktoś jest w pobliżu. Byłam sama. Zakasałam sukienkę, przesłam pomiędzy palikami płotu i podeszłam do Frisbee. Czekaliśmy tam razem, aż znowu powoli podeszły do nas ciekawskie jałowki, machając głowami z boku na bok i wdymając szerokie chrapy, aż w końcu zasłoniły nade mną całe niebo.

– Zostań, Frisbee – kazał mój ojciec zdecydowanym tonem. Pies ani drgnął. – Idźcie dalej, dziewczyny – powiedział do jałówek, a one spokojnie się oddaliły, odsłaniając Frisbee'ego i mnie.

Ojciec wszedł do zagrody i wziął mnie na ręce. Twarz miał spiętą i zmartwioną.

– Nie martw się, nic mi nie jest, tatusiu – powiedziałam, gładząc jego policzek swoim i tłustymi paluszkami.

– Nie wchodź do zagrody, Holly – warknął. – Wystraszyysz bydło. – Zawsze właśnie na tym się kończyło.

Kiedy byłam małą, farma i ziemia wokół niej były dla mnie całym światem. Kiedy patrzyłam na północ i wschód, widziałam tylko łąki, na których pasły się krowy, zielone od koniczyny, lekko pagórkowate, przerywane słupami ogrodzenia w regularnych odległościach. Na południe ciągnęły się pola kukurydzy, które z dnia na dzień zdawały się przemieniać w dżunglę szorstkich łodyg i delikatnych kwiatostanów. Uwielbiałam włóczyć się po polach, odgarniając rękami łodygi, których liście zostawiały mi na skórze czerwoną wysypkę. Nigdy nie wiedziałam, dokąd pójdę dalej, nie wiedziałam, gdzie dotrę. Ale właśnie dlatego to robiłam. I jeszcze po to, żeby doprowadzić rodziców do szału.

Po zachodniej stronie farmy znajdowało się Broken Branch, gdzie co niedzielę jeździłam z rodzicami do kościoła. Ale nawet wtedy miasteczko wydawało mi się być za małe, zbyt znajome i nie mogłam się doczekać, kiedy z niego wyjadę.

Mama otwiera oczy.

– Przyłapałaś mnie – mówi z poczuciem winy w głosie. Fluorescencyjne świetlówki w moim pokoju są nie do zniesienia i jej skóra nabiera w ich świetle żółtawego, chorowitego odcienia, który przypomina mi, jak bardzo się zestarzała od czasu, kiedy ostatnio ją widziałam.

Uśmiecham się do niej.

– Jeśli ktoś tutaj zasługuje na porządny odpoczynek to tylko ty, mamó. Nigdy nie znalazłam nikogo, kto przez całe życie pracowałby tak ciężko jak ty.

– Myślę, że twój ojciec mógłby ze mną konkurować – powiedziała skromnie.

– O której ląduje ich samolot? – pytam po raz setny, choć doskonale znam odpowiedź.

– Jutro o szesnastej – odpowiada mama, wstając i wyciągając ręce nad głowę. – Przyjadą tu prosto z lotniska.

– Nie mogę się ich doczekać – mówię niczym dziecko, które odlicza dni do Bożego Narodzenia.

– Wiem – mówi mama – a oni nie mogą doczekać się ciebie. Twój ojciec też. Dopilnuje, żeby Augie i PJ dotarli tu bezpiecznie.

WILL

Verna i Will dostawili swoje krzesła do i tak już zatłoczonego stolika w kawiarni. Powietrze pachniało smażoną cebulą i kawą. Najwyraźniej uzbrojony napastnik w jedynej szkole w mieście nie wystarczył, by pozbawić ludzi apetytu. Ale kiedy Will zaczął rozglądać się po sali, stwierdził, że łatwo jest odróżnić tych, którzy mają bliskich w szkole, od tych, którzy byli jedynie obserwatorami cudzego kosmaru.

Trzy stoliki dalej grupa nieznamomych wsuwała z apetytem talerz przystawek Lonniego i kanapki z polędwicą. Reporterzy – domyślił się Will na widok mężczyzny w prochowcu. Płaszcz mężczyzny był zdecydowanie za cienki jak na tę pogodę, a sztywne, natapirowane włosy kobiety od razu ją zdradziły. Dwaj pozostali mężczyźni przy stoliku niby bezinteresownie wychylali się ku innym klientom, jednocześnie zawzięcie notując.

– Co za pieprzony tupet – powiedział Ed Wingo, mężczyzna chudy jak strach na wróble, z przygarbionymi ramionami i niewyparzoną gębą. Ed był też prawdopodobnie najbogatszym człowiekiem w mieście, jako że posiadał niemal trzysta dwadzieścia pięć hektarów ziemi uprawnej i jedną z najbardziej dochodowych hodowli świń w kraju. – Ktoś powinien im powiedzieć, żeby zabrali stąd swoje dupski – dodał zażarcie.

– Doskonały pomysł – odparła Verna oschle. – Damy im po pyskach, wyrzucimy na mróz, a potem zobaczymy, jakie miłe rzeczy powypisują o naszym wspaniałym mieście.

Will aż zakrztusił się kawą, próbując powstrzymać się od śmiechu. Nic dziwnego, że Marlys lubiła tę kobietę. Nielu ludzi ośmieliłoby się przygadać Edowi Wingo.

Ed wypiął pierś i pokazał na Vernę kościstym palcem.

– Naprawdę uważasz, że nie ma nic złego w tym, że obcy ludzie podsłuchują nasze rozmowy i wykorzystują cierpienie tego miasta, żeby podnieść sobie nakład albo oglądalność?

– Jestem przekonany – odezwał się Will pogodnym tonem – że ci ludzie woleliby pewnie być pod szkołą i dostać jakieś prawdziwe informacje niż tkwić tutaj z nami. Od nas nie dowiedzą się niczego istotnego.

– Bardziej się pewnie przejmują tym, gdzie będą dziś spać – dodał Carl Hoover, kierownik Pierwszego Oddziału Banku Narodowego w Broken Branch. – Duże szanse, że po takich opadach autostrady zostaną zamknięte.

– Myślicie, że zdadzą sobie sprawę, że w mieście nie ma hotelu? Może zatrzymają się u ciebie, Ed? Masz taki duży dom. – Verna się zaśmiała, ale po chwili spoważniała, kiedy wzrokiem zmierzyli ją inni zebrani. – Jak myślicie, ile to jeszcze może potrwać? – zapytała bezradnie.

– Gdybym ja tu decydował – powiedział Ed, dając znak kelnerce – to wtargnąłbym do szkoły i kazał snajperowi zdjąć tego wariata, a potem w cholerę zabrałbym stamtąd dzieci.

– Nie mogą tego zrobić – sprzeciwił się Carl. – Gość może zacząć strzelać. Nie, najpierw muszą spróbować nawiązać z nim kontakt i zacząć negocjować, a potem przecześć.

– Tego właśnie nie rozumiem. – Ed podał swój kubek kelnerce, by ponownie napełniła go kawą. – Po co jakiś dupek miałby przetrzymać dzieciaki z Broken Branch? To jakiś absurd. – Skinął do kelnerki w podziękowaniu i upił duży łyk, myśląc. – Może to nauczyciel, którego zwolnili w zeszłym roku? Niezły był z niego numer. Jeśli pamiętam dobrze, to podniósł rękę na ucznia.

– Tak, przykra sprawa – odparł Will, kręcąc głową na wspomnienie tamtego zdarzenia. – Dzieciak wsypał mu do baku cukru czy coś w tym stylu. Ale to mierny powód, żeby wdać się w bójkę.

– Słyszałam, że jest teraz kierownikiem stacji benzynowej w Sioux City. Pewnie zarabia lepiej, niż kiedy był nauczycielem – powiedziała Verna. – Nie widzę powodu, aby chciał się tu znowu pojawić. – Zerknęła ukradkowo na Willa. Wiedziała, że myśli o swoim zięciu i wnuczkach.

MEG

Idąc do radiowozu sprawdzam, czy nikt do mnie nie dzwonił. Pięć nieodebranych połączeń. Cztery od Marii, jeszcze jedno od Stuarta. Ogarnia mnie strach na myśl, że coś musiało się stać, ale potem przypominam sobie wóz transmisyjny i jak Stuart powiedział, że temat szkoły zdominował media. Maria mogła zobaczyć coś w telewizji i boi się o swoją klasę. Pewnie razem z Timem chcą sprawdzić co u mnie. Przyciskam zieloną słuchawkę i wsiadam do auta.

– Cześć, mamusiu. – Słyszę zasapany głos Marii. – Co się stało w szkole?

– Nie martw się o to, dobrze? – mówię, przytrzymując telefon ramieniem i wkładając kluczyk do stacyjki.

– Ale w telewizji... – zaczyna.

– Jeszcze nie wiemy, Maria-Balerina – mówię, nazywając ją tak jak lubi. Opony trochę się ślizgają, kiedy skręciwszy w lewo, wyjeżdżam ze szkolnego parkingu.

– Okej – mówi, choć nie wydaje się przekonana.

– Muszę wracać do pracy, powiedz tacie, że zadzwonię do niego później.

– Musiał iść na dyżur – mówi Maria i po tonie jej głosu wiem, że cieszy się z tego tak samo jak ja.

– Z kim teraz jesteś? – pytam, bojąc się, że z moimi rodzicami albo, co gorsza, moim bratem.

– Z dziadkami Barrettami – odpowiada, a ja oddycham z ulgą.

– Daj mi do telefonu babcię Judith, okej? Zadzwonię do ciebie później. Kocham cię, ściskam i całuję.

– Ściskam i całuję – odpowiada, ale wydaje się smutna, na skraju łez.

Przez chwilę w słuchawce panuje cisza i Maria oddaje ją matce Tima.

– Judith – mówię. – Myślałam, że Tim ma wolne. – Staram się, by w moim głosie nie pobrzmiewała irytacja, bo to nie wina mojej byłej teściowej.

– Wiem, Meg – mówi i po jej głosie słyszę, że czuje się niezręcznie. To dla mnie bardzo przykre, bo Judith i ja zawsze miałyśmy dobre relacje. – Wezwali go do pracy. Co tam się dzieje?

– Nie mogę teraz rozmawiać. Kiedy się do ciebie odezwie, każ mu od razu zadzwonić do mnie.

– Pewnie zobaczysz go wcześniej niż my – mówi. – Myślę, że wezwano go na dyżur z powodów, o których nie możesz rozmawiać.

Nie mam zamiaru, ale wdycham. Głośno.

– Jeśli z nim porozmawiasz, każ mu do mnie zadzwonić. I... – dodaję, zanim zdołam ugryźć się w język – Proszę, nie pozwól Marii oglądać więcej serwisów informacyjnych.

– Meg – mówi Judith z irytacją. – Maria oglądała telewizję, kiedy nagle przerwano program ze specjalną relacją o tym, że jej kolegów przetrzymuje jakiś bandzior. I nie mów mi proszę, że nie masz żadnych informacji.

– Naprawdę niczego nie wiem na pewno, bo inaczej bym ci powiedziała. Przepraszam, Judith. Nie chciałam tak na ciebie napadać. Sytuacja jest napięta. Zadzwoń, jak tylko się czegoś dowiemy, okej?

Następuje długa pauza i zaczynam się zastanawiać, czy matka Tima nie odłożyła słuchawki.

– Maria mogła tam teraz być – mówi w końcu.

– Wiem. – Tylko tyle przychodzi mi do głowy, ale odsuwam jak najdalej myśli, że moja córka mogłaby przebywać w szkole z uzbrojonym szaleńcem. Zastanawiam się, co bym wtedy zrobiła. Pracowałabym tak, jak teraz, przesłuchując świadków i pomagając w prowadzeniu śledztwa? Czy może zrobiłabym to, co chcieli zrobić farmerzy – wtargnęłabym do szkoły z bronią, żeby dostać swoje dziecko?

Rozłączamy się i przez pół minuty rozważam, czy nie zadzwonić do Stuarta, by sprawdzić, czy media dowiedziały się czegoś nowego, ale szybko z tego rezygnuję. Trzy tygodnie temu sprawy między mną a Stuartem nie zakończyły się dobrze. Siedziałam za biurkiem na komisariacie i pisałam raport, kiedy do budynku zakradła się jakaś kobieta i stanęła przede mną. Pamiętam, że zauważyłam, jak ładnie wygląda ta obca osoba, modnie ubrana, doskonale umalowana, z perfekcyjną fryzurą. Później zdałam sobie sprawę, że zrobiła to dla mnie. Drżał jej podbródek, kiedy zsuwała z palca złotą obrączkę ślubną i położyła ją delikatnie na moim biurku.

– Równie dobrze możesz ją sobie zabrać – powiedziała cicho. – Zabrałaś mi wszystko inne, co się dla mnie liczyło.

Podniosłam wzrok i spojrzałam na nią ze zmieszaną miną, wciąż nie wiedząc, kim jest.

– Mogę w czymś pomóc?

Prychnęła na mnie ostro, zwracając na nas uwagę pozostałych funkcjonariuszy. Stojący przy ekspresie do kawy komendant McKinney przyglądał się całemu zdarzeniu z uwagą, jednocześnie dolewając sobie śmietanki.

– Możesz mi pomóc, mówiąc Stuartowi, żeby już nigdy nie wracał do domu. Zmieniłam zamki i numer telefonu. Będę się z nim kontaktować jedynie przez adwokata. – Zaskoczenie na mojej twarzy musiało wzbudzić w niej wahanie, bo na chwilę na jej twarzy pojawił się cień wątpliwości, ale szybko się z tego otrząsnęła, zamieniając niepewność na zimną pogardę.

– P-przepraszam – wyjąkałam. – Nie wiedziałam.

Nienawistnie pokręciła głową.

– No cóż, ja też – powiedziała gorzko, wyprostowała się i wyszła.

Dwa dni później otworzyłam niedzielną gazetę, zobaczyłam nagłówek wypisany wielką, tłustą czcionką i notkę o Stuarcie. Zmroziło mnie. Stuart miał swój sensacyjny artykuł i wykorzystał mnie, aby zdobyć do niego informacje.

Stuart może iść do diabła – postanawiam, próbując odepchnąć od siebie wspomnienia. Rzucam telefon na siedzenie obok i obiecuję oskarżyć go o utrudnianie śledztwa, jeśli znów spróbuje się ze mną skontaktować, odwracam się przez ramię i widzę grupę uczniów biegnących od odległego rogu budynku. Wciskam hamulec z impetem, przez co samochód wpada w poślizg i sunie bezwładnie z boku na bok przez, jak mi się wydaje, wieczność. W końcu opony łapią tarcie i jestem w stanie obrócić auto tak, bym widziała szkołę. Przyglądam się uważnie, ciężko

oddychając. Dwadzieścioro parę uczniów, na oko nastolatków, biegnie przez śnieg w stronę parkingu. Na ich twarzach maluje się przerażenie. Jedna uczennica ślizga się na śniegu i pada na ziemię. McKinney zdołał tu ściągnąć jedyną karetkę w Broken Branch i jeszcze jedną z sąsiedniego miasta, z której momentalnie wybiega do niej dwóch ratowników. Zastanawiam się, czy Tim jest już w drodze, a jeśli tak, dlaczego jeszcze do mnie nie zadzwonił.

Parkuję auto i wracam do McKinneya i innych funkcjonariuszy. Ruszam w stronę miejsca, z którego wyszły dzieci – parterowego okna dość nisko nad ziemią. Zniszczony ekran leży na śniegu, a w oknie siedzi jakaś dziewczyna, której jedna noga dynda nad śnieżną zaspą. Dziewczyna co chwilę odwraca się z powrotem do klasy, jakby czegoś zapomniała.

– No chodź – wołam, ruchem ręki przywołując ją do siebie. Dziewczyna zauważa mnie i przez chwilę patrzemy na siebie. Zaciśnięte usta, spięte ramiona. Wiem, co robi.

– Nie, nie – wołam za nią, kiedy wciąga nogę z powrotem do środka. – No chodź – wołam głośno. – Tutaj! – Nie oglądając się, dziewczyna znika w sali. – Szlag by to! – mówię pod nosem i gapię się na opustoszałe okno.

PANI OLIVER

Z krzesła, na którym kazał jej usiąść mężczyzna, pani Oliver wołała do dziewczynki zamkniętej w szafie.

– Nie martw się, Lucy! Wszystko będzie dobrze! – Pani Oliver ukradkowo wycierała oczy, starając się powstrzymać łzy, zanim zaczną płynąć, kiedy nagle go zobaczyła. Jason Ellery. Stoi za drzwiami i zerka do środka. Na początku zakiełkowała w niej nadzieja, a w żołądku poczuła ekscytację, ale szybko zastąpił ją strach. Uzbrojony mężczyzna był już bardzo rozwścieczony. Kto mógłby przewidzieć, co zrobi, jeśli pan Ellery, bez wątpienia młody i naiwny, stanie mu na drodze?

– Jezus, ludzie, nie wypełniamie własnych procedur alarmowych? – zapytał mężczyzna ze zniecierpliwieniem. Wymierzył pistoletem w drzwi, a pan Ellery szybko się schował. – Otwórz drzwi – powiedział głośno intruz, ale nauczyciel nie wylał się ponownie. – Powiedziałem, otwórz drzwi. – Minęły sekundy i z delikatnym kliknięciem drzwi lekko się otworzyły. Jason Ellery stanął przed nimi z uniesionymi w górę dłońmi.

– Cześć – odezwał się Jason potulnym tonem. – Usłyszałem jakieś uderzenia i płacz. Myślałem, że komuś dzieje się krzywda, więc pomyślałem, że sprawdzę, czy mogę pomóc.

Napastnik podszedł do niego spokojnie, niemal swobodnie.

– Zły pomysł – powiedział, kręcąc głową. – Nie jesteś policjantem?

– Nie, nie – zapewnił go Jason, ostrożnie krocząc w tył. – Jestem nauczycielem. Zwykłym nauczycielem ósmej klasy.

– Podejź tu – powiedział mężczyzna. Pan Ellery nie przestawał się cofać. – Powiedziałem, chodź tu.

– Hej, nie chcę kłopotów, przyszedłem tylko zobaczyć, czy mógłbym... – Uniósł wzrok w błagalnym geście, ale zanim zdolał dokończyć zdanie, mężczyzna zamachnął się i uderzył go w skroń kolbą pistoletu. Pan Ellery padł na kolana i uniósł dłonie, by powstrzymać kolejne ciosy.

Pani Oliver chciała biec panu Ellery'emu na ratunek. Pomyślała jednak, że nie może zbyt wiele zrobić poza chyba wskoczeniem na plecy intruza i powaleniem go na ziemię. Rozejrzała się po twarzach dzieci. Niektóre z nich położyły głowy na ławkach i schowały je w ramionach, inne siedziały wyprostowane ze strachu jak struny, jeszcze inne płakały. Co by się z nimi stało, gdyby spróbowała zachować się jak bohaterka? Czy mężczyzna by ją zastrzelił, czy zastrzeliliby dzieci? Nie mogła znieść myśli, że nie wyjdzie z klasy, bezpiecznie wyprowadzając z niej swoich uczniów. Nie, zostanie na miejscu – postanowiła. Zostanie na miejscu i zobaczy, co się stanie.

Będzie chronić dzieci, choć nie zbyt dobrze ochroniła Lucy. W głowie usłyszała głos Cala: „Lepiej, że jest w schowku, Evie. Nie dałaby sobie rady tu, w sali”. Pani Oliver pomyślała, że gdyby tu był, to by właśnie powiedział, i poczuła się odrobinę lepiej.

Pan Ellery kłęczał, jego głowa krwawiła. Mężczyzna złapał go za rękę, po czym wciągnął go do klasy. Pan Ellery jest głupi i odważny zarazem – pomyślała pani Oliver – skoro postanowił tu przyjść, by samodzielnie ich wszystkich uratować. Był młody i wysportowany. Szybkim ruchem pan Ellery uderzył mężczyznę w jądra nasadą dłoni, na co ten zatoczył się do tyłu, upuszczając broń. Pani Oliver aż krzyknęła z radości. Z jej ust uciekło donośne „Tak” i wstała z miejsca, gotowa rzucić się na pistolet.

– Uciekaj, Ellery! – krzyknęła. – Uciekaj. – Była jednak zbyt wolna. Mężczyzna chwycił pistolet i pobiegł za nauczycielem.

– Zatkaćcie uszy – kazała dzieciom pani Oliver, przekonana, że za chwilę rozlegną się strzały. Szesnaście par rąk zasłoniło sobie uszy. Mijały sekundy, ale nie dochodził ich żaden dźwięk. Pani Oliver niepewnym krokiem podeszła do drzwi, licząc na to, że zobaczy, jak pan Ellery obezwładnia zloczyńcę i poddusza go ramieniem czy wykonuje inny chwyt, jaki знаła z zawodowych walk zapaśniczych, które lubił oglądać Cal. Zerknęła za róg i poczuła ucisk w żołądku. Napastnik trzymał zakrwawionego pana Ellery’ego za koszulę, lufę pistoletu przystawiając mu do głowy, i ciągnął go do schowka na mopy, który znajdował się na korytarzu. Wepchnął tam nieprzytomnego nauczyciela i z hukiem zatrzęsął drzwiami.

– Wracaj do klasy – powiedział mężczyzna chłodno, mierząc do Evelyn z pistoletu, na co kobieta pospieszyła na swoje miejsce. – Głupki – powiedział, kiedy wrócił do środka. – Wszyscy tylko cholernie wydłużacie całą sprawę. – Zaczął chodzić po klasie zdeterminowanym krokiem, mierząc z pistoletu do każdego z uczniów i zatrzymując się za plecami pani Oliver. Poczuła, jak lufa delikatnie przejeżdża jej po potylicy. – Zostańcie na miejscach, siedźcie cicho, a wszystko szybko się skończy.

AUGIE

Beth i ja po cichu idziemy przez salę. Ręka mi się trzęsie, gdy kładę ją na gałce w drzwiach i zaczynam przekręcać. Boję się tego, co zastaniemy na zewnątrz.

– W którą stronę idziemy? – pyta Beth, rozglądając się po korytarzu najpierw w prawo, potem w lewo.

– PJ i Natalie są piętro wyżej w klasie pani Oliver – mówię. – Chodźmy tam. – Skinieniem głowy wskazuję na schody, które zdają się być oddalone od nas o całe kilometry. Musimy przejść koło dwóch klas, zanim dojdziemy do schodów. Mnóstwo miejsca do chowania się dla szaleńca z bronią.

– Okej – odpowiada Beth i wychodzi z klasy. Gdy zdaje sobie sprawę, że nie zaczęłam iść za nią, bierze mnie za rękę. Jest równie zimna jak moja, ale silniejsza. W jednej chwili czuję się lepiej i uświadamiam sobie, że moje stopy jednak potrafią się poruszać. Kulimy ramiona i skradamy się małymi kroczkami, jakby to miało sprawić, że nikt nas nie zauważy. Mijamy pierwszą salę, nawet nie zaglądając do środka. Idziemy po schodach bezgłośnie i kiedy docieramy na górę, staję na czymś śliskim. Puszczam dłoń Beth i z hukiem upadam na tyłek. Kładę dłonie na ziemi, chcąc jak najszybciej się podnieść, ale moje palce dotykają czegoś mokrego i śliskiego. Nie ma tego dużo, ale na ciemnym korytarzu wydaje się to niemal czarne. Skądś wiem, że to krew.

– Nic ci nie jest? – pyta Beth, patrząc na mnie. Próbuję wytrzeć krew z dłoni o posadzkę, ale niewiele to pomaga, więc wycieram ją o dzinsy.

– To krew – szepczę. Z ust Beth wyrywa się cichy jęk i wiem, że myśli o swoim ojcu, a ja o panu Ellerym.

– Byłoby słychać strzał – przypominam jej, a ona zapalczywie kiwa głową, jak gdyby przyznanie mi racji miało sprawić, że to będzie prawda. – Idziemy dalej? – pytam, a ona nadal potakuje.

Reszta naszej klasy pewnie ściska się teraz z rodzicami. Może nawet jadą już do swoich ciepłych domów, gdzie ich matki będą zalewać się łzami wdzięczności, jednocześnie przygotowując swoim dzieciom ich ulubione dania. Ich ojcowie siądą koło nich na kanapie i każą sobie w kółko opowiadać o tym, jak pan Ellery zniknął, jak sami wybili z okna siatkowy ekran, jednocześnie kręcąc głowami na to, jak odmiennie mógł się dla nich zakończyć ten dzień.

Wiem, bo tak właśnie zrobił mój ojciec w dzień pożaru. Kiedy zabrał PJ-a i mnie do domu, wzięliśmy prysznic i założyliśmy stare koszulki i dresy mojej macochy, Lori. Kiedy PJ zasnął

i tata zaniósł go do małego gościnnego pokoju, a Lori poszła do swojej sypialni, co robiła dość często, kiedy byłam w pobliżu, tata i ja razem siedliśmy na kanapie. Objął mnie ramieniem, a ja położyłam mu głowę na torsie. Miałam wrażenie, że od lat tego nie robiłam. Opowiedziałam mu o pożarze, dymie i okropnym zapachu. Uwielbiam w moim tacie to, że nie stara się wszystkiego naprawić, potrafi po prostu siedzieć i słuchać. Chyba uważa, że nie ma prawa mi mówić, co robić. Nie widujemy się zbyt często, a obecność PJ-a tylko wszystko utrudnia.

– Augie – powiedział tata po pewnym czasie. Twarz miał poważną, przestraszoną. Poczulałam ucisk w żołądku. Mój tata nigdy się nie bał. Zawsze się uśmiechał. „Pan Promyczek” – mówiła na niego mama, ale nie w miły sposób. – Augie – powtórzył raz jeszcze, jak gdyby próbował zyskać na czasie, by dobrać właściwe słowa. – Twoja mama zostanie w szpitalu na długo.

– Wiem – odparłam. Nie chciałam o tym już dłużej rozmawiać. Chciałam tylko posiedzieć razem na kanapie i obejrzeć jakiś głupi program w telewizji.

– Chcę, żebyś wiedziała, że możesz tu zostać tak długo, jak zechcesz. – Ucisnęła moje ramię, a ja trochę się rozluźniłam. Liczyłam, że to właśnie mi powie. – Rozmawialiśmy o tym z Lori. Urządzimy ci dodatkowy pokój.

Nagle poczułam lekkie ukłucie paniki.

– A co ze szkołą?

Tata pokręcił głową.

– Lori przejeżdża koło niej w drodze do pracy. Może cię zawozić i odbierać. – Po raz pierwszy tego dnia tata szeroko się uśmiechnął.

Odetchnęłam z ulgą.

– PJ i ja będziemy wam bardzo pomagać – obiecałam. – Ja mogę gotować, a PJ umie robić pranie. – Tata ściągnął usta, a jego uśmiech zniknął. – Nie wierzę! – powiedziałam głośno i wyzwoliłam się z objęć taty. Zerknął nerwowo w stronę pokoju, w którym spał mój brat.

– Augie – szepnął wycieńczonym tonem, jakby to jego matka poparzyła się podczas pożaru, a wszystko co posiadał, zostało doszczętnie zniszczone. – Augie, postaw się na naszym miejscu. – Potarł dłonią łysinę, a ja złożyłam ręce na piersi i odsunęłam się od niego w najodleglejszy zakątek kanapy. – Lubimy PJ-a, to świetny chłopiec, ale rozmawialiśmy o tym z Lori i oboje uważamy, że będzie dla niego najlepiej, jeśli zamieszka ze swoją rodziną.

– Ja jestem jego rodziną. – Z całych sił starałam się nie unieść głosu. Nie chciałam, żeby PJ to usłyszał, a wiedziałam, że Lori czyha gdzieś za ścianą albo za drzwiami, nasłuchuje i czeka na to, co wydarzy się dalej. Straszny z niej tchórz.

– Augie – powiedział delikatnie tata. – On nie jest moim synem. – Nie miałam na to dobrej riposty, więc tylko utkwiliłam w nim spojrzenie. Moje spojrzenie jest podobno świetne. Groźne, jak mówi mój kolega Arturo. To spojrzenie władowało mnie w wiele kłopotów i uratowało w wielu sytuacjach. – PJ to świetny chłopak, ale... – Wyciągnął do mnie dłoń.

– Ale co? – Nie miałam zamiaru tak łatwo odpuścić tacie.

– Ale nie jest moim synem. Ty możesz tu zostać, jak długo zechcesz, ale dla PJ-a musimy zorganizować coś innego.

– Dlaczego? – zapytałam. – Ma osiem lat. Nie je dużo. Dbą o czystość bardziej niż my wszyscy.

– Wiesz, że nie chodzi tylko o to.

Wiedziała. Wiedziała, że moi rodzice rozstali się niedługo po tym, jak PJ przyszedł na

świat. Wiedziałam, że PJ nie dostał swoich ciemnobrązowych oczu i czarnych włosów po moim ojcu. Ale to nie powinno być mieć znaczenia. PJ był tylko dzieckiem.

– Czyli tak po prostu wyrzucisz go na ulicę? Pięknie.

Lori w końcu wyszła ze swojego ukrycia.

– Nie wyrzucimy go, Augie. – Byłam wyższa od Lori i o jakieś dziesięć kilo cięższa. Wyglądałam jak jej starsza siostra. Lori stanowiła zupełne przeciwieństwo mojej matki. Była jak młda owsianka, a moja mama jak czekoladki z nadzieniem. Nie mówiła zbyt wiele, ale miałam wrażenie, że podejmuje w tym domu wszystkie decyzje. – Zadzwoiliśmy do dziadków.

– Babci i dziadka Bakerów? – zapytałam ze zdziwieniem. Rodzice mojego ojca nienawidzili mojej mamy, a istnienia mojego brata nie chcieli nawet przyjąć do wiadomości. Nigdy bym nie pomyślała, że przyjęliby PJ-a pod swój dach.

– Nie – powiedział tata. – Do babci i dziadka Thwaite. Przyłącz dziś wieczorem.

W głowie miałam gonitwę myśli. Moja mama nie mówiła zbyt wiele o naszych dziadkach i wiedziałam, że o coś bardzo się pokłócili, jeszcze zanim się urodziłam. Co roku wysyłali dla PJ-a i mnie kartkę na urodziny i na Boże Narodzenie ze studolarowym banknotem w środku. I tyle. Żadnych telefonów, żadnych mejli, żadnych wizyt w wakacje.

– PJ nie może z nimi mieszkać, przecież oni są z Iowa. – Powiedziałam słowo „Iowa”, jakby źle smakowało.

– Tak jak powiedział twój tata – powtórzyła Lori, kładąc dłonie na brzuchu – możesz zostać z nami albo zamieszkać u swoich dziadków.

I właśnie wtedy wszystko stało się dla mnie idealnie jasne. Lori spodziewała się dziecka. Wiedziałam wtedy, że to jej wielki plan. Chciała się nas pozbyć. Zastąpić mnie nowym dzieckiem. Gdyby Lori się uparła, tata pozwoliłby PJ-owi z nimi zamieszkać. Z nami. Wiedziała, że nigdy nie posłałabym brata samego do jakiejś dziury w Iowa, żeby zamieszkał z zupełnie obcymi ludźmi. Lori nie chciała, żebyśmy ani ja, ani PJ przeszkadzali jej nowej, idealnej rodzinie. I choć to straszne, muszę przyznać, że ich propozycja brzmiała kusząco – zostać u ojca w Revelation. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że będę musiała zostawić szkołę, przyjaciół. Mamę. Zamieszkać z ludźmi, których moja mama nawet nie lubiła.

– Możemy zostać u Artura albo u pani Florio – zaproponowałam. – Możemy zamieszkać w rodzinie zastępczej do czasu, aż mama wyjdzie ze szpitala – powiedziałam, choć na samą myśl zrobiło mi się niedobrze.

Tata westchnął, a Lori przygryzła wargę, jakby chciała powiedzieć coś więcej, ale wiedziała, że to nie jest najlepszy pomysł.

– Nie musisz podejmować decyzji już teraz, Augie – powiedział tata, wyciągając do mnie rękę, na co odskoczyłam jak najdalej od jego dotyku. Widziałam, że go zraniłam. I bardzo dobrze – pomyślałam sobie. – To był okropny dzień – mówił dalej. – Prześpij się. Rano wszystko będzie wyglądać inaczej.

– Na pewno – wymamrotałam, idąc do pokoju, w którym spał PJ. Trzasnęłam drzwiami tak mocno, że ściany zdrząły, a PJ usiadł wyprostowany na łóżku, gwałtownie wyrwany ze snu.

– Co? – krzyknął. – Co się dzieje?

– Zamknij się, kretynie – warknęłam, popychając go na łóżku, żeby zrobił mi miejsce, po czym upewniłam się, że jest przykryty kocem dokładnie tak, jak lubi.

MEG

Nie rozumiem, dlaczego dziewczyna nie wyszła ze szkoły z innymi uczniami, chyba że razem z nimi w klasie znajdował się napastnik. Z tą myślą odchodzę od okna i wracam na parking, gdzie komendant McKinney i nieznamy mi funkcjonariusz z pobliskiego miasta przeszukują uczniów, spisują ich nazwiska i przekazują ratownikom medycznym, którzy otulają ich kocami.

Kiedy dobiegam do komendanta, ledwie zipię.

– Jak przetransportujemy ich wszystkich do kawiarni? – pytam o dygocących z zimna i oszołomionych uczniów.

– Szkolnym autobusem – mówi McKinney i w tej samej chwili na parking podjeżdża żółty kolos. – Zbieramy wszystkie ich dane, nazwiska rodziców, adresy, numery telefonów.

– Ktoś coś widział? – pytam, rozglądając się po grupie nastolatków w poszukiwaniu znajomej twarzy, kogoś, kto mógłby ze mną otwarcie porozmawiać.

Komendant kręci głową.

– Zbieramy od wszystkich wyjaśnienia i upewniamy się, że nikt nie jest ranny. Nie wygląda na to, żeby ktoś miał jakieś obrażenia oprócz dziewczyny, która poślizgnęła się na lodzie. To tylko grupa przerażonych dzieciaków.

– Widziałam dziewczynę, która prawie wyszła przez okno, ale coś, nie wiem co, sprawiło, że zmieniła zdanie. Wołałam do niej, ale nie chciała wyjść.

– Myślisz, że w klasie był intruz? To by nam dało jakieś miejsce zaczepienia. Ta szkoła to taki moloch, że zabezpieczenie terenu zajmie nam wieczność, kiedy w końcu dostaniemy się do środka. – Szkoła w Broken Branch została oddana do użytku w latach czterdziestych, ale w latach osiemdziesiątych dobudowano do niej pawilon. Znajdowało się w niej wiele dziwnych zakamarków i kryjówek. To idealny budynek, jeśli ktoś chce się schować.

– Nie wiem – kręcę głową, przypominając sobie dziewczynę w oknie. – Nie wyglądała na przestraszoną. Raczej zdeterminowaną.

Komendant zamyka oczy i robi głęboki wdech. Zestarzał się w ciągu tylko godziny. Twarz ma niezdrowo czerwoną od wiatru i mrozu. Jego jasne, niebieskie oczy są przekrwione i szkliste.

– Dopilnuj, by wszystkie dzieci wsiadły do autobusu, dobrze? Przyjechali wolni funkcjonariusze z biura szeryfa i muszę wszystkim przydzielić zadania. Miejmy nadzieję, że negocjator z Waterloo dotrze tu w ciągu najbliższej godziny.

Patrzę, jak komendant idzie w stronę kampera. Stara się ruszać żwawo, ale gęsty i zbity śnieg spowalnia jego ruchy i wiem, że jego artretyczne kolana pewnie bolą od mrozu. Presja, jaką

czuje, musi być ogromna. Lokalna społeczność, stan, a może nawet cały kraj będzie mówił o tym, jak poradził sobie z sytuacją. Jak zareagowała jego komenda.

Wprowadzam uczniów do szkolnego autobusu i pytam każdego, czy cokolwiek widział. Większość z nich po prostu kręci głowami na nie i w ciszy wsiada do środka. Kątem oka widzę chudego chłopaka z przygarbionymi ramionami i kudłatą, brązową czupryną. Noah Plum. Znajoma twarz wśród lokalnych służb. Wandalizm, spożywanie alkoholu przez osobę nieletnią, prowadzenie pojazdu bez prawa jazdy. Chłopak, który ma zbyt dużo wolnego czasu i za mało kontroli rodzicielskiej.

– Nic ci nie jest, Noah? – pytam.

Spogląda na mnie z lekceważeniem.

– A co to panią obchodzi?

– Obchodzi – mówię cicho, starając się nie zwracać na nas uwagi innych. – Cieszę się, że nic ci nie jest.

– Jasne, dorośli tak się o nas martwią. Nawet nasz durnowaty nauczyciel nas zostawił – przycha i próbuje przepchnąć się obok mnie.

– Czekał – mówię, chwytając go za ramię. – Nauczyciel was zostawił? Jesteś pewien?

– Tak jestem pewien – wyrzuca z siebie, strącając moją dłoń ze swojego rękawa. – Usłyszał jakiś pieprzony hałas, wyszedł z sali i już nie wrócił. Założył się, że siedzi teraz w domu, zadowolony z siebie.

Kręcę głową.

– Nie sądzę, Noah. Jaki odgłos słyszeliście? – Serce wali mi jak młotem. Jeśli słyszeli wystrzał, będziemy mieli powód, by natychmiast wkroczyć do budynku.

– Jakieś dudnienie, jakby ktoś skałał w sali nad nami. – Usta Noaha wykrzywają się w półśmiech. – Ten dupek nas porzucił.

Trochę się rozluźniam. Nie strzał, ale mimo wszystko. Nie sądzę, żeby nauczyciel celowo zostawił swoich uczniów samych, kiedy po szkole płacze się mężczyzna z bronią.

– Jak się nazywa twój nauczyciel?

– Pan Dupek Ellery – odpowiada i wsiada do autobusu.

Ellery. To nazwisko brzmi znajomo, ale nie kojarzę jego twarzy. Do autobusu wsiada ostatnia uczennica, więc wchodzę do środka, żeby udzielić kierowcy i policjantowi ostatnich instrukcji. W pojeździe panuje niepokojąca cisza. Nie pasuje to do szkolnego autobusu. Nie słychać jazgotliwego śmiechu, nikt nie chce zamienić się miejscami ani nie zrywa kolegom czapek z głów. Milczące, posępne dzieci wyglądają przez okno albo wpatrują się w swoje uda.

– Kiedy dojedziecie do kawiarni, możecie wydać uczniów tylko rodzicom lub opiekunom. Nikomu innemu. I dopilnuj, żeby każdy rodzic podpisał się w rejestrze zwolnień na dowód, że odebrał swoje dziecko.

Policjantka z biura szeryfa z pobliskiego miasta Bohr kiwa głową.

– To się naprawdę dzieje – szepcze. – Brałam udział w procedurach alarmowych, ale nie w takich jak ta.

Już mam się z nią zgodzić, kiedy słyszę cieniutki głos na tyłach autobusu.

– Gdzie jest Beth?

– Co? – pytam. – Co powiedziałaś?

– Beth Cragg – zmartwionym głosem mówi dziewczyna w okularach i blond loczkach. – Nie

ma jej tu. Była z nami w sali, ale tu jej nie ma.

– I Augie – dodaje ktoś inny. – Nie ma Augie. Stała tuż za mną, kiedy wychodziliśmy przez okno. Gdzie one są?

WILL

Niebo za oknem restauracji było grafitowe, a wiatr trzął szybami w oknach. Droga przed kawiarnią była pusta, nie licząc śniegu, który wściekle po niej hulał.

Willowi przekręcało się w żołądku od pięciu filizanek kawy i wiedział, że powinien coś zjeść. Zadzwoił do Daniela, który mógł poświęcić mu tylko kilka sekund. Jedna z krów miała komplikacje porodowe, ale nie było to nic, z czym Daniel by sobie nie poradził. Will zastanawiał się, czy byłoby z niego więcej pożytku, gdyby pojechał na farmę i pomógł, zamiast siedzieć u Lonniego, nie robiąc nic prócz czekania.

Postanowił zamówić kanapkę, by wciągnęła w siebie wstrętną czarną kawę, która bulgotała mu w żołądku, kiedy za szybą nagle zabłysnęła para jasnych reflektorów. W kawiarni zapadła cisza, a wszystkie pary oczu skierowały się na nadciągający pojazd, którego żółta bryła stopniowo wyłaniała się ze śnieżyicy.

– To autobus! – zawołał ktoś, stwierdzając oczywisty fakt. Rozsuwane drzwi otworzyły się i wyszła zza nich funkcjonariuszka, a za nią trzęsące się, zagubione istotki.

– O mój Boże – jęknęła jakaś kobieta. – To nasze dzieci! – Po kawiarni rozniosła się kakofonia głosów, a po niej odgłosy stóp i odsuwanych krzeseł.

– To autobus pełen dzieci – potwierdziła kolejna osoba.

– Widzę Noaha Pluma i Drew Holder! – krzyknął głos.

– Donna! Widzę twojego Caleba – odezwał się następny.

Wiatr wganiał dzieci do kawiarni jedno po drugim i matki oraz ojcowie brali je w objęcia, szlochając z ulgą. Will rozpoznał, że to uczniowie z klasy Augie, i zaczął wyciągać szyję w poszukiwaniu jaskrawoczerwonej czupryny swojej wnuczki.

Ledwie w zeszłym tygodniu Augie znalazła opakowanie farby do włosów Marlys i zamknęła się na klucz w jedynej łazience w domu. Will i PJ godzinami na przemian dobijali się do drzwi, wołając, żeby się pospieszyła. W końcu Augie wyłoniła się z łazienki z jaskrawym kolorem na głowie, takim samym jak u jej babci. W tym kolorze Marlys wyglądała jak starsza kobieta, która chce wyglądać młodo, Augie za to sprawiała wrażenie, jakby zamieniła się w śliwkę. Próbował powstrzymać się od śmiechu, ale kątem oka zobaczył minę PJ-a i zaczął rechotać jak opętany.

– Mnie się podoba – odparła Augie.

– Mama cię zabije – skomentował PJ, starając się zachować powagę. – Mama powiedziała, że farbowanie włosów jest jak picie. Jak już zaczniesz, to nie przestaniesz.

– Będzie musiała się trochę napić, kiedy cię zobaczy, Augie – wykrztusił Will między

napadami śmiechu, ale widząc zranioną minę dziewczynki, od razu tego pożałował. Wyszła z pokoju, dumnie zadzierając brodę.

Kiedy drzwi kawiarni w końcu się zamknęły, a na podłodze bezgłośnie wylądowało kilka serwetek porwanych ze stolów przez podmuchy wiatru, było jasne, że ani Augie, ani wnuczka Verny, Beth, nie przyjechały, i Will ciężko opadł na krzesło.

PANI OLIVER

Wszystkie spojrzenia utkwione były w drzwi schowka, do którego obcy mężczyzna wpełznął Lucy i podparł kławkę krzesłem. Minęły niemal dwie godziny, odkąd napastnik wkroczył do sali, i pani Oliver wiedziała, co stanie się dalej. Po czterdziestu latach w zawodzie znała na wylot wszystkie dziecięce nawyki i potrzeby... Biedna Leah. Pani Oliver poznała po tym, jak dziewczynka krzyżuje nogi, że sytuacja jest poważna.

– Przepraszam – powiedziała. Mężczyzna z irytacją podniósł wzrok znad telefonu. – Dzieci będą musiały skorzystać z toalety.

– Będą się musiały wstrzymać – odpowiedział i znów utkwił wzrok w gadżecie w swoich dłoniach.

Z ust Leah wymknął się krótki jęk i dziewczynka nagłąco spojrzała na panią Oliver.

– Nie, nie mogą się wstrzymać. Wstrzymują, odkąd tu wszedłeś. A na dodatek się denerwują. Każdemu chce się do toalety, kiedy się denerwuje. – Mężczyzna rozejrzał się po sali. – Łazienki są tuż przy drzwiach, zaraz po drugiej stronie korytarza – wyjaśniła. – To zajmie tylko kilka minut. Sprawnie to zrobimy, prawda, dzieci? – Uczniowie zaczęli energicznie kiwać głowami.

– Proszę, pani Oliver – powiedziała Leah rozpaczliwie.

– Litości – zgaśniła napastnika pani Oliver. – Przecież to niczego nie zmieni.

Mężczyzna zastanowił się przez chwilę i spojrzał na Leah, która starała się powstrzymać łzy i sądząc po tym, jaką przyjęła pozycję, również inne płyny.

– Masz pięć minut – powiedział do pani Oliver. – Masz pięć minut, żeby zaprowadzić je do łazienki i wrócić. Sekunda dłużej i zacznę strzelać.

Pani Oliver skinęła głową i szybko wstała, na co w nogach i dolnych plecach poczuła nagły ból.

– Ustawcie się w szeregu, dzieci. – Uczniowie z wahaniem rozejrzeli się po sobie, wstali z miejsc i ustawili się przy drzwiach. – Chłopcy po lewej, dziewczynki po prawej – nakazała. – Mamy tylko pięć minut. Żadnego ociągania się. Nie martwcie się nawet o mycie rąk – Widząc pełną obrzydzenia minę Ryana Lathama, zapewniła go, że mają w klasie całe litry antybakteryjnego żelu. – Gotowi? Po cztery dziewczynki i chłopców jednocześnie. Już! – Z klasy wybiegło pierwsze ośmioro dzieci. Mężczyzna odsunął się na przeciwny koniec sali, skąd dokładnie widział, co robią uczniowie i pani Oliver, ale wciąż najbardziej zainteresowany był swoim telefonem. Pani Oliver poczuła w żołądku kolejny bolesny skurcz. Sytuacja była bardziej skomplikowana, niż początkowo myślała. Może nie miała nic wspólnego ze szkołą, klasą, uczniami. Może nie miała nic wspólnego z nią. Jeśli mężczyźni chodziło o kogoś z uczniów albo o nią, to

wszystko mogło jeszcze skończyć się dobrze. Tylko że ten człowiek zdawał się być w ogóle nimi niezainteresowany. Prawie jak gdyby wszedł do zupełnie przypadkowej klasy, w której postanowił się zaszyc do czasu, aż rozpocznie się prawdziwa akcja. Z jakiegoś powodu na tę myśl pani Oliver zmartwiła się jeszcze bardziej. Ona i dzieci nie mieli dla tego mężczyzny żadnego znaczenia, byli jedynie dodatkiem. Ten człowiek na coś czekał. Tylko na co? Pani Oliver spojrzała na swoje biurko, gdzie schowany był jej telefon. Gdyby tylko mogła go jakoś zdobyć.

AUGIE

Z każdym krokiem pomyśl, by pójść do klasy PJ-a, wydaje mi się coraz gorszy, ale nie mogę się powstrzymać. Okropna ze mnie siostra. Pewnego wieczoru, kiedy dziadek zasnął na kanapie, a PJ przytulił się do niego, przełączyłam na dokument o seryjnych mordercach. Reporter opowiadał o tym, jak badacze zrobili skany mózgów morderców i odkryli, że wielu z nich doznało w dzieciństwie urazów głowy. Wystarczyło spojrzeć na PJ-a, a dokładnie wiedziałam, o czym myśli. Kiedy miałam pięć lat, a PJ dopiero kilka tygodni, postanowiłam uciec z domu. Mama i tata znówu się kłócili, krzyczeli, przekinali i mówili sobie przykre rzeczy o PJ-u. Nie mogłam tego dłużej znieść. Spakowałam do szkolnego plecaka ubrania, pieluchy i butelkę PJ-a i przeszłam nad barierką do jego łóżeczka. Spojrzał na mnie ciemnymi oczami, które miały nigdy nie zamienić się w niebieskie jak u mojego taty, i czekał na mój ruch. Jak na noworodka PJ był strasznie ciężki, ale mnie wydawało się, że naprawdę dam radę przełożyć go nad barierką łóżeczka i delikatnie położyć na ziemi. Nie chciałam go upuścić, ale stało się i PJ upadł prosto na swoją łusą główkę. Minęło kilka sekund, zanim zaczął płakać, ale kiedy to się w końcu stało – łał. Wyskoczyłam z łóżeczka, złapałam plecak i zaczęłam biec, i zatrzymałam się dopiero, gdy znalazłam się dziesięć przecznic od domu przed – kto by się spodziewał – salonem fryzjerskim, w którym pracowała mama. Siedziałam przed wejściem, gotując się w środku, aż podjechał pod niego tata.

– Wsiadaj, Augie – powiedział.

– Nie – odparłam z uporem, mimo że parzyło mnie słońce i umierałam z pragnienia.

– Augie – powtórzył wściekłym tonem, otwierając drzwi pikapa i wysiadając z auta. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę, jak się uśmiecha. – Wsiadaj, do cholery.

– Nie – powtórzyłam, zahaczając kostki o nogę ławki i chwytając za metalową poręcz. Musiałby wrzucić na tył auta całą ławkę, a razem z nią mnie, żeby mnie zmusić, bym wróciła do domu. Przymrużyłam oczy i podniosłam wzrok, widząc, jak do mnie idzie, aż poczułam pod pachami silne dłonie, które próbują mnie podnieść. – Aaa! – zaczęłam krzyczeć, wiedząc z doświadczenia, że wtedy przestanie. Mój tata nie lubił, kiedy ludzie na niego patrzyli, jakby był złym rodzicem. Puścił mnie, a ja otworzyłam nieznacznie jedno oko, mając nadzieję, że się podda i pójdzie sobie. Pech. Zamiast tego ojciec kłęczał, jedną ręką zasłaniając oczy.

– PJ jest z mamą w szpitalu – powiedział cicho głosem dziwnie grubym i przytkanym. Nie podobał mi się jego dźwięk, więc spojrzałam na niego. – Upuściłaś go na głowę, Augie. Co ty sobie myślałaś? Wiesz, że beze mnie albo mamy nie wolno ci go podnosić. – Dobry żart,

pomyślała pięcioletnia ja. Nigdy nie widziałam, żeby tata trzymał PJ-a, tylko patrzył na niego, jakby był jedną z moich książek o dziwactwach z serii „Wierście lub Nie!” – Naprawdę, Augie, mówię poważnie. Mogłaś mu zrobić krzywdę. Masz szczęście, że nie umarł.

Serce pękało mi ze smutku i zmartwienia. Przecież wcale tego nie chciałam. Chciałam tylko zabrać PJ-a i siebie od tych wszystkich krzyków i wyzwisk

– Prześcieście się klócić – powiedziałam. – Prześcieście się klócić, a wróćcie do domu.

Tata wydał powietrze przez nos. Zabrzmiało to trochę jak śmiech, ale nie do końca. Wcale nie próbowałam być zabawna.

– W porządku, Augie – powiedział cichym, smutnym głosem. – Koniec z awanturami. Obiecuję. – Odkręciłam stopy z nóg ławki i dałam się zanieść do pikapa. PJ musiał spędzić noc w szpitalu na obserwacji i po prześwietleniu i tomografii wrócił do domu. Lekarz powiedział, że to tylko lekkie wstrząśnienie mózgu.

Tata dotrzymał obietnicy. Dwadzieścia minut po tym, jak mama wróciła ze szpitala z PJ-em, spakował się i wyszedł. Więcej się już nie klócili. A przynajmniej nie przy nas.

Minęło kilka lat i osiągnęliśmy etap, kiedy z mamą, a nawet tatą śmialiśmy się z tego, jak chciałam porwać PJ-a i jak niechcący upuściłam go na głowę. Nawet PJ uśmiechał się i kręcił głową, jakby pamiętał całe zajście. Ja pamiętałam jedynie, jak bez niczyjej pomocy niemal zabiłam swojego brata i zakończyłam małżeństwo rodziców.

– Co to jest płat czołowy? – PJ siedział na kanapie i opierał się o ramię dziadka, więc mówił szeptem, żeby go nie obudzić. Zdrajca – myślałam wtedy.

– To część głowy, na którą cię upuściłam – odpowiedział poważnie. – Prosto na ośrodek seryjnego mordercy.

– Zamknij się – powiedział PJ, ale w jego głosie słyszałam nutę zmartwienia.

– Pytasz, to mówię... – Wzruszyłam ramionami i wstałam. – Wybacz na chwilę, muszę iść schować pod łóżko młotek, żebym miała się czym bronić. Dobranoc, mały Dahmerze[1].

Zachowałam się paskudnie, wiem. PJ nigdy nie zrobiłby nikomu krzywdy i pewnie siedzi w klasie, myśląc, że umrze z uszkodzonym mózgiem seryjnego mordercy. Chcę się do niego dostać i mu powiedzieć, że z jego mózgiem jest wszystko w porządku i że naukowcy nigdy się do niego nie dobiórą.

Na szczycie schodów ciągnę Beth za rękaw.

– Posłuchaj – szepczę. – Co to? – Obie zamieramy i odwracamy głowy w stronę, z której dobiega odgłos: delikatny tupot stóp na schodach za naszymi plecami. Potrafię myśleć tylko o kałuży krwi, na której poślizgnęłam się niżej i już wyobrażam sobie, jak skrada się do nas jakiś szalowiec z nożem albo pistoletem.

– Uciekaj – krzyczę głośniejsz, niż miałam zamiar. Beth ciągnie mnie za sobą po korytarzu, ale na chwilę oglądam się przez ramię i widzę małą postać stojącą przy stopniach.

– Czekaj – mówię, zatrzymując się nagle i puszcżając dłoń Beth. Ostrożnie wracam korytarzem w stronę postaci. Mała dziewczynka. Pięć, może sześć lat. Ma długie blond włosy, w które wpięte są spinki z żółtymi kokardkami. Ma na sobie czarno-żółte legginsy i bluzę z napisem „To nie ja, to mój brat”.

– Nic ci nie jest? – pytam. Kiwa głową, ale ma taką minę, jakby za chwilę miała się rozplakać. Odwracam się do Beth po pomoc, ale ona gdzieś znikła.

– Gdzie jest twój nauczyciel? – pytam.

– Byłam w łazience i kiedy wróciłam do klasy, drzwi były zamknięte. – Po policzkach zaczynają spływać jej łzy i głośno lka.

– Cii – mówię. – Widziałaś tu kogoś?

Kręci głową i pociąga nosem.

– Wszystkie drzwi są zamknięte.

Nie wiem, co robić. Nie mogę jej tu zostawić samej, ale nie chcę jej ze sobą zabierać. Myślę o drzwiach u nasady schodów, które prowadzą na parking. Na zewnątrz będzie dużo bezpieczniejsza niż tu. Zastanawiam się, czy nie posłać jej na dół samej, zajęłoby jej to tylko kilka sekund. Wtedy przypomina mi się kałuża krwi i mogę sobie jedynie wyobrazić, co by zrobiła, gdyby w nią wdepnęła. Z powodzeniem skrzywiłabym na całe życie kolejne dziecko, a mam dopiero trzynaście lat.

– Chodź, wyprowadzę cię stąd. – Ma minę, jakby nie do końca mi wierzyła. – Jak masz na imię? – pytam.

– Faith – odpowiada, marszcząc nos na widok krwi na moich dłoniach i ubraniach.

– To nic takiego – mówię, jakby krew na ubraniach była czymś zupełnie normalnym, ale czuję, że zbiera mi się na wymioty i bardzo chcę się umyć. – Jestem Augie – mówię jej. Zastanawiam się, czy nie wrócić tam, skąd przyszedliśmy, po schodach na parter i do drzwi, które prowadzą na nauczycielski parking, ale myśl o rozmazanej krwi skutecznie mnie do tego zniechęca. – Chodźmy. – Biorę ją za rękę i razem biegniemy długim korytarzem, mijając zamknięte klasy, w stronę kolejnych schodów, które prowadzą na salę gimnastyczną, a stamtąd na zewnątrz. Gdy tak biegniemy, przez szyby w drzwiach widzę nauczycieli i uczniów zgromadzonych gdzieś w rogach klas, tak samo jak kazał nam zrobić pan Ellery. Jednak w jednej z sal sytuacja wygląda inaczej. Jednym szybkim spojrzeniem rzuconym przez ramię widzę, że w tej klasie dzieje się coś dziwnego. To klasa PJ-a. Zatrzymuję się i zerkam przez szybę. Zamiast kulic się razem w rogu, dzieci siedzą na swoich miejscach i patrzą prosto przed siebie, buzie mają przerażone. PJ siedzi w pierwszym rzędzie i wygląda na to, że nic mu nie jest. Chcę iść po niego i zabrać ze sobą jego i Faith. Z miejsca, w którym stoję, nie widzę, czy jego nauczycielka lub przestępca, kimkolwiek jest, znajduje się w środku. Myślę o Beth i zastanawiam się, gdzie poszła, mając nadzieję, że wy dostała się ze szkoły. Wpatruję się w PJ-a, starając się ściągnąć go myślami.

Czuję, jak Faith ciągnie mnie za rękę i spuszcza na nią wzrok

– Chodźmy – szepcze.

– Mój brat tam jest – mówię jej.

– Proszę, chcę iść do domu – mówi głośniej.

– Cii – mówię ostro, na co ona zaczyna płakać.

– Cicho, Faith, bo on cię usłyszy – odzywam się łagodniej i zaczynam ciągnąć ją za sobą po korytarzu.

Kiedy Faith i ja dobiegamy na koniec, brakuje mi tchu.

– Wszystko będzie dobrze, przepraszam – szepczę do Faith. – Nie jestem na ciebie zła.

Kiedy oglądam się za siebie i patrzę na salę PJ-a, widzę, jak drzwi powoli się otwierają i wylania się zza nich głowa pani Oliver, jego nauczycielki. Jej twarz nie zdradza, by nas zauważyła, ale wykonuje kilka ruchów dłońmi, jakby chciała nas odgonić od klasy. Wiem wtedy, że on tam jest. Jest z PJ-em. Ściskam dłoń Faith mocniej i razem, na paluszkach, schodzimy po

schodach. Najbliższe drzwi prowadzące na zewnątrz znajdują się po drugiej stronie sali gimnastycznej, w której jest ciemno i upiornie cicho.

– Nie chcę tam wchodzić – jęczy Faith, próbując mi się wyrwać.

Muszę się z nią zgodzić. Strasznie tu, ale skoro mężczyzna jest na górze, jest to teraz najbezpieczniejsza i najszybsza droga ucieczki.

– Nic się tu nie stanie, obiecuję – mówię. – Pobiegniemy do tamtych drzwi. – Światła na sali są wyłączone, ale widzę szare niebo i jasny śnieg za szklanymi drzwiami, które prowadzą na duży parking, gdzie wszyscy zostawiają swoje auta, gdy przyjeżdżają na mecze koszykówki i zajęcia pozalekcyjne. – Widzisz? – mówię. – Tam jest jaśniej niż tutaj. Na zewnątrz czekają na ciebie pewnie mama i tata. – Mam przynajmniej nadzieję, że tak jest. Ciekawe, czy moi rodzice mają jakiegokolwiek pojęcie o tym, co się dzieje. Znajdują się jednak setki kilometrów stąd i jestem przekonana, że ta sytuacja nie została pokazana w wiadomościach. Kto by się przejmował małym miasteczkiem w Iowa? Dziadek pewnie wie, co się dzieje i martwi się o PJ-a. Wiem, że go kocha. Mnie niekoniecznie. Nie żebym mu to ułatwiała.

Faith przygryza wargę i mówi:

– Boję się.

– Ja też – przyznaję. – Zamknijmy oczy i biegnijmy. – Faith bierze głęboki oddech, kiwa głową i mocno zaciska powieki. Robię to samo z wyjątkiem zamknięcia oczu i biegniemy, słysząc, jak nasze buty piszczą o drewniany parkiet. Kiedy dobiegamy do drzwi, widzę, że padają wielkie płaty śniegu, które PJ pewnie chciałby łapać do ust. Przez zasłonę śniegu widzę na końcu parkingu szereg policyjnych aut skierowanych w stronę szkoły i świecących na nią reflektorami. Ciemne postacie chodzą w tę i z powrotem, od czasu do czasu podskakując, jakby chciały się rozgrzać.

– O, tam. – Pokazuję w stronę radiowozów. – Biegnij w tamtą stronę. Ktoś ci tam pomoże znaleźć mamę i tatę.

– A ty nie idziesz? – pyta Faith, nadal trzymając mnie za rękę.

– Nie, muszę znaleźć mojego brata. Nic ci nie będzie. Tam są policjanci.

– Chodź ze mną. Proszę.

– Nie mogę. Muszę znaleźć mojego brata – tłumaczę. Faith ma niepewną minę. – Ale kiedy już stąd wyjdę, to cię znajdę – dorzucam.

Dziewczynka kręci głową i zaczyna płakać.

– Boję się. Oni wyglądają groźnie. – Wtula buzię w mój brzuch. Przez gęsto padający śnieg ledwie widzę ciemne kształty, ale rzeczywiście wyglądają groźnie. Jak kosmici.

– Okej – mówię w końcu. – Wyjdę z tobą, ale jak ty lko będziesz bezpieczna, wracam do środka.

– Faith myśli nad tym przez chwilę, po czym kiwa głową. Rozglądam się za czymś, czym mogłabym przyblokować drzwi, bo wiem, że kiedy się zamkną, już ich nie otworzę. W rogu widzę piłkę do kosza. Pewnie kiedy przez interkom ogłoszono alarm czerwony, jakaś grupa rozgrywała mecz. Ciekawe, gdzie teraz są, czy udało im się uciec, czy gdzieś się tu chowają. Biorę piłkę, otwieram drzwi i wychodzimy na zewnątrz. Na twarzy czuję uderzenie zimnego powietrza. Faith zaczyna się trząść, a nasze stopy zagłębiają się w około dziesięć centymetrów świeżego puchu. – Poczekaj chwilę – mówię do Faith, ostrożnie umieszczając piłkę na ziemi między drzwiami a framugą. Na końcu parkingu widzę trzy ciemne postaci, które na chwilę przystają, po czym robią kilka kroków w naszą stronę. Jedna z nich podnosi coś długiego i cienkiego. Strzelba. Wiatr

zawiewa mi włosy na twarz i boję się, że zatrzasknie drzwi, separując mnie od P.J-a. Unoszę dłonie w powietrze, żeby pokazać policjantom, że nie jestem uzbrojona.

– Hej! – krzyczę. – Jesteśmy tylko dziećmi! – Robimy ostrożne kroki do przodu. Policjant nie opuszcza lufy. – Jesteśmy tylko dziećmi! – krzyczę znów.

Jeden z funkcjonariuszy podchodzi do nas bliżej, trzymając dłoń na biodrze, a drugą wyciągając w naszą stronę.

– Trzymajcie ręce w górze – mówi głos. Głos kobiety. Faith znów chwyta mnie za rękę, więc unosimy je razem. – Powoli idźcie do przodu – mówi, więc robimy, co każe. Policjantka podchodzi bliżej i widzę, że to ta sama, która próbowała mnie nakłonić, żebym wyszła przez okno klasy.

– Jak się nazywasz? – pyta, przybliżając się do nas małymi krokami.

– Jestem Augie Baker, a to jest Faith... – Nagle zdaję sobie sprawę, że nie wiem, jak Faith ma na nazwisko.

– Garrity – szepcze.

– Garrity – odkrzykuję. – Faith Garrity.

– Jestem sierżant Barrett – mówi policjantka. – Pomogę wam, tylko powoli idźcie do przodu. Jesteście ranne?

– Nie, nic nam nie jest – mówię. Twarz mam zupełnie odrętwiałą od mrozu, a buty wypełnia mi śnieg. Policjant ze strzelbą w końcu opuszcza broń i mówi coś do krótkofalówki.

– Czy ktoś w środku jest ranny? Widzieliście napastnika?

– Nie widziałam go. Była kre... – zaczynam mówić jej o kałuży krwi, na której się poślizgnęłam, kiedy kątem oka widzę karetkę i kogoś w wielkiej parce z futrem wokół kaptura biegnącego w naszą stronę ze stertą koców.

– Co widziałas? – pyta funkcjonariuszka Barrett, a ja próbuję wyzwolić dłoń z uścisku Faith.

– Nic – mówię, robię krok w tył i spoglądam na drzwi do sali gimnastycznej, które nadal są podparte piłką do kosza.

– Chodźcie, musicie się rozgrzać – mówi policjantka, próbując objąć mnie ramieniem, ale robię unik i zaczynam biec z powrotem do szkoły, ślizgając się po śniegu.

– Co, do diabła? – krzyczy, próbując mnie złapać, ale zupełnie ją zaskoczyłam. Jeszcze kilka metrów i będę z powrotem w szkole.

[1] Dahmer – jeden z najsłynniejszych amerykańskich seryjnych morderców (przy p. red.).

HOLLY

Zawsze wiedziałam, że jestem trochę inna niż pozostałe dziewczyny z Broken Branch. Nie chcę przez to powiedzieć, że uważałam się za lepszą od nich. Jeśli już, to chciałam bardziej je przypominać. Dzielę je na trzy kategorie: dziewczyny, które chciały wyjść za mąż zaraz po maturze i zacząć rodzić dzieci, dziewczyny, które chciały wyjechać z Broken Branch na studia, by później wrócić tam na stałe, wyjść za mąż i zacząć rodzić dzieci, i mnie. Ja chciałam jedynie stamtąd wyjechać. Owszem, uciekłam z miejscowym chłopcem, ale oboje wiedzieliśmy, że nasz związek nie przetrwa. Jakbyśmy skakali ze skarpy do jeziora. Dużo łatwiej jest skoczyć, trzymając kogoś za rękę. Czuję się ekscytację, że jest się tak wysoko, że widzi się poszarpane skały, że wiesz, że możesz źle paść na wodę, jeśli prawidłowo się nie ustawisz. Problem polegał na tym, że ja nieustannie szukałam kogoś, z kim mogłabym skoczyć.

Nie wiem, czego tak bardzo mi brakowało, że musiałam tę pustkę wypełnić niemal każdym mężczyzną, który stanął mi na drodze. Lubię winić za to ojca, bo to takie proste. Nigdy nie czułam się z nim związana, zawsze miałam wrażenie, że farmę i moich braci kochał bardziej ode mnie. Ale jeśli mam być szczerą, nie mogę winić taty za konkretne aspekty mojej osobowości. Odkąd skończyłam trzynaście lat, wymykałam się z domu, żeby spotykać się z chłopcami, a czasem mężczyznami. Upajałam się tym, że co chwilę jestem z kimś innym, że całują mnie i dotykają na różne sposoby, że mnie pragną. Prawie jakbym skakała w przepaść.

Są pewne określenia na kobiety takie, jak ja. Wiem. Nie czuję się jednak jak ktoś, kto robiłby coś złego. Nie uważam, żebym była złym człowiekiem, po prostu lubię to uczucie, kiedy dotyka mnie mężczyzna. Dla mnie seks nigdy nie wiązał się z miłością, choć z pewnością byłam już kiedyś zakochana. Na przykład kiedy wychodziłam za Davida. Urodziła się nam Augie i przez pewien czas byliśmy szczęśliwi. Pięć lat. Nigdy nikomu nie byłam tak długo wierna. Ktoś mógłby pomyśleć, że nauczę się czegoś po urodzeniu córki, że będę się starać być dla niej dobrym przykładem. Nie byłam. Pamiętam, jak zostawiałam Augie i Davida w domu, a sama wychodziłam na miasto z koleżankami z Bang! – salonu, w którym pracowałam. Chodziłyśmy po knajpach, piłyśmy czekoladowe martini i nagle, nie wiem jak, lądowałam w toalecie, na zapleczu albo na tylnym siedzeniu samochodu z przypadkowym facetem. Wydawało mi się, że mogę jakoś się z tego wyzwolić, że pewnego dnia David będzie mi wystarczał. Ale tak się nie stało.

Mówię PJ-owi, że jego ojciec jest żołnierzem marines, dobrym i życzliwym człowiekiem, który pojechał na wojnę. Lubi słuchać tej historii. Nie mam serca powiedzieć mu, że o jego ojcostwo podejrzewam trzech mężczyzn. Księgowego z Phoenix, którego poznałam na weselu,

studenta z Ohio, który przyjechał do Arizony na międzysemestralne wakacje, albo krupiera, który pracował w kasynie przy stole do crapsa. Mówiłam, że istnieją odpowiednie nazwy na kobiety takie, jak ja. Spoglądałam na moją oklejaną opatrunkami skórę i szpakowate włosy, które zaczynają odrastać, i zastanawiam się, czy jakiś mężczyzna będzie mnie jeszcze kiedyś pragnął.

Nie chciałybym tego samego dla Augie. Ale ona jest zupełnie inna ode mnie. Jest zdeterminowana i twarda, ale i zadowolona z siebie. Ja chyba nigdy taka nie byłam.

Chciałybym zapytać o to mamę. Chcę się od niej dowiedzieć, jak to jest być żoną tego samego faceta od pięćdziesięciu lat. Nie chodzi mi o seks. O nie. Chodzi mi o codzienne życie. Tych rzeczy właśnie chcę się dowiedzieć. Mama wyszła jednak porozmawiać z kimś o moim ubezpieczeniu i choć zaraz wróci, zdaję sobie sprawę, że za nią tęsknię. Że tęskniłam za nią przez ostatnie piętnaście lat.

MEG

Niewiarygodne. Najpierw dziewczyna wbiega do budynku. Następnie kopie w piłkę, która przytrzymuje drzwi i zamyka się w szkole, a mnie pozostawia na zewnątrz. Kim ona, do cholery, jest? Zaczynam nawet myśleć, że ma coś wspólnego z całym zajściem. Czy to możliwe, żeby trzynastolatka była w znowiu z przestępcą? Walę w drzwi sali gimnastycznej, krzycząc do niej, żeby otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz.

– Muszę pójść po mojego brata – mówi mi przez szklane drzwi. – Przepraszam.

– A niech to – mówię i odwracam się za siebie, gdzie zebrało się jeszcze kilku funkcjonariuszy. Faith zniknęła w tłumie. – Otwieraj, Augie – mówię na tyle głośno, żeby usłyszała mnie przez drzwi. – Pomogę ci znaleźć brata.

Kręci głową na nie.

– Nie mogę. Przepraszam – odpowiada i odwraca się do mnie plecami.

– Augie, proszę – próbuję przemówić jej do rozsądku mniej surowym tonem. – Otwórz drzwi. Zabiorę cię w bezpieczne miejsce. Naprawdę uważasz, że będziesz w stanie przechytrzyć przestępcę? Wiesz, gdzie on się znajduje?

Zaczyna się ode mnie oddalać i próbuje powstrzymać łzy. Mówi coś, ale nie rozumiem co – szklane drzwi tłumią słowa.

– Natychmiast wychodź! – krzyczę.

Nie odwraca się, ale szybko znika z mojego pola widzenia. Przez chwilę poważnie zastanawiam się, czy nie przestrzelić drzwi i wkroczyć do budynku, ale zamiast tego podnoszę piłkę i rzucał ją najmocniej, jak umiem.

Byłam tak blisko, ale ją wystraszyłam. To zawsze było dla mnie największym wyzwaniem w pracy policjantki – równowagę delikatności i stanowczości. Bardzo wcześnie w mojej karierze nauczyłam się, że muszę być twarda i nie okazywać żadnych słabości. Zdążyłam się już nasłuchać żartów o kobietach na służbie od niewielkiej, ale uwielbiającej wyrażać swoje zdanie grupy kadetów-dupków, kiedy byłam w akademii policyjnej. Obiecałam sobie wtedy, że nie dam nigdy nikomu sobą pomiatać. I całkiem nieźle mi to szło. Zakwałam w kajdanki brutalnych, bezzębnych narkomanów, stałam oko w oko z uzbrojonymi kłusownikami, a nawet skończyłam kiedyś ze złamanym nosem i dwudziestoma sześcioro rękami na ręce po tym, jak zostałam dźgnięta nożem, kiedy próbowałam przerwać pijacką bójkę w barze. Tak ciężko pracowałam nad tym, by uchodzić za twardą, że czasem zapominam, że są sytuacje, kiedy jako policjantka muszę podejść do sprawy trochę delikatniej. Teraz ta dziewczynka, być może jedyna osoba, która jest

w stanie nam powiedzieć, co się dzieje w szkole, zniknęła, i to ja pozwoliłam jej uciec. Zawiodłam ją tak samo jak Jamie Crosby.

„Własnymi słowami” – głosił nagłówek „Domniemana ofiara gwałtu opowiada Stuartowi Moore’owi o przerażającym spotkaniu z mężem kandydatki na gubernatora”. Aż mnie zmroziło.

Tego wieczoru, kiedy zostałam wezwana do domu Crosbych, po godzinie błagań w końcu udało mi się przekonać Jamie, żeby zgłosiła się do centrum przemocy wobec kobiet w Waterloo – Jamie uparła się, że nie pojedzie do miejscowego szpitala – gdzie zbadano ją i zebrano materiał dowodowy. Dopiero trzy dni później wyznała, kim był napastnik Matthew Merritt, mąż kandydatki na gubernatora, Greta Merritt. Jamie spanikowała. Była przekonana, że nikt jej nie uwierzy, że popularny i lubiany przyszły pierwszy mąż stanu Iowa byłby w stanie obezwładnić i zgwałcić zwyczajną, nieco pulchną, dwudziestoletnią nianię w domu swojej pięknej żony, podczas gdy ta prowadziła kampanię w różnych miastach stanu. Serce mi pękało. Wiedziałam, że nie były to jej słowa, a groźby Matthew Merritta, jakimi zatruł dziewczynę po fakcie. Obiecałam Jamie, że jej tożsamość nie zostanie upubliczniona i że dowody, jakie zgromadziła pielęgniarka – wymazy, materiał spod paznokci, zdjęcia jej sińców – to wszystko, co będzie nam potrzebne.

Stuart w jakiś sposób dotarł do Jamie. Jakoś się dowiedział, że to ona jest ofiarą gwałtu. Wszyscy w stanie, nie, wszyscy w środkowo-zachodniej części kraju, dowiedzieli się, że przeciw Matthew Merrittowi prowadzi się dochodzenie o napaść na tle seksualnym, ale nie podano do wiadomości publicznej, kto jest jego ofiarą. Stuart jakoś do tego doszedł, a mogło się to stać tylko dzięki kontaktowi ze mną. A teraz ma wystarczający tupet, by próbować wyciągnąć ode mnie komentarz do swojego kolejnego wielkiego reportażu. Nie ma na to szans.

PANI OLIVER

– Hej, wracaj tu, do cholery! – warknął mężczyzna na panią Oliver, która została chwilę dłużej w korytarzu, kiedy wszystkie dzieci wróciły z łazienki i zajęły swoje miejsca. Zobaczyła dwie dziewczynki – jedna miała kilkanaście lat, druga była dużo młodsza – skradające się po korytarzu i z zapalem zaczęła je odganiać, zanim zamknęła drzwi. Miała nadzieję, że szybko się gdzieś schowają. Mężczyzna robił się coraz bardziej nerwowy, jak schwytyany ptak, który w panice lata od ściany do ściany. Coraz bardziej nieprzewidywalnie stuknął pistoletem o nogę. Pani Oliver miała nadzieję, że broń jest zabezpieczona. Wróciła na swoje miejsce na przodzie sali, w pełni świadoma, że im bardziej zirytowany będzie mężczyzna, tym większe prawdopodobieństwo, że stanie się coś złego.

Zbliżała się czternasta. Nie na tyle późno, by Cal zaczął się martwić o to, gdzie jest jego żona. Pewnie nawet nie pamiętał, że dziś Evelyn kończy wcześniej. Poza tym pani Oliver często spędzała dodatkowych kilka godzin po zajęciach na pisaniu planów lekcyjnych, sprawdzaniu klasówek, przygotowywaniu szkolnych gablot. Pewnie zastanawia się, czy czekać, czy też nie i zjeść gulasz wołowy, który cały dzień szykował się w wolnowarze. Pewnie już głodnieje, ale nigdy nie lubił jeść sam. Nie, pewnie skręci temperaturę i odkroi sobie kawałek cheddara, żeby przetrzymać do powrotu żony.

To musiało być zrządzenie opatrności, że czterdzieści sześć lat temu pani Ford zaprosiła Cala na kawałek wilgotnego bananowego ciasta ledwie wyciągniętego z piekarnika oraz szkanek zimnej lemoniady. Razem z panią Ford usiedli w słonecznej kuchni i jedli małe kęsy aromatycznego ciasta, popijając lemoniadą. Cal słuchał z uwagą, podczas gdy pani Ford ciurkiem opowiadała litanie historii o George`u. Evelyn pomyślała, że nie do zniesienia dla Cala będzie słuchanie o tym, jak George przechodził szkarlatynę i jak sądzili, że jej nie przeżyje, albo jak ukończył szkołę średnią z wyróżnieniem. Słuchając tych opowieści, Evelyn czuła ból w sercu, ale zauważyła też, że nie jest tak straszny jak zwykle. Słuchanie, jak pani Ford opowiada o George`u komuś innemu było całkiem przyjemne. Cal wydawał się być szczerze zainteresowany i zadawał pytania we wszy stkich właściwych momentach.

Pani Ford zzywała Cala do naprawy pralki jeszcze trzy razy w ciągu kolejnych dwóch miesięcy. Za każdym razem Evelyn dołączała do niego w piwnicy i podawała mu narzędzia, jednocześnie rozmawiając o polityce i książkach. Potem pani Ford wołała do nich z góry, że właśnie wyciągnęła ciasteczka z piekarnika i powinni przyjść, póki jeszcze są ciepłe, więc cała trójka siadała razem przy stole. Pani Ford wspominała George`a i pod koniec każdej wizyty jej

oblicze robiło się trochę bardziej pogodne.

Pewnego mroźnego, zimowego popołudnia, kilka tygodni po tym, jak Cal stwierdził zgon pralki i przyznał, że kolejne próby jej naprawy odchudziłyby jedynie portfel pani Ford, a on nie mógłby naciągać jej w ten sposób ze spokojnym sumieniem, pani Ford zaprosiła Cala na obiad. Evelyn wróciła do domu autobusem po całym dniu spędzonym w college'u na zapisywaniu się na zajęcia. Wykorzystała pieniądze z polisy na życie George'a, by opłacić czesne. Chciała oddać te pieniądze Fordom. W końcu mieli do syna większe prawo niż ona. Odmówili jednak, twierdząc, że George chciałby, żeby poszła na studia. Straciła już semestr w stosunku do innych studentów, bo zrezygnowała z nauki, kiedy dowiedziała się o śmierci męża, ale była zdeterminowana ukończyć studia pedagogiczne razem ze swoim rocznikiem. Padała z nóg, kiedy przedarła się przez śnieg z przystanku do domu Fordów. Choć jej ciąża nie była jeszcze widoczna, czuła, jak dziecko wysysa z niej siły. Pragnęła jedynie ściągnąć kalosze i zimowy płaszcz, a potem położyć się do łóżka.

Fordowie wybuchnęli łzami wdzięczności na wieść, że Evelyn urodzi dziecko George'a. Może nawet syna, który nosiłby imię ojca. Wnuk może nie zastąpi im syna, ale będą mogli przerzucić na niego swoją miłość.

Choć Evelyn nie była zła z powodu wizyty Cala, którego pogodna, skromna osoba zawsze wydawała się przynosić jej ulgę, z zaskoczeniem zastała go w salonie, ubranego w eleganckie spodnie i białą koszulę zamiast szarego uniformu, na którym wyhaftowano jego imię czerwoną nitką.

Cal wstał, kiedy weszła do salonu. Wyglądał tak niezręcznie, jak ona się czuła, jakby zaczęła docierać do nich świadomość, że pojawienie się w domu Fordów po pracy naruszało jakąś etykietę konserwatorów pralek. To był dziwny obiad, mimo że pani Ford i Cal starali się podtrzymać rozmowę. Evelyn nie wiedziała, co sobie myśleli Fordowie, zapraszając Cala na obiad, a pan Ford był tak skonfundowany, że co rusz zerkał na Evelyn, jakby prosił o wyjaśnienie. Choć rozmowa toczyła się miło, Evelyn była tak wyczerpana, że ledwie utrzymywała powieki otwarte. Próbowwała się uśmiechać w odpowiednich momentach, ale w połowie strogonowa, kiedy jej widelec za szczęciem padł na podłogę, musiała odejść od stołu.

– Przepraszam – powiedziała i wstała gwałtownie. – Nie najlepiej się czuję. Nie gniewajcie się. – Wyszła z pokoju i usiadła na łóżku ze zdjęciem George'a, śledząc palcem kontury jego twarzy, aż usłyszała delikatne pukanie do drzwi sypialni. Myśląc, że to pani Ford, niechętnie wstała i zaczęła się zastanawiać, jak ją przeprosić. Kiedy otworzyła drzwi, zobaczyła Cala z kawałkiem szarlotki na talerzu i widelcem w dłoni.

– Proszę – powiedział, podając jej ciasto. – Pomyślałem, że może zechcesz zjeść kawałek – Wzięła od niego talerz i wpuściła go do środka. Dziwnie było gościć w pokoju mężczyzny, który nie był George'em.

– Fordowie wiedzą, że tu jesteś? – zapytała, zerkając za próg.

– To pani Ford kazała mi zanieść ci ciasto. Nic ci nie jest, Evelyn? – zapytał, z troską mrucząc oczy.

– Jestem po prostu zmęczona – odpowiedziała.

Cal włożył ręce do kieszeni i ściszył głos.

– Nie chcę robić ci przykrości moją obecnością – powiedział z wahaniem. – Myślałem, że wiesz. Że może to twój pomysł.

– Mój pomysł? – oburzyła się nagle. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– Nie wiem – odparł Cal, wzruszając ramionami. – Pomyślałem, że może lubisz moje towarzystwo.

– Lubię, ale... to nie jest najlepsza pora – szepnęła, mając nadzieję, że pani Ford nie podsłuchuje za rogiem. Evelyn rozejrzała się po pokoju, który dzieliła z George'em. – Mieszkam w domu rodziców mojego zmarłego męża. – Po policzkach zaczęły spływać jej łzy, które wytarła ze złością. – Jestem w niemal szóstym miesiącu ciąży z ich wnukiem, a teraz próbują mnie wyswatać z majstrem pralek – Widząc jego urażoną minę, westchnęła. – Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Chodzi tylko o to, że to nie tak miało być.

Cal usiadł obok niej na łóżku, zachowując między nimi stosowną odległość.

– A może właśnie miało.

Pani Oliver przełknęła łzy na to wspomnienie, położyła dłoń na piersi i wydała z siebie ciche stęknienie. Napastnik, który opierał się o ścianę, wyprostował się i szybko do niej podszedł.

– Co jest? – zapytał. – Co się dzieje?

– Moje lekarstwo – ochryplym głosem wydusiła z siebie pani Oliver, czując, że za chwilę uczniowie znów zaczną płakać. – Potrzebuję mojego lekarstwa. – Pokazała na biurko trzęsącym się palcem. – W mojej torebce. O, tam.

WILL

Will patrzył, jak każde z dzieci odnajduje kogoś ze swojej rodziny. Przeciągle uściski, lzy, ulga. Wraz z Verną spojrzeli na siebie z niedowierzaniem. Gdzie były ich wnuki? Przez siedemdziesiąt przeżytych lat nigdy nie czuł się tak bezradny, jak w ciągu ostatnich ośmiu tygodni. Razem z Marlys przetrwali susze i powodzie, biedę. Nawet ich problemy z Holly, kiedy była nastolatką, bladły w porównaniu do jej wypadku, a teraz tego.

Rano PJ pytał Willa, czy mógłby zostać w domu, żeby pomóc przy cielnych krowach.

– Proszę, dziadku. To ostatni dzień przed wiosenną przerwą. Nic się nie stanie, jeśli raz nie pójdę.

Nawet Augie przyłączyła się do błagań PJ-a.

– Powinieneś pozwolić nam zostać w domu. PJ więcej nauczy się od ciebie, niż cały dzień siedząc w głupiej szkole. – Była to najbliższa komplementowi uwaga pod adresem Willa, jaka kiedykolwiek wydobyla się z ust Augie. – Też mogłabym zostać – ciągnęła. – Mogłabym pomóc nas spakować na podróż.

– Idziecie do szkoły. Będzie jeszcze mnóstwo czasu, żeby patrzeć, jak rodzą się cielaki, i żeby się pakować. – Gdyby tylko raz dał się przekonać i pozwolił dzieciom zostać w domu. Ale nie, musiał rządzić, musiał pokazać, kto jest szefem.

Pokręcił głową z politowaniem nad własnym uporem. Will czuł pod palcami telefon, który miał w kieszeni. Czas zadzwonić do żony i córki. Nie wiedział tylko jak im powiedzieć, że istnieje możliwość, iż następnego dnia Augie i PJ nie wsiądą do samolotu lecącego do Arizony.

AUGIE

Ciekawe, czy mnie aresztują za lekceważenie władzy, stawianie oporu czy jak to się tam nazywa.

Chciałam wierzyć sierżant Barrett, ale pomyślałam, że jeśli z nią pójdę, to po prostu przekaże mnie dziadkowi, który będzie rozczarowany, że nie zatroszczyłam się o PJ-a. Ubrania mam mokre po ucieczce policjantce i gdy idę po parkiecie sali, chlupocze mi w butach. Zrzucam je, bo muszę być cicho, gdy będę próbować dostać się do klasy PJ-a. Nagle walenie w drzwi ustaje i kiedy odwracam się za siebie, widzę, że policjantka sobie poszła. I dobrze, myślę sobie. Może zajmie się czymś innym i o mnie zapomni. Żałuję, że powiedziałam jej, jak mam na imię. Głupio zrobiłam. Umieram z zimna w mokrych ubraniach i nie mogę przestać szczerkać zębami. Widzę bluzę leżącą na trybunach i ściągam mokry i brudny od krwi T-shirt. To nie kradzież, oddam bluzę, gdy będzie już po wszystkim. Jeśli jej nie wezmę, mogę dostać hipotermii czy coś. Spodnie nadal mam mokre, ale bluza jest lepsza niż nic.

Siadam na trybunach – tylko na chwilę, obiecuję sobie w duchu. Muszę złapać oddech i obmyślić jakiś plan, zanim pójdę znów po schodach do klasy PJ-a. Nienawidzę teraz Broken Branch, nienawidzę Iowa. Jak to możliwe, że kiedykolwiek uważałam stan Iowa za ładny? Tęsknię za Arizoną i Revelation. Mam to gdzieś, że tam nigdy więcej nie zobaczę śniegu. Chcę stanąć w słońcu i poczuć na twarzy ciepłe promienie i to, jak rozgrzany cement parzy mi stopy. Zamykam oczy i wyobrażam sobie niebieskie niebo i pomarańczowo-czerwone zachody słońca wraz z ich wszystkimi odcieniami, których nazw nie znam, drzewa Jozuego i kolczaste juki. Tęsknię za tatą, mimo że go nienawidzę. PJ i ja nie bylibyśmy teraz w kłopotach, gdyby pozwolił nam z nim zostać. Trudno się pogodzić z myślą, że twój ojciec jest egoistą i na dodatek mężem kobiety, której w ogóle nie obchodzisz.

Myślę o mamie i czuję ból w piersi, tak za nią tęsknię. Odkład mój tata oszczędł, zawsze wiedziałam, że to na mamie będę mogła polegać. Czasem mama robi głupie rzeczy. Nie najlepiej radzi sobie z pieniędzmi i czasem kończy się na tym, że przez tydzień, aż do kolejnej wypłaty, jemy makaron z serem i zupki chińskie, bo musiała kupić nową bluzkę dla siebie lub jakąś grę komputerową, w którą grają wszyscy koledzy PJ-a. Mnie też kupowała różne rzeczy. Nowe kolczyki albo modne buty. Nigdy jednak tak naprawdę nie cieszyłam się z tych rzeczy. Mama była za to świetna – jest świetna – w jednym: doskonale wyczuwa, kiedy jest mi źle. Wie też, kiedy spróbować mnie nakłonić do rozmowy, a kiedy dać mi spokój. Mamy moich koleżanek nie mają o tym pojęcia. Głędzą i naciskają, aż dziewczynom chce się wyć. Choć rozmawiam

z mamą co wieczór i ona opowiada mi bez końca o tym, co dzieje się w Arizonie, jak idzie jej rehabilitacja i jak babcia potrafi ją zdenerwować, choć jest naprawdę wspaniała, wciąż czuję, że między nami już nic nie będzie takie samo.

Ma wszelkie powody, by mnie nienawidzić, ale na koniec każdego telefonu powtarza to samo. „Kocham cię, Augie”. Wyobrażam sobie, jak trzyma telefon w pokrytych bliznami dłoniach, które kiedyś były takie piękne. Przypominam sobie, jak przyglądałam się jej, gdy piłowała sobie paznokcie na idealnie owalny kształt, i staram się ukryć moje szorstkie, obgryzione palce za plecami. „Kocham cię, Augie” – powtarza mama. Nie potrafię jej tego powiedzieć, chcę, ale słowa grzęzną mi w gardle. „Do usłyszenia, mamó” – odpowiadam i szybko oddaję słuchawkę PJ-owi albo dziadkowi.

Potem wybiegam z domu, strasznie mocno popychając drzwi, bo wiem, że dziadek nie znosi, kiedy siatkowy ekran zamyka się z trzaskiem. Chowam się w stodole, gdzie mogę szeptać „też cię kocham, mamó”, bo słyszą mnie tylko krowy o wielkich, smutnych oczach.

Zmuszam się, żeby wstać. Nie mogę tu siedzieć i rozmyślać o tym, że chcę się zagrzać i wrócić do Revelation. Muszę zabrać stąd PJ-a, powiedzieć mu, że nie jest seryjnym mordercą, i, miejmy nadzieję, wydostać się z tej szkoły. A później, jutro, wsiądziemy do samolotu do Revelation i więcej tu nie wrócimy.

MEG

Wracam w stronę kampera i karettek, pytając po drodze, gdzie jest mała Faith Garrity. Siedzi na tyle karetki, gdzie sprawdza ją ratownik medyczny.

– Jak się masz, Faith?

– Okej – odpowiada nieśmiało.

– Nic jej nie jest – zapewnia mnie ratownik – Przy najbliższej okazji można ją przewieźć do kawiarni.

– To co, Faith? Gotowa zobaczyć się z mamą i tatą?

Faith potakuje i ratownik delikatnie wyciąga ją z karetki i stawia na ziemi.

– Jechałaś kiedyś prawdziwym radiowozem? – pytam, a Faith kręci głową na nie. – No to masz dziś szczęście – mówię, wyciągając do niej rękę, na co dziewczynka odpowiada niepewnym uśmiechem.

– Gdzie jest Augie? – pyta Faith, kiedy kończę zapinać jej pasy na tylnym siedzeniu radiowozu.

– Augie chciała sprawdzić, co z jej braciszkiem, ale kiedy się z nią zobaczę, powiem, że o nią pytałaś. – Aż mnie skręca, żeby zadać Faith kilka pytań o to, co się stało w szkole, choć wiem, że powinnam zaczekać, aż przekażę ją rodzicom i dostanę ich pozwolenie na rozmowę.

Ledwie ruszamy z parkingu, kiedy Faith zaczyna mówić zupełnie nieprzytomnie.

– Założę się, że wróciła pod klasę pani Oliver.

Natychmiast robię się czujna.

– Tak? – Staram się, żeby mój głos brzmiał lekko, swobodnie.

– Uczy trzecią klasę. Jest strasznie stara, ale wygląda na miłą.

– Mhm – mruczę, licząc, że powie coś jeszcze.

– Jej brat jest w klasie pani Oliver. Mówiła, że chce po niego pójść.

– Faith – mówię – widziałaś w szkole kogoś dziwnego? Może jakiegoś obcego mężczyznę?

Dziewczynka na chwilę milknie. Zatrzymuję się przed kawiarnią, w której bez wątpienia czekają jej rodzice. Wiem, że z chwilą, kiedy przejdzie przez te drzwi, stracę mojego świadka. Przez jasno oświetlone okna widzę stoliki pełne rodziców o zamartwionych twarzach. Zostało mi tylko kilka minut. Wyłączam silnik i odwracam się do dziewczynki.

– Faith, widziałaś coś, co mogłoby pomóc Augie?

Faith nerwowo rozgląda się po samochodzie.

– Nie martw się – mówię. – Nikt cię tu nie słyszy prócz mnie.

Niektórzy rodzice w kawiarni zauważyli stojący na zewnątrz radiowóz i podchodzą do okien, przykładając do nich złożone dłonie i przyciskając twarze do szyby, żeby lepiej widzieć. Z kawiarni dobiega mnie krzyk. Zostałyśmy zauważone.

– Widziałam go – szepcze, odgarniając z oczu mokre od śniegu włosy. – Wychodziłam z łazienki i go widziałam.

Drzwi kawiarni otwierają się i na parking wychodzi jakaś para. Śnieg poniesiony podmuchem wiatru wiruje im wokół kolan.

– Co widziałas? – pytam, próbując ukryć pośpiech w moim głosie.

Jakaś para, najpewniej rodzice Faith idą w stronę radiowozu, trzymając się siebie kurczowo, gdy stąpają po oblodzonym parkingu.

– Miał pistolet. – Jej brązowe oczy robią się szerokie. – Trzymał go tak – Mierzy do mnie z palca wskazującego, unosząc kciuk ku górze. – A potem upuścił telefony.

Są prawie przy samochodzie. Faith jeszcze ich nie widzi.

– Telefony? – pytam zaskoczona. – Miał więcej niż jeden?

Pokiwała głową i rozczapierzyła palce.

– Miał ich z pięć.

– Pięć telefonów? – pytam, żeby się upewnić. Faith potakuje. – Jeszcze coś, Faith? Było coś szczególnego w jego wyglądzie, co zapamiętałaś? Widziałas go wcześniej? – Bardzo się staram, żeby mój głos brzmiał neutralnie.

Nie chcę jej spłoszyć. Dziewczynka zastanawia się przez chwilę i jeszcze raz kiwa głową.

– Znasz go?

Kręci głową na nie.

– Widziałas go wcześniej, ale nie wiesz, kim jest? – Znow potakuje. Faith w końcu zauważa kobietę i mężczyznę przez szybę auta i próbuje rozpiąć pas. – Zastanów się, Faith – nalegam. – Gdzie go wcześniej widziałas?

Faith wrywa się do szyby.

– Mamo, tato! – woła i w jednej chwili są przy nas.

Faith ciągnie za uchwyt w drzwiach, ale nic się nie dzieje. Szarpie nim niecierpliwie i patrzy na mnie, licząc na pomoc.

Zwalniam zamek i ojciec Faith szeroko otwiera drzwi, a dziewczynka rzuca się mu w objęcia. Kobieta obejmuje ją i swojego męża i przez chwilę cała trójka lekko się kołysze, podczas gdy ja stoję obok i czekam na odpowiedni moment, by przerwać ich szczęśliwe spotkanie.

– Państwo Garrity – odzywam się w końcu, wiedząc, że każda upływająca minuta może oznaczać życie jednego z uczniów lub nauczycieli pozostałych w budynku. Małżeństwo spogląda na mnie oczami mokrymi od łez – Nazywam się sierżant Barrett. Chciałabym prosić o pozwolenie na zadanie Faith kilku pytań.

Pan Garrity przytula córkę mocniej, a jego oczy zwięzają się nieufnie.

– Raczej nie – mówi kobieta, gładząc dziewczynkę po włosach. – Dziękujemy, że ją nam pani przywiozła. – Jej głos łamie się od emocji. – Chcemy po prostu jechać z nią do domu.

– Rozumiem – mówię. – Moja córka chodzi do trzeciej klasy w tej szkole. – Spuszczają głowy ze współczuciem, myśląc, że Maria znajduje się w środku. Nie wyprawdzam ich z błędu. – Faith jest świadkiem. To, co powie, może pomóc wielu dzieciom.

Pan Garrity kręci głową.

– Jutro. Może z nią pani porozmawiać jutro. Dziś musi się wypaść. – Faith kładzie głowę na ramieniu taty, jej powieki są ciężkie ze zmęczenia.

– To zajmie tylko minutę, obiecuję.

Pan i pani Garrity szybko wymieniają spojrzenie i przez sekundę myślę, że pozwolą mi porozmawiać z Faith.

– Przykro mi, nie – mówi pan Garrity ze stanowczością, z którą nie mogę dyskutować. – Jutro, jeśli nie będzie zbyt rozrzuśniona.

Kiwam głową, nie potrafiąc ukryć rozczarowania, które maluje się na mojej twarzy.

– Dobrze, w takim razie jutro. – Spoglądam na Faith. – Miło mi było cię poznać. Bardzo odważna z ciebie dziewczynka.

– Mnie też – odpowiada, mrugając powiekami.

– Zadzwońcie proszę na policję, jeśli Faith powie wam coś, co może okazać się pomocne. Poproście sierżanta Barrett i ktoś was ze mną połączy.

– Ona ma pięć lat – mówi pani Garrity potulnym tonem.

– Rozumiem. Dobrej nocy – mówię, i to naprawdę szczerze. Spoglądam w górę na zaśniewane niebo i płatki śniegu, które kręcą się jak szalone, przez co zataczam się na pięty. Podpieram się dłonią o samochód, żeby złapać równowagę, i w głowie przetwarzam informacje, które udało mi się wyciągnąć z Faith: pistolet, liczne telefony, to, że widziała go wcześniej. To niewiele, ale zawsze coś. Przez chwilę patrzę, jak rodzina Faith idzie przez parking przytulona, wyglądając jak jedno ciało. Myślę o mojej rodzinie, która kiedyś wyglądała tak jak rodzina Garrity. W mgnieniu oka wszystko się rozpadło.

Ale przynajmniej jedno po drugim dzieci wracały do swoich rodzin. Musiałam wracać do szkoły. Ale najpierw zamienię słowo z Willem Thwaite'em i dowiem się, o co chodzi z jego wnuczką.

PANI OLIVER

Kiedy pani Oliver miała czas na telewizję, wołała oglądać seriale medyczne i starała się sobie przypomnieć, jak w telewizji wyglądają ofiary zawału. Zawsze chwytają się za lewe ramię. Czy może za prawe? Zaczęła dyszeć, jedną rękę wyciągając przed siebie, a drugą chwytając się za lewe ramię, a potem za prawe, tak na wszelki wypadek.

– Moje lekarstwo – sapnęła. Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego. Może nie jest takim potworem – pomyślała pani Oliver. Rozejrzał się spanikowanym wzrokiem po twarzach przestraszonych dzieci, z których kilkoro zaczęło głośno płakać na widok cierpiącej nauczycielki, po czym znów popatrzył na panią Oliver. Widząc irytację na jego twarzy, pani Oliver zdała sobie sprawę, że ten człowiek ma ją kompletnie w nosie. Bał się jedynie, że umrze i zostawi go z grupą rozhisteryzowanych trzecioklasistów. Pomyślała, że gdyby umarła, należałoby mu się to. Nie mogła jednak tego zrobić. Uczniowie jej potrzebowali. Próbowwała telepatycznie przekazać im, że tylko udaje, ale nie przynosiło to żadnych rezultatów. Julia głośno zawodziła, rozdziawiwszy usta, a biedny Colin po prostu siedział z mocno zacisniętymi powiekami i się trząsł. Tylko PJ wydawał się przyglądać jej z zaciekawieniem, ale nie strachem.

– Proszę, moja torebka – wydusiła z siebie. – W moim biurku. – Mężczyzna zawahał się przez chwilę, po czym zwrócił się do PJ-a.

– Przynieś torebkę – nakazał. PJ wstał i szybko podbiegł do biurka.

Sprawdził kilka szuflad, aż w końcu z triumfalną miną podniósł do góry skórzaną torbę.

– Mam – powiedział.

– Wyciągnij lekarstwo i podaj je tu.

Pani Oliver głośno jęknęła i zsunęła się z krzesła na podłogę, licząc, że udało jej się paść na brzuch w sposób realistyczny, ale z klasą.

Mężczyzna ukląkł przy niej.

– No już – warknął nerwowo. – Przynieś to lekarstwo. – PJ przeszukiwał czarną torbę, aż znalazł fiolkę tabletek. Rzucił ją do mężczyzny i opakowanie upadło do brzękiem na podłogę. Intruz i pani Oliver naraz wyciągnęli po nią rękę.

– Mam – powiedziała pani Oliver tonem zbyt dziarskim jak na cierpiącą kobietę.

– Hej, co tam się dzieje? – Ze schowka rozległ się stłumiony głos Lucy, która zaczęła walić pięściami w drzwi. – Wypuście mnie stąd!

– Cicho! – wrzasnął mężczyzna. Pani Oliver przekręciła nakrętkę i wysypała z fiolki na dłoń dwie pastylki, po czym włożyła je do ust.

– Daj mi chwilę – powiedziała, leżąc wyczerpana na podłodze, podczas gdy gorzki smak leku na artretyzm wypełniał jej usta. Była świadoma, że wszelkie odgłosy umilkły. Dzieci przestały płakać, Lucy przestała walić w drzwi. Wszyscy czekali na to, co stanie się dalej.

AUGIE

Idę na palcach przez salę gimnastyczną, zastanawiając się, co się stało z Beth. Może chowa się w jakimś kącie, jak ja, starając się zebrać na odwagę, by wrócić do klasy. Tylko że ona chce się dowiedzieć, czy w klasie jej siostry i PJ-a jest jej tata z pistoletem. Przez chwilę wyobrażam sobie, jak by to było mieć ojca, który zrobiłby wszystko, żeby móc widywać się ze swoimi dziećmi i spędzać z nimi czas. Mój tata wolałby raczej zrezygnować ze spędzania czasu ze mną, jeśli mógłby w ten sposób uniknąć spędzania czasu z supermiłym dzieckiem takim jak PJ. A najsmutniejsze jest to, że w jego obecności PJ zachowuje się jak jakiś zbłąkany piesek, który błaga o choć odrobinę uwagi. PJ niczego nie pragnie tak bardzo, jak mieć tatę. Może mój ojciec nie jest uzbrojonym psychopatą, ale z pewnością jest kretynem.

Dochodzę do drzwi sali gimnastycznej, które prowadzą na szkolny korytarz, i po raz pierwszy zdaję sobie sprawę, jak bardzo chce mi się pić. Nachylam się nad kranikiem z wodą i długo piję. Woda jest letnia i ma posmak rdzy, ale i tak mi smakuje. Wchodzę na korytarz i na palcach ruszam do schodów. Jeśli pójdę na górę, znajdę się w holu PJ-a. Jeśli skręcę w prawo, a potem w lewo, znajdę się w skrzydle nauczania początkowego, tam gdzie uczą się zerówkowicze i dzieciaki z pierwszej i drugiej klasy. Myślę o Faith Garrity i tym, jak bardzo musiała się bać. Pewnie pozostałe dzieci czują się tak samo. Tylko że Faith jest już ze swoimi rodzicami, podczas gdy pozostałe dzieci tkwią w swoich klasach i nie wiedzą, co się dzieje.

Nie mam pewności, czy mężczyzna nadal znajduje się w klasie PJ-a. Gdyby to był ojciec Beth, pewnie wziąłby Natalie i zaczął szukać drugiej córki. Całkiem możliwe, że włóczy się teraz po korytarzach. Chowam się pod schodami i próbuję wymyślić, co robić dalej.

W brzuchu zaczyna mi burczeć – nie ma w nim nic oprócz hektolitrów wody, jaką przed chwilą wypiałam. Odkąd się tu przeprowadziliśmy, schudłam ponad siedem kilogramów i kiedy patrzę na siebie w lustrze, ledwie jestem w stanie się rozpoznać. Moje oczy wydają się za duże w stosunku do twarzy, a dołeczek u nasady szyi wygląda, jakby ktoś wydłubał go łyżką do lodów. Nie mogę powiedzieć, żebym jakoś ładnie wyglądała, choć dziewczyny w mojej starej szkole, które rozmawiały wyłącznie o tym, jak grubo wyglądają ich twarze, uda albo tyłki, byłyby pod wrażeniem tej przemiany. Trudno byłoby polecić tę dietę innym. Nazywa się „Patrz, jak pali się skóra na ciele twojej matki”.

Od pożaru zapach jakiegokolwiek smażonego mięsa powoduje u mnie mdłości. Kiedy dziadek smaży boczek albo robi kanapki z mieloną wołowiną, mogę myśleć tylko o tym, jak skwierczy skóra mojej mamy. Wymiotowałam całą dobę po pożarze, starając się pozbyć posmaku popiołu

z gardła i strasznego, słodkawego zapachu jej palonych włosów i skóry z nosa.

Kiedy dziadek wioził mnie i PJ-a na samolot do Iowa, chciał się zatrzymać w fast foodzie. Mówił, że z babcią rzadko jadają poza domem, może raz na kilka tygodni, i zawsze w tym samym lokalu w Broken Branch. Na dodatek babcia kręciła nosem na to, jak bardzo kaloryczne jest jedzenie w takich miejscach. „Kiedy kota nie ma...” – powiedział. Kiedy wjechał na parking restauracji z burgerami, myśl, że samochód wypełni się zapachami tłuszczu i wołowiny sprawiła, że ścisnęło mnie w żołądku. Nie wiedzieć czemu powiedziałam, że jestem wegetarianką. PJ spojrzął na mnie jak na kosmitkę. Dziadek zaczął się ze mnie śmiać i chyba właśnie wtedy postanowiłam go nienawidzić. I tak już go nie lubiłam przez wszystkie opowieści mamy o tym, jak to było dorastać pod jego dachem, jaki był surowy i sarkastyczny. Ale właśnie tam i wtedy wzbudził we mnie odrazę, choć śmiał się jak moja mama, słodko i powoli jak ciągnące się toffi. Tylko że ten śmiech nie brzmiał, jak powinien, gdy wydobywał się z jego ust, i nie powodował, abym lubiła go choć trochę bardziej.

– Wegetarianka na farmie bydła – rechotał. – A to historia.

Zostałam w aucie, podczas gdy on i PJ poszli do restauracji. Zasnęłam, zastanawiając się, co będę jeść przez Bóg wie ile nadchodzących tygodni, aż mamie się poprawi i będziemy mogli wrócić do domu.

Teraz chcę się zwinąć w kłębek jak pies dziadka, Roxie. Cudownie byłoby zasnąć i obudzić się za parę godzin, kiedy będzie już po wszystkim. Ale PJ jest na górze, a na końcu korytarza siedzą przedszkolaki. Wstaję i postanawiam iść do klasy PJ-a, żeby zobaczyć, co się dzieje. Jeśli mężczyzna nadal jest w środku, wrócę na dół i powiem wszystkim maluchom i ich nauczycielom, że mogą uciekać. Chyba że w szkole jest więcej niż jeden napastnik, ale o tym nie chcę nawet myśleć.

MEG

Jeszcze przez jakieś dziesięć sekund patrzę na Faith i jej rodziców, zanim pójdę do knajpy Lonniego, by porozmawiać z Erikiem Braunem, funkcjonariuszem, który pełni tam służbę. Ojciec dziewczynki trzyma ją tak, jakby nie miał zamiaru już nigdy jej puścić, matka gładzi włosy córki i uśmiecha się, podczas gdy po policzkach spływają jej łzy.

Dreńczyły mnie dwie rzeczy, które powiedziała Faith. Po pierwsze, że napastnik miał co najmniej pięć telefonów. Po co komukolwiek potrzebnych byłoby ich aż tyle? Drugą rzeczą było to, że Faith powiedziała, że widziała już wcześniej napastnika, ale go nie zna. Broken Branch to małe miasteczko. Dwa kościoły, jedna szkoła, jeden sklep spożywczy. Wszyscy znają wszystkich po imieniu. Napastnik musi być kimś z okolicy. Kimś, kto ma jakiś związek z Broken Branch, ale najprawdopodobniej tu nie mieszka.

Muszę wracać do szkoły i zameldować o wszystkim komendantowi. Nadal nie miałam okazji porozmawiać z Gail Lowell ani z dyrektorką szkoły. Czuję niepokój i zniecierpliwienie – mam niewiele informacji, które na dodatek są poszatkowane i niespójne. Uzbrojony napastnik z pięcioma telefonami i nieznanym motywem oraz nastolatka, która miała okazję uciec, ale wraca do szkoły.

Wchodzę do restauracji i czuję, jak przyjemne, ciepłe powietrze owiewa mi twarz. Momentalnie zostaję otoczona przez bliskich dzieci nadal przebywających w szkole, którzy błagają mnie o jakiegokolwiek informacje. Nie mam im nic do przekazania, więc przybieram beznamiętny wyraz twarzy i powtarzam, że nie wiadomo nic nowego i najprawdopodobniej nikt nie został ranny. Moi przyjaciele i sąsiedzi wyglądają na rozczarowanych, ściągają usta w wyrazie frustracji. Siadają ciężko w swoich łóżach i znów wlepiają wzrok w telewizor na ścianie, licząc, że uzyskają więcej informacji od reporterów i spekulantów, jeszcze gorzej poinformowanych niż policja.

Widzę Brauna w łożu w rogu sali, jak rozmawia z Dennisem i Alise Stricklandami. Do miejscowej szkoły chodzi trójka ich dzieci. Szesnastoletni chłopiec, uczeń drugiej klasy liceum, i dwie bliźniaczki w siódmej klasie. Na twarzy Erica pojawia się wyraz ulgi, kiedy podchodzę bliżej, a Dennis i Alise wstają z miejsc z tą samą przygnębiającą miną, jaka gości na twarzach wszystkich zebranych.

– Nie możesz nam nic powiedzieć? – pyta mnie Alise. – Proszę?

– Bardzo się staramy wy dostać wszystkich bezpiecznie ze szkoły. – Widzę po ich minach, że nie takie słowa chcieli usłyszeć.

– Nie rozumiem, dlaczego nikt nie wszedł jeszcze do środka. Dlaczego wszyscy stoją na zewnątrz i tylko czekają? – pyta Dennis Strickland. Dennis prowadzi miejscowy sklep z paszami. Zazwyczaj to uśmiechnięty i opanowany facet, co bardzo się przydaje przy współpracy z miejscowymi farmerami, teraz jednak jest spięty i nie ma mi do powiedzenia nic miłego. Nawet to rozumiem.

– Wiem, że trudno w tej sytuacji być cierpliwym – mówię, sięgając po dłoń Alise. – Ale istnieją protokoły i procedury na wypadek takich sytuacji. – Dennis kręci głową i odchodzi, a Alise posyła mi potulne spojrzenie.

– Błagam, odezwiąj się do nas, jeśli cokolwiek się dowiesz.

– Oczywiście – zapewniam ją, po czym kobieta odchodzi. Siadam w łóżko z Erikiem i po tym, jak pociera dłonią czoło, widzę, że dostał chyba najtrudniejsze zadanie z nas wszystkich.

Muszę szybko wracać do szkoły, więc od razu przechodzę do rzeczy. Będziemy się nad sobą litować, kiedy cała ta sprawa w końcu się zakończy.

– Masz jakieś informacje o Augie Baker i Beth Cragg?

– Na pytanie o Beth Cragg mogę odpowiedzieć od razu. Jej babcia siedzi tam. – Skinieniem głowy wskazuje łóżko, gdzie w towarzystwie trzech mężczyzn siedzi kobieta około siedemdziesięciu pięciu lat. – Kiedy Beth nie wysiadła ze szkolnego autobusu, jej matka wpadła w szal. Zaczęła płakać i krzyczeć. Na szczęście był z nią jej ojciec i zabrał ją do domu. W szkole są dwie jej córki. Beth jest w ósmej klasie, Natalie w trzeciej.

– A co z ojcem Beth? – Wiem z telefonów, które wykonywałam na farmę Craggów, że dopuszczał się przemocy domowej.

– Nikt właściwie nie wie, gdzie przebywa teraz Ray Cragg. Niewiele się pokazywał, od kiedy Darlene go zostawiła i wprowadziła się do miasta. – Ericowi zaczyna coś świtać. – Uważasz, że Ray może mieć coś wspólnego z całą tą sprawą?

Wzruszam ramionami.

– Być może. Beth nie wyszła ze szkoły ze swoimi kolegami. Wiemy, że w domu dochodziło do zębania się, a ojca tu nie ma. – Rozglądam się po knajpce. – Wszyscy, których dzieci są nadal przetrzymywane, siedzą tutaj, prawda? Więc gdzie jest Ray Cragg?

– Masz zamiar to sprawdzić? – pyta Eric.

Opieram się na kanapie i kręcę głową.

– Nie wiem. Jak możemy tego nie sprawdzić? Tylko kogo wyślemy na farmę Craggów? Już i tak wszyscy mają ręce pełne roboty.

– Nie wiem, Meg – szepcze Eric. – To może być on. Widziałaś kiedyś Darlene po którymś z jego napadów? Jednej nocy dostałem do nich wezwanie – kobieta była skatowana. Może to, że w końcu powiedziała dość i go zostawiła, zabierając ze sobą córki, doprowadziło go do szaleństwa.

– Masz rację. Jak do tej pory to najlepszy trop. Pojadę tam.

– Sama? Nie ma mowy, Meg – odparł Eric, zamasyście kręcąc głową.

Macham ręką na jego troskę.

– Jeśli to Cragg, to będzie w szkole, prawda? Pojadę tylko na farmę i trochę się rozejrzę. Jeśli będzie w domu, to świetnie. A jeśli nie, to może w końcu się dowiemy, z czym mamy do czynienia, a to bardzo by nam pomogło.

– W porządku, ale uważaj na siebie i nie zapomnij powiedzieć komendantowi, gdzie się wybierasz.

– Jasne. Jeszcze jedno szybkie pytanie, kim jest Augie Baker? Co o niej wiesz? Miała dwie szanse, żeby wyjść ze szkoły, ale z nich nie skorzystała.

Eric sprawdza listę i przerzuca kartki przypięte do podkładki.

– Mam ją. Augustine Baker. Wnuczka Willa Thwaite’a. Trzynaście lat. Niedawno przeprowadziła się tu z Arizony razem z bratem. – Przerzuca jeszcze kilka kartek – PJ-em Thwaite’em.

– Rodzice? – pytam.

– Matka i ojciec są w Arizonie. Matka odniosła poważne obrażenia w pożarze, więc dzieci przyjechały do Thwaite’ów na czas jej rekonwalescencji.

– Okej. Zobaczą, czy uda mi się skontaktować z Willem Thwaite’em.

– Nie będziesz musiała się bardzo wysilać. Siedzi w głębi sali razem z Verną.

Klepię Erica po ramieniu.

– Dzięki, porozmawiam z nimi chwilę, a potem jadę na farmę Craggów. Trzymaj się. Miejmy nadzieję, że niedługo będzie już po wszystkim.

– Mhm. – Eric pociera oczy. – Tylko następnym razem zleć mi coś lżejszego.

Kiedy idę do stolika, gdzie siedzą Verna i Will, zaczepia mnie Lonnie, właściciel lokalu, krępy, przysadzisty mężczyzna o rzadkich, siwych włosach związanych w kucyk, i podaje mi styropianowy kubek pełen gorącej kawy.

– Proszę, Meg. Przyda ci się coś na rozgrzewkę.

– Dzięki, Lonnie – mówię, upijając cudownego napoju. – I dzięki, że pozwoliłeś, żeby wszyscy zebrali się w twojej kawiarni. Bez ciebie nie dalibyśmy sobie rady.

– Nie ma sprawy. Cieszę się, że możemy pomóc.

– Przynajmniej interes na tym zyska. – Żartuję mało fortunnie i sięgam do kieszeni po pieniądze za kawę.

– Na koszt firmy – mówi, kręcąc głową. – Nie mogę brać pieniędzy od tych wszystkich ludzi za kawę i ciasto, kiedy ten dzień może się okazać najgorszym dniem ich życia.

– Dzięki, Lonnie – mówię. – Masz wielkie serce. – Wzrusza ramionami na ten komplement i odchodzi ociężałym krokiem, powracając do napełniania kubków kawą i rozdawania uśmiechów. Po raz kolejny uświadamiam sobie, dlaczego kocham Broken Branch i dlaczego postanowiłam właśnie tu zamieszkać i tu wychowywać Marię. Mam tylko nadzieję, że uda nam się wszystkim bezpiecznie wydostać. Inaczej istnieje możliwość, że dziewięćdziesiąt procent nastolatków z Broken Branch zginie za jednym zamachem. Mimo ciepła kawiarni i gorącej kawy w moich dłoniach drzę na samą tę myśl. Jeśli tak się stanie, Broken Branch opustoszeje, umrze, uschnie. Nie możemy na to pozwolić. Ja nie mogę na to pozwolić. Maria musi wrócić do domu, do swojego miasta, swojej szkoły, przyjaciół. Do mnie.

HOLLY

– Może będę w stanie wyjść na chwilę na zewnątrz, kiedy przyjadą Augie i PJ – mówię do mamy z nadzieją, kiedy wraca do pokoju. Nie byłam na dworze od niemal ośmiu tygodni i widzę niebo Arizony tylko przez szpitalne okno.

– Może – odpowiada mama z powątpiewaniem. Wiem, że obawia się upału i ostrego arizońskiego słońca. Przez resztę życia będę musiała uważnie osłaniać moją skórę, żeby uniknąć poparzenia.

– Och – mówi mama, sięgając do torebki i wy ciągając z niej komórkę. – Ciekawe, kto dzwoni. – Przykłada telefon do ucha. – Halo? – mówi donośnie, co, jak zauważyłam, zdarzało się jej zawsze, kiedy rozmawiała przez telefon. Ostatnim razem, kiedy przed wypadkiem widziałam mamę, sama nie miałam jeszcze komórki, a co dopiero moja mama. Przykrywa dłonią dolną część słuchawki. – To Gloria Warren – szepcze i podnosi się, by wyjść z pokoju. – Zaraz wrócę.

MEG

Kiedy podchodzę do stolika, przy którym siedzi Verna Fraise, trzech towarzyszących jej mężczyzna wstaje i ściąga czapki na powitanie.

– Dzień dobry wszystkim – mówię.

– Jakież wieści o moich wnuczkach? – pyta Verna z nadzieją.

– Nie – mówię przeproszającym tonem. – Ale mam do pani kilka pytań.

– No to zostawimy was same – mówi Will Thwaite, odchodząc od stołu, a pozostali mężczyźni wraz z nim.

– Z panem też chciałabym porozmawiać, panie Thwaite – mówię.

Przez chwilę się waha, ale ostatecznie siada z powrotem na krzesło.

Will Thwaite ma przynajmniej siedemdziesiąt lat, ale wygląda na młodszego. Wygląda zdrowo – jest energiczny i ma rumiane policzki od pracy na powietrzu. Jego tors jest muskularny, a kolana szpotawe, mierzy około metra osiemdziesięciu, choć wydaje się dużo wyższy. Twarz ma usianą ciemnoczerwonymi plamkami, po których nawet moje niewprawne oko jest w stanie rozpoznać początki raka skóry. Ubrany jest w strój roboczy: kombinezon, watowaną kurtkę i brązowe, skórzane buty brudne od błota. W zamyśleniu dolewa sobie śmietanki do kawy i czeka, aż coś powiem.

Verna za to nie daje mi szansy, aby zadać jakiegokolwiek pytanie, bo ma wiele swoich.

– Nie macie pojęcia, gdzie jest Beth, prawda? Dlaczego nie uciekła z resztą klasy?

– Nie wiem – przyznaję. – Jedna z jej koleżanek powiedziała, że podczas alarmu Beth była wyjątkowo zdenerwowana...

– A czego by się pani spodziewała? – przerywa mi Verna. – Do szkoły wtargnął jakiś uzbrojony mężczyzna. Oczywiście, że się zdenerwowała. Martwiłabym się, gdyby było odwrotnie.

– O to właśnie chodzi – mówię, splatając razem palce i kładąc je przed sobą na stole. – Żaden z uczniów, który wyszedł z klasy Beth i Augie, nie wiedział nawet, że w szkole znajduje się intruz. Wiedzieli, że trwa alarm, ale nie znali powodów. – Verna mruga za grubymi szklami okularów, ale nie odpowiada. Postanawiam przejść wprost do rzeczy. – Pani córka i zięć są w separacji, zgadza się? Czeka ich rozwód?

– Tak – odpowiada Verna ostrożnie, a w jej oczach pojawia się strach.

– Tak się zastanawiam – zaczynam, ważąc słowa. – Wiem, że czasem w sprawach rozwodowych narastają konflikty o opiekę nad dziećmi.

– Zastanawia się pani, czy Ray Cragg mógłby być człowiekiem w szkole, bo Darlene nie chce mu pozwolić widywać się z córkami? – mówi bez ogródek Will Thwaite. Siedząca obok Verna spuściła ramiona.

– Dokładnie tak – mówię, patrząc to na Willa, to na Vernę. – Szkoła jest pełna uwieczonych w niej dzieci, a nikt zdaje się nie wiedzieć, kto mógłby mieć jakikolwiek motyw, by tam wtargnąć. Jak na razie Ray Cragg zdaje się być jedynym rodzicem, którego nieobecności nikt nie jest w stanie wytłumaczyć.

Oczy Verna wypełniają się łzami i kobieta wyciera ich kąciki zmiętą serwetką.

– Odkąd to wszystko się wydarzyło, próbuję się z nim skontaktować. Ray potwornie traktował moją córkę i cieszę się, że od niego odeszła. – Verna zaciska usta i z trudem zaczyna mówić dalej.

– Ray kocha swoje dzieci i w głowie mi się nie mieści, że mógłby je skrzywdzić, ale nie mogę tego wiedzieć na pewno. – Stanowczo kręci głową, jakby próbowała samą siebie przekonać. – Nie, nigdy nie skrzywdziłby dziewczynek.

– Ale skrzywdziłby żonę, prawda? Robił to wiele razy, ale teraz nie ma jak Ray ma zakaz zbliżania się do Darlene, więc nie może jej już nic zrobić, a przynajmniej nie fizycznie.

– Myśli pani, że Ray może zagrozić, że skrzywdzi swoje córki, żeby odegrać się na Darlene? – pyta Will.

Wzruszam ramionami.

– Dlatego pytam panią, pani Fraise.

Verna zakrywa usta dłonią usianą starczy mi plamkami i podtrzymuje nią podbródek, który trzęsie się od emocji.

– Tak, to prawdopodobne, Ray mógłby zrobić coś takiego.

– Okej, sprawdzę to i odezwę się do was, gdy tylko będę mogła. A przy okazji, jak się czuje Darlene? Ktoś z nią jest?

– Tak, jest z nią mój mąż, Gene. Była taka rozrzuśiona, kiedy Beth nie wysiadła z autobusu. Jest przekonana, że stało się jej coś złego.

Zwracam się do Willa Thwaite'a.

– Pana wnuczka i Beth się przyjaźnią? – pytam. – Czy to może być powód, dlaczego Augie nie wyszła przez okno z pozostałymi dziećmi?

– Tak, Augie i Beth się zaprzyjaźniły – mówi Will. – Choć nie nazwałbym ich najlepszymi przyjaciółkami. Augie i jej brat zamieszkali z nami dopiero jakieś osiem tygodni temu i dziewczyna nie cieszyła się na opuszczenie Arizony. Jej matka miała... miała straszny wypadek, więc Augie i PJ będą u nas mieszkać, aż wydobrzeje.

– Nie sądzi pan więc, że Augie została w szkole ze względu na Beth? – pytam.

Will kręci głową.

– Prędkiej chciała znaleźć PJ-a. Bardzo są ze sobą zyci, choć Augie nigdy by się do tego nie przyznała. Opiekuje się nim, jakby to ona była matką. A uparta jest jak osioł. Jak coś jej wpadnie do głowy, to już nie popuści. To chyba cecha rodzinna. Jeśli znajdziecie PJ-a, to Augie będzie pewnie stała dwa kroki za nim.

– Może dlatego pobiegła z powrotem do szkoły, kiedy wyprowadziła na zewnątrz Faith. W której klasie jest PJ?

– W trzeciej, u pani Oliver – mówi Will. – Tam siedzi Cal Oliver, mąż Evelyn. – Wskazuje na chudego mężczyznę o długich, patykowatych nogach, z brodą i łysiną, samotnie siedzącego przy

stoliku w rogu. Nigdy nie miałam przyjemności rozmawiać z panem Oliverem, ale znam go z widzenia. Wpatruje się usilnie w komórkę, która leży na stoliku, jakby siłą woli starał się ją zmusić, by zadzwoniła.

– Muszę się już zbierać – mówię Willowi i Vernie. – Dziękuję za pomoc. Obiecuję, że dam znać, jak tylko dowiem się czegoś o waszych wnukach. – Jestem już w połowie drogi do drzwi, kiedy do głowy wpada mi nowa myśl.

– Jeszcze jedno, panie Thwaite – mówię przepraszająco. – PJ i Augie mają różne nazwiska. Co pan wie o ich ojcach?

– Cóż, to na pewno nie ojciec Augie. To on po nas zadzwonił, żebyśmy zabrali dzieci. Co się zaś dotyczy ojca PJ-a, to nigdy go nie poznałem. O ile wiem, nie brał udziału w wychowaniu syna. Nie sądzę nawet, żeby PJ wiedział, jak się nazywa.

Kątem oka widziałam, jak przez całą rozmowę z Verną i Willem Ed Wingo liczy do dziesięciu i stara się z całych sił, żeby się nie wtrącać. Ale już dłużej nie jest się w stanie powstrzymać i grozi mi palcem.

– Co się tam, do cholery, dzieje? Nie umiecie znaleźć nawet własnej dupy!

Choć bardzo bym chciała powiedzieć Edowi do słuchu, wiem, że nic to nie da.

– Robimy co w naszej mocy – odpowiadam spokojnie, co jeszcze bardziej go rozwściecza.

– Stul dziób, Ed – mówi Verna, zanim ten zdola powiedzieć coś jeszcze.

– Będziemy w kontakcie – dodaję i wychodzę z kawiarni na śnieg. W czasie mojego pobytu w lokalu jego poziom podniósł się o kolejne dwa centymetry. Teraz mamy dwie możliwości. Ray Cragg wydaje się być najbardziej oczywistym podejrzanym i, choć to mało prawdopodobne, może biologiczny ojciec PJ-a Thwaite chciał odzyskać swojego syna. Przynajmniej nie wrócę do komendanta z pustymi rękami. Rękawem odgarniam śnieg z przedniej szyby i wsiadam do auta. Kiedy włączam silnik, wita mnie strumień zimnego powietrza z wywietrzników. Staram się połączyć z centralą, ale nikt nie odpowiada. Najwyraźniej nadal mamy problemy z komunikacją. Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do McKinneya, ale ostatecznie tego nie robię. Chcę najpierw sprawdzić trop z Craggiem, a komendant i tak ma teraz dużo na głowie.

WILL

Will szybko pożegnał się z Verną i pozostałymi.

– Gdzie idziesz? – zapytała Verna z zaskowaniem.

– Muszę sprawdzić, co z cielakami. Daniel ze wszystkim musi sobie teraz radzić sam. – Gardło miał spuchnięte i obolałe i zastanawiał się, czy to z powodu łez, które zdołał przełknąć, kiedy Augie nie pojawiła się w drzwiach kawiarni, czy może brała go jakaś choroba.

– Zadzwoń, jeśli czegoś się dowiem – obiecała Verna, nie ukrywając własnych łez, które swobodnie spływały jej po policzkach.

Otwierając drzwi kawiarni, Will poczuł silny podmuch mroźnego powietrza i smagający go po twarzy śnieg. Nie przejął się tym zbyt. Niewielka to była kara za to, jak ostatnio zachowywał się wobec Augie. To on powinien być tym dorosłym, dojrzałym. Zamiast tego dokuczał biednej dziewczynie. Była tysiące kilometrów od domu i matki, a on miał tupet naigrywać się z jej włosów, nawyków żywienia i sposobu ubierania.

Wsiadł do pikapa, zastanawiając się, co dalej. Nie miał zamiaru wracać na farmę, wiedział, że Daniel świetnie sobie poradzi. Powinien zadzwonić do Marlys. Chciał też sam sprawdzić, co kuje Ray Cragg. Próbował wyciągnąć z kieszeni telefon, kiedy ten nagle zaczął dzwonić, wygrywając melodię nieostojowej piosenki ustawionej przez Augie.

Marlys.

– Will – odezwał się zapłakany głos żony. – Właśnie zadzwoniła do mnie Gloria Warren. Co się tam dzieje? PJ i Augie są zamknięci w szkole? A co z Jenny? – zapytała o żonę Todda.

Will przeklął na siebie pod nosem za to, że nie zadzwonił do Marlys wcześniej, po czym powiedział:

– Marlys, bardzo przepraszam, że do ciebie nie zadzwoniłem, nie mam na to żadnego wytłumaczenia. Powinienem być przewidzieć, że jakąś miejscową plotkarę będzie aż skrecać, żeby przekazać ci najświeższe plotki. Pojechałem do szkoły, ale to, co się tam działo, to było istne szaleństwo, a potem wszyscy pojechali do Lonniego i myślałem o tym, żeby do ciebie zadzwonić setki razy...

– Will – przerwała mu ostro Marlys. – Jeśli znajdziesz się w dołku, to pierwsze, co należy zrobić, to przestać kopać. – Will zamilkł. – Po prostu powiedz mi, co wiesz i co się dzieje – dokończyła łagodniej.

– Nie mam żadnych wiadomości, Marlys – powiedział Will bezradnie i potarł powieki. – Wiem, że jeszcze nie wyszli ze szkoły. Jakims dzieciom się to udało, ale nie PJ-owi i Augie.

– Mówią o tym w tutejszych wiadomościach – powiedziała Marlys z niedowierzaniem. – Gloria zadzwoniła, więc znalazłam telewizor w jednym z pokoi socjalnych w szpitalu i na ekranie była szkoła w Broken Branch cała okrążona policyjną taśmą. Pokazali nawet kampera Jaya Sautersa na parkingu. Ale niczego nie mówią. Nie podają, kto jest w szkole i czego chce. Nie wiem nawet, czy to kilka osób, czy jedna. Co się dzieje?

– Wiesz mniej więcej tyle co ja, Marlys. Słyszałem już wszystko, od wydalonego ucznia, przez zwolnionego nauczyciela, po terrorystę. Verna myśli, że to może być Ray.

Marlys zamilkła na chwilę i Will pomyślał, że może rzuciła słuchawką, żeby złapać najbliższy lot do Broken Branch.

– Rozumiem – powiedziała delikatnie. – Co mam powiedzieć Holly? Nie wiem nawet, czy w ogóle powinnam jej mówić – dodała bardziej do siebie niż do Willa. – Muszą się stamtąd wydostać cali i zdrowi – powiedziała w końcu zapalczywie. Will wiedział, co ma na myśli. W końcu zobaczyli się z córką i poznali swoje wnuki. Owszem, żeby tak się stało, musiało dojść do tragedii, ale przynajmniej dostali szansę – Will dostał szansę – by naprawić swoje relacje z Holly. Nie mógł pojawić się w jej szpitalnym pokoju bez dzieci, które powierzyła mu w opiekę.

– Nic jeszcze nie mów Holly – powiedział Will. – Zrobię co w mojej mocy, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Martwienie się nie przyniesie Holly niczego dobrego. Musi się skupić na tym, by wyzdrowieć. Będę do ciebie dzwonił co godzinę, dobrze?

– Dobrze – odparła Marlys, choć nie wydawała się przekonana. – W telewizji widać, że bardzo u was śnieży. – Will pozwolił sobie na mały uśmiešek. Jeśli Marlys mówiła o pogodzie, to znaczy, że mu wybaczyła.

– Pada jak skurwysyn – powiedział z ulgą Will, po czym schował telefon w przedniej kieszeni kombinezonu i wyjechał na autostradę, rozpoczynając dwudziestominutową podróż na farmę Craggów.

Jeszcze raz próbuję połączyć się z Randallem, ale bez powodzenia, a Stuart cały czas wysyła mi te bezsensowne wiadomości. Wiedziałam, że Stuart bardzo angażuje się w swoją pracę i jest skłonny posunąć się do ekstremalnych środków. Kilka lat temu gazeta „Des Moines Observer” wysłała Stuarda do Afganistanu, żeby dołączył do jednostki amerykańskiej Gwardii Narodowej z Iowa. Pisał o nieustającym podświadomym odczuwaniu lęku, otępiającej powtarzalności dni spędzonych w strefie działań wojennych, widzianych oczami dwudziestoletniego kaprala Rory’ego Denisona. Artykuł Stuarda koncentrował się na skazanej na klęskę miłości pomiędzy młodą Afganką a Denisonem. Była to wzruszająca historia, która sprawiła, że nawet z moich oczu – a widziały niejedną tragedię – popłynęły łzy, kiedy Stuart mi ją opowiedział. Niestety Denison zginął, zabity przez minę, pozostawiając młodą, ciężarną dziewczynę samą w Afganistanie. Po publikacji artykułu rodzina Denisona z uporem zaczęła poszukiwać młodej dziewczyny i swojego wnuka, ale bez rezultatu. Stuart otrzymał nagrodę Pritcharda-Saya, umacniając swoją pozycję cieszącego się największą estymą dziennikarza śledczego w Iowa.

Kiedy ochłonęłam po początkowym szoku, jakim było przeczytanie ostatniego artykułu Stuarda, w którym szczegółowo opisywał ataki i gwałty na Jamie Crosby, zadzwoniłam do niej. Wiedziałam, że muszę ostrożnie przeprowadzić tę rozmowę. Z tonu artykułu można było wywnioskować, że Jamie z chęcią, a nawet entuzjazmem udzieliła wywiadu. Jamie z artykułu nie była dziewczyną, którą znałam. Niechętnie dzieliła się bolesnymi szczegółami, ale w artykule pozostawiła niewielkie pole do wyobraźni. Trzon historii został zachowany, ale pewne jej aspekty po prostu nie składały się w całość.

– Widziałam artykuł – powiedziałam, kiedy Jamie odebrała telefon, uważając na to, by ton mojego głosu nie brzmiał krytycznie, choć byłam zawiedziona, że postanowiła porozmawiać z reporterem, zwłaszcza Stuartem. Te artykuły mogły się jeszcze odwrócić przeciw niej, gdyby sprawa trafiła do sądu.

– Wiem – powiedziała. W jej głosie słyszałam cień żartowniaka. – Nie powiedziałam tego tak, jak on to przedstawił. To okropne. Ludzie uważają, że jestem straszna. – Zaczęła płakać.

– Nikt nie wie, że to ty. – Staralam się ją uspokoić. – Gazeta nie może ujawnić twojego nazwiska. Wszystko się jakoś ułoży – szeptałam, mimo że nie miałam prawa mówić jej takich rzeczy.

Przez kilka chwil słuchałam, jak Jamie płacze, a potem zadałam jej pytanie, na które odpowiedzi tak naprawdę nie chciałam znać:

– Jamie, dlaczego w ogóle postanowiłaś porozmawiać z tym reporterem?

Jamie pociągnęła nosem i odchrząknęła.

– Wydawał się taki miły i powiedział, że jesteście bardzo dobrymi przyjaciółmi. Myślałam, że to w porządku.

Było gorzej, niż przypuszczałam. Stuart nie tylko ustalił przeze mnie tożsamość Jamie i pojechał za mną, kiedy zadzwoniła do mnie spanikowana, ale miał czelność mnie wykorzystać, by kupić się w jej łaski.

– Och, Jamie – powiedziałam cicho. – Znam go, ale z całą pewnością nie jest moim przyjacielem. Przyrzekłam ci, że nigdy, przenigdy nie rozmawiałam z nim o twoim przypadku, nigdy nie wspomniałam twojego imienia, nigdy nie zasugerowałam mu, by z tobą porozmawiał.

– Wiem. – Jamie ciężko przełknęła ślinę. Głos przytkały jej łyż. – Chodzi o to, że był dla mnie taki miły, a w artykule wszystko opisał inaczej. Nie powiedziałam połowy z tych rzeczy, a przynajmniej nie tak, jak on je przedstawił.

– Jamie, zajmę się tą sprawą, obiecuję – powiedziałam jej. – Nie rozmawiaj z nikim innym. Wszystko skończy się dobrze.

Ta rozmowa odbyła się dwa tygodnie temu i do tamtego czasu trochę szperałam, dzwoniłam, rozmawiałam z ludźmi, dowiadując się o Stuarcie więcej, niż chciałam. W kwestii swoich materiałów był bezwzględny. Nie po raz pierwszy starał się nakłonić ofiarę, aby opowiedziała mu o swoim dramacie, i to na wyłączność. Skłonność, by się przed nim otworzyć, służyła tylko jednej osobie. Stuartowi Moore'owi.

Teraz Jamie musiała sobie poradzić nie tylko z gwałtem, ale i tym, że jej bracia są zamknięci w szkole z jakimś uzbrojonym szaleńcem, którego motywy działania pozostają nieznanne. Ile jeszcze mogła znieść ich rodzina? Musimy wydostać uczniów ze szkoły, zanim zapadnie zmrok. Pozostało jeszcze kilka godzin do zachodu słońca. Myślę o dzieciach kryjących się w ciemnej szkole, stłoczonych w rogach klas, które nie widzą, co się dzieje. Waham się przez chwilę, dojeżdżając do autostrady. Mogę skręcić w prawo i wrócić do szkoły albo w lewo i pojechać na farmę Craggów.

– No to w lewo – mówię pod nosem i biorę głęboki wdech.

WILL

Farma Craggów, tak jak farma Thwaite'ów, miała ponad sto lat. Will pamiętał, jak Theodore Cragg, ojciec Raya – poważny i oszczędny człowiek, dla którego praca na roli jest całym życiem – liczył, że dla jego synów ziemia też będzie wszystkim. Trzech z czterech synów Craggów wyjechało z Broken Branch i wybrało inne zawody, tylko Ray został na miejscu, by kontynuować dziedzictwo ojca. Ale choć Ray był doskonałym hodowcą, kochał swoje zwierzęta i ziemię, kiepski był z niego biznesmen. Po miasteczku krążyły plotki, że Ray znajdował się o krok od utracenia farmy, która od ponad wieku należała do jego rodziny. Dwa lata suszy, po których nastąpiło lato rekordowych opadów deszczu, pogrążyły Craggów w poważnych długach. Theodore Cragg, który nadal mieszkał z synem, miał niepochlebne zdanie o zarządzaniu farmą przez syna i często je wyrażał. Kilka razy, kiedy był u Lonniego albo kiedy rozmawiał z innymi farmerami w sklepie z paszą, Will słyszał, jak Theodore złorzeczy na syna przy obcych. Will żałował teraz, że nie włączył się wtedy do rozmowy i nie kazał starcowi siedzieć cicho, bo wielu farmerów przechodziło trudne lata, a mimo to jakoś wyciągnęło swoje gospodarstwa i rodziny z głębokiego kryzysu. W 1988 roku Will i Marlys siedli na ganku i patrzyli bezradnie jednego popołudnia, jak piękne, złote kolby kukurydzy kompletnie płowieją na nieustępliwym sierpniowym słońcu. Zdawało się, że wszyscy farmerzy znajdują się o krok od bankructwa, ale oni i Marlys przetrwali, tak jak ziemia. Następane zbiory wszystko im wynagrodziły.

Will postawił pikapa przed domem. Był zaskoczony tym, jak pusta wydawała się farma. Craggowie mieli dwie córki. Wokół domu powinny znajdować się ślady ich obecności, wielkanocne dekoracje w oknach, sanki, zabawki, coś, co wskazywałoby, że mieszkają tu dzieci. Verna wspominała, że Darlene wyprowadziła się wraz z dziewczynkami, ale Will myślał, że to tylko na kilka dni, aż oboje ochłoną. Wiedział, że starszy Cragg ma paskudny charakter, ale Ray wydawał się spokojniejszy, miał więcej poczucia humoru. Nie według Verny. Ona twierdziła, że to gwałtowny, zazdrosny człowiek. To tylko pokazuje, jak ludzie potrafią wiele ukryć – pomyślał Will.

Will kilkakrotnie gościł w domu Craggów, wiedział więc, dokąd iść. Skierował się do bocznego wejścia i zapukał do drzwi, które, jak wiedział, prowadzą do kuchni. Nikt nie otworzył, ale Will słyszał ujadanie psa Craggów. Już miał zrezygnować i pojechać z powrotem do kawiarni, kiedy przez szybę w drzwiach zauważył suczkę Craggów rasy golden retriever. Maniakalnie obwąchiwała coś na podłodze, na przemian szczekając i piszcząc. Will przycisnął twarz do szkła, żeby lepiej się przyjrzeć. Białe linoleum usiane było czerwonymi kropkami. Krew – pomyślał

Will, czując wzrastający w nim niepokój. Pobiegł z powrotem do pikapa, otworzył drzwi i wszedł do środka. Przez chwilę grzebał w kieszeniach kombinezonu, szukając telefonu, wykręcił dziewięć i jeden, ale w ostatniej chwili się zawahał. Telefon na komisariat spowoduje, że jakiś policjant opuści teren szkoły i osłabi i tak niewielki oddział policyjny, który przede wszystkim powinien pomóc przetrzymywanym dzieciom.

Nie wiedział, skąd pochodzi krew. Pies mógł zranić sobie łapę, stary Cragg mógł się zaciąć w rękę, kiedy szykował sobie kanapkę. Will schował telefon i nie zastanawiając się nad konsekwencjami, sięgnął po strzelbę na siedzeniu obok i wrócił pod boczne drzwi Craggów. Przekręcił gałkę w drzwiach, które otworzyły się z łatwością. Pies pomierdał do Willa ogonem, łapami rozdeptując jaskrawoczerwone krople i zostawiając szkarłatne smugi na podłodze, niczym małe dziecko malujące brudnymi od farby palcami.

– Idź na zewnątrz, malutka. – Pogoził ją, łagodnie popychając w stronę drzwi. W zlewie leżało kilka brudnych naczyń. Na stole stała wypełniona do połowy filiżanka kawy.

– Ray! – zawołał Will. – Theodore! To ja, Will Thwaite. – Will nadstawił uszu, nasłuchując jakiejś odpowiedzi, ale wszędzie panowała cisza. Powoli przeszedł przez kuchnię i skierował się w stronę salonu. W wielkim telewizorze leciała jakaś telenowela, głos był wyłączony. Will poczuł, jak jeża mu się włosy na głowie. Ktoś na pewno jest w domu. Zerknął do jadalni i małego pokoju, w którym Ray urządził sobie biuro. Na bardzo zakurzonej biurku stał równie zakurzony komputer. Stery kopert, najpewniej rachunków, leżały nieotwarte. Will wyszedł z biura i stanął przed schodami, które prowadziły na piętro, wiedząc, że jeśli pójdzie na górę, utrudni sobie drogę ucieczki. Wziął głęboki wdech i zaczął wchodzić. Kiedy dotarł na szczyt, usłyszał jęk dobiegający z dołu.

– Kto tu jest? – zawołał, czując, jak przyspiesza mu oddech. – Nic ci nie jest? – Kolejny jęk Will wrócił na dół i podążając za stłumionym odgosem, dotarł do drzwi w głębi biura. Łazienka – domyślił się Will, przy pominięciu sobie rozkładu domu.

– Kto tu jest? – zawołał przez drzwi. – Nic ci nie jest? – Poczł, jak jego palce zaciskają się na strzelbie, przełożył ją do drugiej ręki i wytarł dłoń o spodnie. Otworzył drzwi kopnięciem i nieco się cofnął, obawiając się tego, co zobaczy.

Na podłodze łazienki siedział Theodore Cragg, trzymając przy głowie przesiąknięty krwią ręcznik.

– Theodore – jęknął Will, podbiegając do mężczyzny i kłękając przy nim. – Co się stało?

Theodore odsunął ręcznik od głowy, ukazując głęboką ranę, która z pewnością będzie wymagała szwów.

– Ray. – Tylko tyle był w stanie powiedzieć, zanim jego oczy się zamknęły.

PANI OLIVER

Pani Oliver otworzyła jedno oko, uniosła podbródek i zobaczyła, że patrzą na nią PJ Thwaite i napastnik Mężczyzna nadal miał zmartwioną minę, PJ nie. Pani Oliver przekręciła się na plecy i wyciągnęła rękę do mężczyzny, żeby pomógł jej wstać, ale ten pokręcił głową, poszedł do biurka i otworzył jej torebkę. PJ pochwycił rękę pani Oliver i zaparł się, by podźwignąć ją do góry.

Kiedy w końcu stanęła na nogi, dotknęła swojej piersi i ze smutkiem stwierdziła, że jeszcze więcej dżetów odpadło z jej sukienki.

– Nic mi nie jest, kochani. – Uśmiechnęła się zachęcająco, ale w głębi duszy przeklinała. Mężczyzna stał przy biurku i przeszukiwał jej torebkę. Zastanawiała się, co zrobi, kiedy znajdzie komórkę. Powie: „Nie wierzy w komórki, co?”, po czym rzuci telefonem w powietrze jak jedną z atrap strzelniczych i rozwali ją na kawałki pojedynczym strzałem? A może strzeli do niej? Rozważała, czy po raz kolejny paść na ziemię, kiedy PJ Thwaite przecisnął się koło niej i poczuła, jak coś ciężkiego ląduje w jej kieszeni. PJ pozwolił sobie na mały uśmiešek, po czym wrócił na swoje miejsce. Mężczyzna skończył przeszukiwać torebkę, rzucił ją na bok i spojrzał na panią Oliver.

– Przeżyjesz? – zapytał tonem, który jasno dał jej do zrozumienia, że zupełnie by go nie obeszło, gdyby umarła na oczach swoich uczniów.

– Już mi lepiej – odpowiedziała, czując pocieszający ciężar komórki w swojej kieszeni. – Usiądę sobie i odpocznę.

– Dobry pomysł – odparł. – Muszę gdzieś zadzwonić.

Ja też – pani Oliver powiedziała do siebie w duchu.

AUGIE

Na korytarzach jest tak cicho, że trudno uwierzyć, że w budynku w ogóle ktoś jest. Przez sekundę zastanawiam się, czy może tylko ja tu zostałam, a inni siedzą w domach i mówią do siebie rzeczy w stylu „oj, było blisko”. Może dziadek przyjechał po PJ-a do szkoły i po drodze do domu zatrzymali się u Lonniego na cheeseburgera i frytki. PJ może się zastanawia, gdzie jestem, i w połowie shake'a zapyta: „Ciekawe, co stało się z Augie”. A dziadek wruszy ramionami i powie: „Cóż, dodawała życiu kolorów”. Oczywiście wiem, że to się tak naprawdę nie zdarzyło, ale jeśli ktoś kiedyś był piątym kołem u wozu, to na pewno byłam to ja. Mogę chyba powiedzieć, że teraz rozumiem, jak czuł się PJ, kiedy przyjeżdżał po mnie tata i rzucaliśmy między sobą prywatne żarty, których on w ogóle nie rozumiał. Dziadek i PJ od pierwszej chwili zostali najlepszymi kumplami. I to mnie zupełnie wytrąciło z równowagi. Zrezygnowałam z mieszkania w moim mieście, bycia blisko przyjaciół i mamy dla PJ-a, a on mnie olał dla dziadka i farmy. Zawsze kiedy mama mówiła o dziadku, w jej głosie słychać było zdenerwowanie.

– Powinnaś być wdzięczna, że masz mnie za rodzica – mówiła. – Kiedy dorastałam, cały czas musiałam pracować. – Opowiadała, jak nigdy nie mogła wziąć udziału w żadnych pozaszkolnych zajęciach ani spędzać czasu w domach przyjaciół z powodu wielu obowiązków, jakie dziadek kazał jej wypełniać. – I ten smród – mówiła, zatykając sobie nos.

Zanim poznaliśmy naszych dziadków, PJ i ja odbyliśmy długą rozmowę o tym, jak ich sobie wyobrażamy. Wspólnie postanowiliśmy, że ich nie polubimy. Ale w ciągu godziny PJ zyskał dwoje nowych najlepszych przyjaciół. To nie powinno było mnie zaskoczyć, bo PJ lubi wszystkich. Jest jak szczeniak, który niemal błaga ludzi, żeby go kochali. Ale przynajmniej byłam lojalna wobec naszej mamy. Rozstanie z nią było najgorsze. Ktoś mógłby pomyśleć, że nie tak źle zostawić kogoś z jego własną matką, ale nie ja. Babcia Thwaite jest dla mnie obca. A właściwie dla mojej mamy. Nie widziały się od ponad piętnastu lat i rozmawiają tylko kilka minut rocznie. Byłam więc bardzo zaskoczona, kiedy zobaczyłam, jak na widok babci, która wchodzi do jej szpitalnego pokoju, mama zaczyna płakać. „Mamo” – powiedziała, jakby to było najłodsze słowo na ziemi. Zwalam to na leki. Żartujesz sobie – cisnęło mi się na usta. To kobieta, która – jak mówiłaś – nigdy nie postawiła się twojemu ojcu, pozwoliła mu podejmować wszystkie decyzje, dała z siebie zrobić cień kobiety. Co zabawne, babcia Thwaite zupełnie nie wygląda jak cień kobiety. Jest duża i pulchna, ma różowe policzki i donośny, radosny śmiech.

Więc chociaż mój brat i mama postanowili zachowywać się tak, jakby wszystko było cudownie, ja obiecałam sobie złościć się w imieniu mamy. Nie było szans, abym dała się

zdominować temu człowiekowi. Mimo to co rano przed szkołą każe mi opiekować się bratem i choć mam ochotę powiedzieć, żeby się wypchał, troszczę się o PJ-a. Nie dlatego, że dziadek mi każe, ale ponieważ zawsze takrobiłam.

PANI OLIVER

Pani Oliver z ręką w kieszeni potajemnie stukała palcami w dotykową klawiaturę. Wiedziała, jak pisać SMS-y, ale jej palce zdawały się być za duże w stosunku do przycisków, więc rzadko to robiła. Myślała, czy nie wybrać kilku numerów i wcisnąć zieloną słuchawkę, ale skąd mogła wiedzieć, kto mógłby odebrać? No i jak mówić do słuchawki? Nie wiedziała, jak ukryć rozmowę przed napastnikiem. Zastanawiała się, czy znowu uda się jej w jakiś sposób odwrócić jego uwagę. Spojrzała na PJ-a Thwaite'a, który patrzył na nią z uniesionymi brwiami, jakby próbował powiedzieć: „no dzwoń!”. Pani Oliver uniosła brwi w odpowiedzi. PJ podrapał się po głowie, wyciągnął szyję do góry i zaczął przechylać głowę to w prawo, to w lewo, niczym zaklinacz węży. Robił to tak długo, aż mężczyzna spojrzał na niego z irytacją.

– Co ty, do cholery, robisz?

– Chciałem tylko zobaczyć, jaki ma pan kolor oczu – odpowiedział PJ niewinnym tonem.

– Szykujesz się do okazania na komisariacie? – prychnął.

– Nie, ja tylko... – PJ spojrzał na swoją nauczycielkę ze zmieszaną miną.

– Nie musisz się o to martwić – powiedział mężczyzna, na co pani Oliver poczuła, jak połknięte pastylki wracają jej do gardła. – Niebieskie – warknął mężczyzna do PJ-a. – Mam niebieskie oczy – odpowiedział krótko, po czym sięgnął do swojego plecaka po butelkę wody.

– PJ, przestań – powiedziała pani Oliver.

– Jest pan pewien, że nigdy nie był w Revelation w Arizonie? – zapytał PJ, ignorując nauczycielkę. – To tuż koło Phoenix.

– Nie, nigdy tam nie byłem.

– Zapamiętałby pan moją mamę. Jest bardzo ładna. Ma brązowe włosy. Może nie umiem ich opisać, żeby wydały się panu ładne, ale są. Błyszczące i miękkie. Ma niebieskie oczy i jest szczupła, ale nie za chuda. – PJ wychylił się nad biurkiem w stronę mężczyzny. – Może znał ją pan jakieś dziewięć lat temu. – Mężczyzna postanowił ignorować PJ-a i znów napił się trochę wody. – Był pan w marines? Wygląda pan tak, że mógłby być komandosem. Moja mama powiedziała, że mój tata był w marines i musiał pojechać na wojnę. Był pan kiedyś na wojnie?

Pani Oliver była tak oczarowana elokwencją PJ-a, że aż zapomniała na moment o telefonie.

– Posłuchaj... Parker – powiedział mężczyzna niemalże życzliwym tonem, zerkając na tabliczkę z imieniem na biurku chłopca.

– Na imię mam PJ – odparł uczeń sztywno, ryzykując ukradkowe spojrzenie na panią Oliver, która szybko ruszała dłonią w swojej kieszeni. PJ prosił ją wiele razy, żeby zrobiła mu nową

etykietkę, na której będzie widniało imię PJ, a nie Parker.

– Okej, PJ – poprawił się mężczyzna. – Nigdy nie byłem w Revelation w Arizonie. Nigdy nie poznałem twojej matki. – W jego oczach pojawiła się iskierka zrozumienia. – Na pewno nie jestem twoim ojcem, który przyszedł cię porwać, żebyśmy mogli żyć długo i szczęśliwie. Patrzyłeś kiedyś w lustro? W ogóle nie jesteśmy do siebie podobni. Ja mam niebieskie oczy. Mówisz, że twoja mama też ma niebieskie. Dwie pary niebieskich oczu nie są w stanie stworzyć brązowych oczu, a twoje oczy są brązowe. Pogódź się z tym, Parker. Jeśli twój tata do tej pory cię nie odszukał, to nie ma zamiaru w ogóle tego robić. A teraz zamknij się i daj mi spokój.

Na buzi chłopca kłębiło się wiele emocji, aż w końcu pozostał tylko gniew.

– To nawet dobrze, że nie jest pan moim tatą – powiedział PJ tak cichym głosem, że mężczyzna musiał się wysilić, żeby go usłyszeć. – Mój tata był komandosem i nigdy nie przyszedłby do szkoły z pistoletem, żeby straszyć ludzi. Palant.

Ku zawstydzeniu PJ-a mężczyzna się zaśmiał.

– Nazywano mnie dużo gorzej, Parker, ale chyba masz rację. Jestem palantem. A teraz się zamknij.

– Na imię mam PJ – powiedział chłopiec zdecydowanym tonem, z impetem opadł na swoje krzesło i położył się na ławce, chowając twarz w ramionach.

Pani Oliver chciała pocieszyć płaczącego chłopca. Zdała sobie również sprawę, jakiego poświęcenia dla niej i swoich kolegów dokonał PJ. Ani razu, odkąd pojawił się w tej klasie, nie pisał słowem o swoim tacie. Mówił o mamie, siostrze i dziadkach. Ale nigdy o tacie, choć inni uczniowie pytali go o niego. PJ tylko wzruszał ramionami i szybko zmieniał temat.

Ponieważ PJ odwrócił uwagę mężczyzny na parę sekund, pani Oliver zdołała wybrać numer do pierwszej osoby na swojej liście kontaktów. Jeśli miała szczęście, Cal słyszał całą tę rozmowę.

WILL

– Theodore. – Will delikatnie potrząsnął starszym mężczyzną, na co ten otworzył rozkojarzone i ciężkie oczy. – Ray ci to zrobił, Theodore? – zapytał Will. Theodore pokiwał głową, a jego podwójny podbródek zatrzęsł się na znak potwierdzenia. – Dzwonię po pomoc. – Delikatnie zabrał Theodore'owi przesiąknięty krwią ręcznik, zamienił go na nowy, który ściągnął z wieszaka, i przycisnął do głowy mężczyzny.

Raz jeszcze Will wyciągnął z kieszeni telefon i tym razem bez wahania wykręcił numer alarmowy. Linia zajęta.

– Jezu – mruknął Will, rozłączając się i ponownie wykręcając numer. Znow powitał go monotonny sygnał zajętej linii.

Mężczyzna bezradnie rozejrzał się wokół. Theodore Cragg ważył przynajmniej sto dziesięć kilogramów. Nie było szans, by samodzielnie wsiadł do pikapa, a Will zdecydowanie nie mógł zaprowadzić go tam sam.

Will zastanawiał się, do którego ze swoich synów zadzwonić, żeby pomógł mu zawieźć Theodore'a do szpitala w Mason City. Todd mieszkał w Broken Branch, ale odciąganie go od sytuacji w szkole nie byłoby w porządku. Następny w kolejce był jego najstarszy syn, Joe. Problem polegał jednak na tym, że Joe mieszkał trzydzieści minut drogi stąd na farmie nieopodal Walton, a Will nie był pewien, czy Theodore może aż tak długo czekać na pomoc. Ostatecznie zadzwonił do swojego przyjaciela, Herba Lawsons, który obiecał mu, że sprowadzi pomoc na farmę Craggów.

Następny telefon, jaki miał wykonać Will, był trudniejszy. Wybrał numer Verny. Najlepsza przyjaciółka żony odebrała po pierwszym sygnale.

– Jakies wieści? – zapytała zdyszonym tonem.

– Posłuchaj, Verno – powiedział Will, starając się zapanować nad rozedrganym głosem. – Musisz się upewnić, że Darlene jest bezpieczna.

– Dłaczego? – spytała, nie rozumiejąc. – Co się dzieje?

– Jestem u Raya w domu. Theodore ma na głowie paskudną ranę. Powiedział, że to on mu ją sprawił. Raya nie ma w pobliżu.

– O, Boże – powiedziała Verna płacziwym głosem. – Muszę zadzwonić do Gene'a i Darlene. Mówiłam ci, że Ray jest nieobliczalny.

– Zrób tak, a ja dopilnuję, żeby Theodore trafił do szpitala. Ty też na siebie uważaj, Verno. Marlys cię potrzebuje, rozumiesz? – Will przełknął ogarniającą go falę emocji. Co jeszcze

przy niesie ten okropny dzień?

MEG

Warunki na drodze gwałtownie się pogorszyły i ledwie widzę znajdujący się przede mną krawężnik. Dochodzi szesnasta, a ja nie mam pojęcia, co dzieje się w szkole. Nagle zaczynam się denerwować, że jadę na farmę Craggów, choć oficjalnie nikogo o tym nie poinformowałam. Może skończyć się na tym, że wpadnę do rowu i zamarnię na śmierć. Cragg może być w jakimś napadzie szału i zastrzelić mnie, kiedy tylko pojawię się bez wsparcia pod jego domem. Co jeśli w szkole dzieje się coś ważnego?

Raz jeszcze próbuję połączyć się z Randallem w centrali i w końcu słyszę jego znajomy głos, nieco ochrypły po kilku godzinach nieprzerwanego mówienia.

– Cześć Randall, tu Meg. Tylko się melduję.

– Gdzie jesteś, Meg? Przez pewien czas byłaś poza zasięgiem – czepia się Randall. – Komendant cię szuka.

– Próbowałam się zgłosić – bronię się. – Ale nie mogłam się z tobą połączyć.

– Wiem – mówi Randall łagodniejszym tonem. – Nadal mamy tu chaos. Rodzice i dzieci, które nadal są w budynku, dzwonią non stop. Rodzice dopytują, co się dzieje, i zastanawiają się, dlaczego, do ciężkiej cholery, nie możemy wy dostać uczniów ze szkoły. Próbuję wyjaśniać, że potrzebujemy wolnych łącz i że będziemy podawać wszelkie nowe informacje, ale nic to nie daje.

– Mamy jakiś postęp? – pytam. Jestem około ośmiu kilometrów od farmy Craggów i zaczynają mi się pocić ręce.

– Komendant McKinney próbował nawiązać kontakt z napastnikiem przez telefon i megafon, ale facet się nie odezwał. Ale po telefonach wykonanych ze szkoły mamy mniej więcej pojęcie, które klasy nie miały absolutnie żadnego kontaktu z napastnikiem.

– Które to klasy? – pytam, czując, jak wali mi serce na myśl o klasie Marii.

– Co zaskakujące, w skrzydle, gdzie uczą się nastolatki, nikt nic nie widział ani nie słyszał. Dziewiąta klasa nie miała żadnego kontaktu z napastnikiem. Plus telefony pod 911 z nauczania początkowego, czyli od zerówki po drugą klasę, wskazują, że też są bezpieczni.

– Okej, a co z klasami od trzeciej do ósmej? – pytam, jednocześnie skręcając na zwirową drogę prowadzącą na farmę Craggów.

– To jest właśnie dziwne – mówi Randall zdezorientowanym głosem. – Na początku to stamtąd dostawaliśmy najwięcej zgłoszeń. A potem ni stąd, ni zowąd cisza. Aż w końcu rodzice uczniów i małżonkowie nauczycieli zaczęli się z nami kontaktować, mówiąc, że nie mogą się do nikogo...

– Napastnik zabrał wszystkie telefony – przerywam mu. – Faith Garrity powiedziała, że widziała w korytarzu mężczyznę, któremu wypadło kilka telefonów. Założę się, że ominął starsze klasy, bo nastolatki są trudni do opanowania, więc zebrał telefony gimnazjalistów i albo nie przejmował się już młodszymi klasami, bo najprawdopodobniej i tak nie mają komórek, albo coś mu przeszkodziło, zanim do nich dotarł.

– Brzmi sensownie – mówi Randall. – Słuchaj, lepiej zadzwoń do komendanta. On naprawdę chce z tobą porozmawiać.

– Tak zrobię. Aha, Randall, jadę teraz na farmę Craggów, więc jeśli nie odezwę się za pół godziny, to kogoś tam wyślij.

– Do cholery, Meg! Po co tam jedziesz?

– Mam pewne informacje, które muszę zweryfikować, okej?

– Okej, ale lepiej się odezwij za te trzydzieści minut. Na komórkę – przynajmniej na pewno się połączysz. I zadzwoń do komendanta – krzyczy, zanim się rozłączę.

PANI OLIVER

Pani Oliver wstała i podeszła do PJ-a, przyslaniając dłonią komórkę dzwoniącą do Cala. Tyrada PJ-a zakończyła się tak szybko, jak się zaczęła. Mężczyzna spojrział na kobietę z niedowierzaniem.

– Na swoje miejsce. I to już!

– Sprawdzam tylko, czy z dzieckiem wszystko w porządku. Zrobiłeś mi wielką przykrość.

– Nic mu nie będzie – mężczyzna zadrwił, spoglądając na PJ-a, który nadal trzymał głowę na biurku.

– To niedorzeczne – powiedziała pani Oliver donośnie i ze spuszczoną głową, starając się skierować głos w stronę telefonu. – Jak śmiesz przychodzić nieproszony do mojej klasy, w dodatku z pistoletem, i terroryzować moich uczniów bez wyraźnego powodu? Na szczęście nikomu nie stała się krzywda. I biedna Lucy. Powinieneś się wstydić za to, jak zamknąłeś ją w schowku. – Pani Oliver wiedziała, że pozwala sobie na zbyt wiele, ale najwyraźniej nie potrafiła się powstrzymać. Teraz, kiedy miała słuchaczy z zewnątrz, chciała się upewnić, że dostarczyła im tyle informacji, ile tylko mogła. – Mówiłeś, że niedługo będzie po wszystkim. Czemu to jeszcze się nie skończyło? – Pani Oliver zrobiła ostrożny krok w stronę mężczyzny. Bawiła się materiałem sukienki, starając się w naturalny sposób uchylić dzinsową kieszonkę, licząc na to, że Cal lepiej ją usłyszy.

– Siadaj – powtórzył mężczyzna niskim, groźnym tonem.

– Usiądę, ale dopiero kiedy mi powiesz, co się tu dzieje i kiedy nas wszystkich wypuścisz.

Nagle mężczyzna chwycił panią Oliver za przód sukienki, posyłając resztę tęczywych dźwięków na podłogę. Pani Oliver głośno jęknęła, bardziej przejęta tym, że ciężka praca Charlotte nad jej sukienką poszła na marne niż ze strachu.

– Siadaj i stul mordę albo strzelę tobie i wszystkim dzieciakom w łeb! – wyrzucił z siebie mężczyzna, nachylając się nad nią tak nisko, że niemal stykali się nosami. I aby potwierdzić swoje słowa, przytknął jej do skroni lufę pistoletu.

Z kieszeni rozległ się krzyk Cala.

– Evelyn, Evelyn, nic ci nie jest?

Pani Oliver zdała sobie sprawę, że może to być ostatni raz, kiedy słyży głos męża.

Mężczyzna z zaciekawieniem spuścił wzrok w stronę źródła głosu, obcesowo sięgnął do kieszeni sukienki i wyjął z niej telefon, z którego Cal wciąż bezsilnie wołał swoją żonę.

– Kocham cię, Cal – zdążyła powiedzieć pani Oliver, zanim mężczyzna wcisnął czerwoną

sluchawkę. Pani Oliver zacisnęła powieki, czując, jak napastnik przyciska jej lufę do policzka, i czekała na ogłuszający huk

AUGIE

Postanawiam nie ryzykować i nie mówić nauczycielom z nauczania początkowego, że mężczyzna z bronią znajduje się na piętrze. Kto wie, czy nadal tam jest albo czy po szkole nie biega jeszcze jeden wariat. Chyba bym umarła, gdyby komuś stała się krzywda, chociaż powiedziałam, że mogą bezpiecznie uciekać.

Biorę głęboki wdech i zaczynam wchodzić po schodach, a ponieważ zostawiłam przemoczone buty na sali gimnastycznej, chłód płytek szczy pie mnie w stopy. Nie mam pojęcia, co zrobię, kiedy stanę na górze. Nie mogę przecież zapukać do drzwi i grzecznie poprosić, żeby mi otworzono. A już szczególnie nie chcę zarobić kulki.

Będąc niemal w połowie schodów, słyszę, jak otwierają się drzwi klasy i ktoś szepcze:

– Hej, co ty wyprawiasz? – Potykam się i uderzam kolaniem o kolejny stopień. Aż muszę usiąść i je rozetrzeć. Jedna z nauczycielek klas drugich wystawiła głowę za drzwi. Przykładam palec do ust i oglądam się przez ramię, żeby sprawdzić, czy ktoś u góry nas słyszy.

– Jest bezpiecznie? – pyta. Jest młoda i w zaawansowanej ciąży. Wygląda na wycieńczoną i opiera się o framugę tak, jakby to była jedyna rzecz, która trzyma ją w pionie. Kręcę głową na nie, na co ona przygryza wargę, jakby starała się nie wybuchnąć płaczem. – Ma broń? – pyta. Potakuję. Jej oczy robią się wielkie ze strachu i rozgląda się na prawą i lewą stronę korytarza. – Wiesz, gdzie on jest? – Pokazuję w górę, nadal nie mówiąc ani słowa. – Chodź tu, schowasz się z nami – mówi nauczycielka przez zaciśnięte zęby. – Szybko, może się tu zaraz zjawić.

Kręcę głową i wstaję z miejsca. Nie spieszę się, bo się nie boję, że zacnie mnie gonić. Z łatwością ucieknę jej i jej brzuchowi wielkiemu jak piłka do kosza. – Wracaj – mówi nauczycielka trochę głośniejszym głosem i momentalnie zakrywa dłońmi usta, a po chwili szepcze: – Proszę. – Jeszcze raz kręcę przecząco głową i odwracam się do niej plecami. Powoli i cicho znów zaczynam wchodzić po schodach prowadzących do klasy PJ-a, nie wiedząc właściwie, co zrobię, kiedy przed nią stanę.

Ostatnim razem, kiedy musiałam ratować PJ-a, była noc pożaru. Byłam w moim pokoju i pisałam SMS-y do mojej przyjaciółki, Taylor. Umawiałyśmy się do kina na wieczór, kiedy przez szparę pod drzwiami dostał się do mojego pokoju zapach czosnku i zaczęło burczeć mi w brzuchu. Mama przyrządziła obiad i podsmażała warzywa na oliwie z oliwek, a PJ przy kuchennym stole malował styropianowe kulki, żeby wyglądały jak różne planety, co było częścią jego szkolnego projektu.

– Głodna, Aug? – zapytała mama, wrzucając na patelnię miskę pokrojonej cukinii.

– Jak zwykle – odezwał się PJ, zadzierając nosa.

– Masz jakiś problem? – odpyskowałam. Nie zareagował, ale nie odpuściłam. – I kto to mówi? Przynajmniej brzuch nie wystaje mi za pasek

– Zamknij się – wymamrotał PJ.

– Hej – powiedziała mama. – Oboje przestańcie. Augie, podasz mi podkładkę z szuflady?

– Czemu nie poprosisz pulpeta? – zapytałam. – Przydałoby mu się trochę ruchu.

– Ha, ha. – PJ wlepił we mnie wzrok, wstał i podszedł do lodówki, z której wyciągnął czterolitrową butlę mleka, i z hukiem postawił ją na blacie przy mamie, która mieszała cukinię. – Przynajmniej nie mam pryszczatej twarzy, przez którą ludziom chce się rzygać.

Codziennie myślę o tym, co zrobiłam potem. To była tylko styropianowa kulka. Wiedziałam, że nie zrobi mi krzywdy, nawet gdyby trafiła go w twarz.

– Zamknij się, ofiario – wrzasnęłam, rzucając kulką w jego stronę. Nie cisnęłam jej mocno, tylko zwyczajnie rzuciłam, jak do podania.

– Aha! – PJ uniósł dłonie w zwycięskim geście, kiedy kulka go nie trafiła. Zamiast niego uderzyła w otwartą butelkę oliwy, którą mama instynktownie próbowała złapać, zanim upadła na ziemię. Widziałam, jak gęsty, żółty olej tryska z butelki na ręce, bluzkę, a nawet włosy mamy. PJ nadal się ze mnie śmiał, kiedy mama poślizgnęła się na oliwie, która skapnęła na podłogę. Próbując złapać równowagę, chwyciła się blatu, wyrzuciła patelnię z cukinią na ziemię i oblała się jeszcze większą ilością oliwy. Wszystko zdarzyło się tak szybko, jej rękaw ledwie musnął palnik, ale kiedy to się stało, płomienie momentalnie wspięły się po jej ramionach niczym uciekający owad. Nadal widzę jej twarz, na moment zanim ogień zajmie jej włosy. Jej usta zamarły wtedy w zaskoczeniu, układając się w idealne kółeczko cheerios, ale to jej oczu nigdy nie zapomnę. Ten szok, to spojrzenie mówiące „niemożliwe, że to dzieje się właśnie mnie”.

Ogień objął wszystko, na co połała się oliwa, jak domino – sterta gazet leżących na blacie, brzeg zasłonek, kuchenne szafki. Mama instynktownie podbiegła do zlewu i starała się ugasić ogień, polewając dłonie i twarz wodą, ale wtedy przypomniałam sobie, czego się nauczyłam podczas jedynego roku spędzonego w harcerstwie. Olej i woda się nie łączą. Mąka. Porwałam pojemnik w kształcie koguta, który moja mama przywiozła w zeszłym roku z Phoenix z wymiany wyposażenia domowego, zrzuciłam pokrywę i zaczęłam obrzucać ją mąką. Biały pył pokrył jej twarz i zgasił płomienie, które pochłonęły włosy na lewej połowie głowy i całkiem spaliły lewe ucho. Prawie zwymiotowałam, czując zwęgloną skórę, ale nadal próbowałam zasypać mąką prawą rękę trawioną przez ogień.

– Tarzaj się po podłodze! – wrzasnął PJ. Mama padła na kolana i zaczęła tarzać się po podłodze, aż cały ogień zgasł. Zasłony i szafki wciąż płonęły, a pomieszczenie i moje płuca wypełnił ciemny dym. Mama wstała i krzyczała za PJ-em, który nagle zniknął. Obiecałam go znaleźć i popchnęłam ją w stronę drzwi.

Teraz znowu szukam PJ-a i próbuję zabrać go w bezpieczne miejsce. Przynajmniej tym razem to nie moja wina.

PANI OLIVER

Pani Oliver cieszyła się przynajmniej, że miała szansę powiedzieć Calowi, że go kocha, ale było jej wstyd, że swoimi czynami być może odebrała swoim uczniom tę możliwość. Spodziewała się, że wystrzał będzie głośniejszy. Jedyne co usłyszała to nagłe uderzenia. Niczego nie poczuła. Czyżby postrzałowa rana była cudownie bezbolesna? – pomyślała. Pani Oliver ośmieliła się otworzyć oczy i w przestrzeni pod ramieniem mężczyzny zobaczyła, jak drzwi klasy otwierają się. Lufa przestała uciskać jej policzek, a ciszę przeszył jakiś głos.

Parkuję przy ścieżce, która prowadzi do domu Craggów, i wyłączam światła. Muszę się upewnić, że mogę stąd szybko odjechać, jeśli będzie trzeba. Zauważam, że śnieg, który pokrywa ścieżkę, jest udeptany, co daje mi nadzieję, że w ciągu ostatniej godziny ktoś tędy przejeżdżał. Na podjeździe stoi oprószone świeżym śniegiem pikap, ale to niewiele znaczy. Większość farmerów ma kilka samochodów na swój użytek, a Cragg mógł już gdzieś dziś jechać. Samochód mógł też należeć do ojca Raya, który wbrew zdrowemu rozsądkowi nadal prowadził.

W domu Craggów nie pali się światło, ale na stopniach ganku siedzi kudłata labradorka i trzęsie się z zimna. Świetnie. Wygląda dość przyjaźnie, ale i tak otwieram schowek w aucie, żeby wyciągnąć kilka psich przysmaków, które wożę ze sobą właśnie na takie okazje. Na mój widok suczka uderza ogonem w ganek, a ja łamię na pół psie ciasteczko i rzucam jej kawałek. Połyka je w całości i patrzy na mnie wyczekująco, domagając się dokładki.

– Chwila, malutka – mówię i staję koło niej na schodach. Craggowie mają piękny, jednopiętrowy dom z czarnymi okiennicami. Pod nimi znajdują się wiszące donice, które, jak podejrzewam, w ciepłe miesiące kipią bratkami i geranium, teraz jednak po brzegi pełne są śniegu. Daję psu chwilę, aby mnie obwąchał, i kiedy mam pewność, że nie zaatakuję, naciskam dzwonek. Nasłuchuję dźwięków z wewnątrz, ale nie słyszę nic oprócz wycia wiatru i psiego sapania. Otwieram siatkowe drzwi i walę pięścią w grube dębowe drzwi. Nic.

– Gdzie on jest? – pytam labradorkę, jakby była w stanie mi odpowiedzieć. Skoro jednak nie odpowiada, podchodzę do najbliższego okna. Staję na paluszkach, aby zerknąć do środka. W salonie jest ciemno, na zakurzonej stoliku kawowym leży kilka puszek po napojach i butelek po piwie. Wnętrze domu nie wygląda na obszar kłęski żywiolowej, ale na pierwszy rzut oka widać, że nie mieszka tu kobieta.

Podchodzę do bocznego wejścia i widzę, że choć siatkowy ekran jest zamknięty, wewnętrzne drzwi są uchylone.

– Zostań – mówię do psa i wchodzę do kuchni. Na podłodze rozmazana jest jakaś czerwona ciecz. Od razu myślę, że to zasychająca krew, więc wyciągam z kabury pistolet. Idę w stronę pomieszczenia, które wygląda mi na domowe biuro, ale moje oczy wędrują do gabloty z bronią w rogu pokoju. Chwytam za metalową rączkę i z łatwością ją otwieram. Gablota mieści kilka strzelb, wszystkie we właściwych zagłębieniach z zielonego aksamitu. Moją uwagę zwraca jedno puste miejsce. Nie jest duże, wystarczyłoby na mały rewolwer.

– Jezu – mamroczę pod nosem. – To naprawdę Ray Cragg.

– Chyba masz rację – odzywa się głos za moimi plecami, na co odwracam się z uniesioną bronią i trzymając palec na spuście, obieram cel.

WILL

– Nie strzelaj! – zawołał Will, kiedy zobaczył, jak sierżant Barrett mierzy do niego z broni.

– Cholera jasna – krzyknęła, łapiąc się za pierś wolną dłonią. – Świetny sposób, żeby dać się zabić.

Will podparł się o biurko dla równowagi, zostawiając odciski palców w kurzu i czując, jak serce wali mu jak młotem.

– Przepraszam – wydusił z siebie zdyszany. Miał nadzieję, że nie umrze na zawał serca po tym, jak uniknął śmierci od kuli.

– Co pan tu, do cholery, robi? – warknęła policjantka jadownicie, drżącymi dłońmi wkładając pistolet z powrotem do kabury.

– Verna Fraise martwiła się o swojego zięcia. Wiedziałem, że wy jesteście zajęci tym, co dzieje się w szkole, więc przyjechałem sprawdzić co i jak – wyjaśnił Will, zdając sobie sprawę, kiedy już wypowiedział te słowa na głos, jak głupio postąpił, przyjeżdżając tu. Wziął drżący oddech i mówił dalej. – Znalazłem tam Theodore’a Cragga całego we krwi. – Pokazał dłoń na łazienkę. – Powiedział, że syn mu to zrobił.

Funkcjonariuszka kazała Willowi się odsunąć i weszła do łazienki. Theodore Cragg siedział oparty o ścianę, ledwie przytomny, z zakrwawionym ręcznikiem przy czole.

– Syn to panu zrobił? – zapytała Barrett, a Theodore półprzytomnie pokiwał głową. Zwróciła się do Willa: – Wezwał pan karetkę?

Will pokręcił głową.

– Próbowałem kilka razy. Nie mogłem się dodzwonić na numer pogotowia. Pewnie linie zajmują rodzice, którzy chcą się czegoś dowiedzieć. Albo może śnieżycą zerwała linie telefoniczne. Dodzwoniłem się za to do Herba Lawsons. Miał tu sprowadzić jakąś karetkę.

– Widział pan Ray’a?

– Nie. Ale sprawdzałem tylko na dole. Nie zaszedłem na górę ani do zagrody.

– Szybko zerknę na górę. Niech pan dalej dzwoni na pogotowie – kazała i zniknęła.

MEG

Kiedy już sprawdziłam piętro domu Craggów i przyjechała karetka, żeby zabrać Theodore'a do szpitala, wychodzę na zewnątrz. Labradorka wtula nos w nogawkę moich spodni. Daję jej drugą połówkę ciasteczka i sprawdzam imię na obroży. Twinkie.

– Jak myślisz, Twinkie? – pytam. – Gdzie szukamy dalej? W wielkiej i strasznej oborze po prawej stronie czy w wielkiej strasznej oborze po lewej? – Przejeżdżam ubraną w rękawiczkę dłonią niesforną sierść psa i kieruję się w stronę mniejszego z zabudowań. Zerkam na zegarek. Mam pięć minut, zanim będę musiała zadzwonić do Randalla. Przyspieszam kroku, ciesząc się, że założyłam sięgające kolana śniegowce. Silny, mroźny wiatr pcha mnie w stronę czerwonej, chylącej się budowli, więc zaczynam biec w stronę drzwi obory z Twinkie na czele, która zatrzymuje się co kilka metrów, żeby sprawdzić, czy nadążam. Dobiega do obory na długo przede mną i zaczyna skomleć i drapać w drzwi. Staram się biec szybciej, ale śnieg jest głęboki, bołą mnie nogi i mam wrażenie, że pierś zaraz mi eksploduje.

Twinkie patrzy na mnie pełnymi żalości oczami i dopadają mnie ze przecucia. Powoli ciągnę za uchwyt w drzwiach, które otwierają się odrobinę, zanim oprą się na wielkiej muldzie zawianego śniegu. Kopię w nią parę razy, aż w końcu uchylam drzwi na tyle, że Twinkie wciska się do środka. Od razu zaczyna szczekać, gwałtownie i rozpaczliwie. Znow patrzę na zegarek. Dwie minuty, zanim Randall wezwie posiłki.

– Policja! – wołam. Nic, tylko ujadanie psa. – Policja! – wołam jeszcze raz, tym razem głośniejsz, ale moje słowa znow zagłusza szczekanie. – Cicho! – krzyczę i Twinkie momentalnie milknie, wychodzi na zewnątrz i staje przy nodze. – Siad – każe jej, a ona słucha. Odkopuję jeszcze trochę śniegu i w końcu mogę w pełni otworzyć drzwi. Z bronią w pogotowiu zerkam do obory. Nos wypełnia mi zatęchły zapach siana, a w powietrzu wirują drobinki kurzu.

Wchodzę do środka, rozglądam się po pogrążonym w półmroku wnętrzu i zatrzymuję się nagle, widząc, co mam przed sobą. Opuszczam broń, wyciągam komórkę i dzwonię do Randalla.

AUGIE

Dochodzę na górę i widzę Beth, która stoi przed klasą PJ-a. Jej długie, brązowe włosy wysuwały się z kucyka i wygląda, jakby płakała. Próbuję zwrócić na siebie jej uwagę, machając rękami, ale mnie nie zauważa. Dwa razy puka w szklaną szybkę w drzwiach, jednocześnie przekręcając gałkę i wchodzi do środka.

– Tato? – mówi. – Nie rób tego, proszę.

MEG

– Jezu, Meg! – mówi Randall z ulgą. – Już miałem dzwonić do komendanta. Chyba by mnie wykastrował, gdyby ktoś musiał jechać cię szukać.

– Randall. – Próbuję mu przerwać.

– Jak możesz mnie tak straszyć? Mam już wystarczająco dużo stresów jak na jeden...

– Randall – mówię bardziej stanowczo. – Ray Cragg zrobił sobie dziewięćmilimetrowe trzecie oko. Potrzebuję Freda. – Fred to nasz koroner.

Po drugiej stronie słuchawki zalega cisza.

– Randall? – Nadal żadnej odpowiedzi. – Randall! – mówię ostro. – Skup się. Potrzebuję koronera na farmę Craggów.

– Zadzwoń do Freda, ale ty musisz zadzwonić do komendanta.

– Dobrze. – Kończę rozmowę i podchodzę do siedzącego ciała. Ray Cragg, nogi rozstawione, głowa przechylona do przodu. Nachylam się, żeby lepiej się przyjrzeć temu, co pozostało z twarzy Raya. Jej dolna część nie istnieje. Oczy, choć pozbawione życia, są otwarte szeroko, jak gdyby zaskoczone, że Ray zrobił samemu sobie coś tak okropnego. Że zrobił coś takiego swojej rodzinie. Rozbryzgana krew i tkanki oblepiły bale siana, o które się opiera, i myślę sobie w duchu, że to dobrze, że ja go tu znalazłam. Ten okropny widok zostanie przy najmniej oszczędzony jego rodzinie. Aż się wzdrygam na myśl, że mogła go tak znaleźć jedna z jego córek. Słyszę za sobą kroki i szybko się odwracam.

– Nie wchodzić! – krzyczę.

Odgłosy stóp nagle milkną i widzę Willa Thwaite'a, który stoi za mną w drzwiach stodoły, trzymając Twinkie za obrozę.

– Jezu – mówi ochryple na widok groteskowej postaci za moimi plecami.

– Proszę poczekać na zewnątrz, panie Thwaite – mówię łagodnie. – Zaraz do pana przyjdę.

PANI OLIVER

– Beth? – odezwał się cieniutki głosik z tyłu sali. Pani Oliver odwróciła się, choć mężczyzna nadal mocno trzymał ją za ramię. Natalie Cragg patrzyła na swoją starszą siostrę z zaskoczeniem. Ogonek warkocza dziewczynki był cały mokry od nerwowego ssania.

– Jezu Chryste – powiedział mężczyzna z rezygnacją. – Co to jest, do cholery, za miasto? Ktoś tu w ogóle wie, kto jest jego ojcem? – Beth stanęła jak wryta, patrząc to na swoją siostrę, to na napastnika. Mężczyzna puścił panią Oliver i odepchnął ją, powodując, że padła na ziemię, uderzając się o żelazny kaloryfer pod oknem. Od biodra wzdłuż nogi poczuła ostry ból. Mężczyzna złapał Beth za kocyki i nieostroźnie machając wokół pistoletem, zmusił ją, by uklęknęła.

– Kto tam jeszcze jest? – zapytał.

– Nikt, t-t-tylko ja – wykrzusiła Beth. – Myślałam... Myślałam, że...

– Nie jestem twoim pieprzonym ojcem – rzucił mężczyzna, szarpiąc dziewczynę za włosy, na co Beth zaczęła jęczeć ze strachu. – Lepiej, żebyś nie kłamała. – Oddychał ciężko i przybrał groźną minę.

– Nie kłamię – zapewniła go rozpaczliwie Beth.

Pani Oliver widziała, że sytuacja wymyka się spod kontroli, i pokuśtykała z powrotem w stronę mężczyzny.

– Nie widzisz, że jest przerażona? – zapytała. – Spójrz tylko na nią. – Oczy mężczyzny jakby nieco się przejaśniły. Puścił włosy Beth, a dziewczyna padła na ziemię, skuliła się w sobie i rozplakała. Pani Oliver nachyliła się nad nią i kojącym głosem szepnęła jej do ucha. – Idź do Natalie, Beth. Wszystko będzie dobrze. Zobacz – Czule odgarnęła włosy ze spoconego czoła dziewczynki. – To nie jest twój ojciec. Idź teraz i usiądź z siostrą. – Beth pokiwała głową, nie przestając płakać i poszła do siostry na koniec sali.

W pani Oliver wezbrał pałacy gniew. Wyprostowała się, próbując ignorować klujący ból w biodrze i odwróciła do napastnika.

– Jeszcze raz tkniesz kóreś z tych dzieci... – Zanim zdołała dokończyć zdanie, mężczyzna się zamachnął. Ostatnią myślą, jaka zaświtała pani Oliver, zanim mężczyzna uderzył ją w głowę, było to, że po raz kolejny Cal miał rację – „najprostszym sposobem, aby zachować twarz, jest trzymać jej dolną część zamkniętą”.

MEG

Koroner, Fred Ramsey, mieszka jedynie dwadzieścia minut drogi od Broken Branch i powinien być tu lada moment. W pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby naruszyć ciało, wracam więc przez śnieg do mojego auta z Twinkie drepzczącą mi po piętach, żeby zagrząć się w samochodzie. Wpuszczam suczkę na tylne siedzenie, w pełni świadoma, jak mi się oberwie za ten akt dobroci, ale nie mogę zostawić jej na mrozie. Temperatura spada z minuty na minutę, a wiatr znacznie się wznógł. Jest teraz pewnie poniżej zera i mogę sobie jedynie wyobrazić, jak logistycznie trudna musi być sytuacja w szkole. Wyciągam ze schowka torbę pełną psich ciasteczek i daję je wszystkie Twinkie, która momentalnie się z nimi rozprawia, po czym zwija się w złoty kłębek i zamyka oczy. Chciałabym zrobić dokładnie to samo.

Robię notatki na temat znalezienia ciała Raya Cragga, bo wewnątrz auta jest w końcu na tyle ciepło, żebym mogła zdjąć rękawiczki. Czuję też w końcu palce u stóp. Nagle mój telefon zaczyna wibrować. Mam nadzieję, że to Maria, ale na wyświetlaczu pojawia się imię Stuarta. Ciekawość bierze górę, więc odbieram.

– Tak, Stuart? Jestem bardzo, bardzo zajęta.

– Cześć, Meg – szepcze Stuart. – Dwa szybkie pytania...

– Bez komentarza i bez komentarza – odpowiadam znużonym głosem.

– Ha. Świetny żart. Ale poważnie. Jeśli wolisz, to rozmawiamy tylko między nami – mówi cicho.

– Och, wołę – odpowiadam, wściekła na siebie, że znów daję się wciągnąć w jego gierki. – Czemu szepczesz, Stuart?

– Nie chcę, żeby Bricker podsłuchiwał naszą rozmowę. Zawsze podbiera mi tematy. Pytanie pierwsze. Tęsknisz za mną?

– Co słychać u twojej żony, Stuart? – odburkuję.

– Okej, przepraszam. U niej wszystko dobrze.

– Miło to słyszeć. Wykorzystałaś pierwsze ze swoich pytań.

– Mam przeczucie, że jeszcze nie słyszałaś tych wiadomości. – Stuart waha się, jakby dalsze prowadzenie tej rozmowy nie było jednak takim dobrym pomysłem.

– No mów, Stuart.

– Słyszałaś o swoim byłym mężu?

Nagle siadam prosto. Widzę, jak ku farmie Craggów jedzie jakiś pojazd, jego światła są ledwie widoczne wśród bieli śniegu.

– Co z Timem? Nic mu nie jest?

– O to właśnie chodzi. Nikt nie wie, gdzie on jest. Moje źródła mówią mi, że na policję w Waterloo zgłoszono właśnie jego zaginięcie.

Zupełnie nie rozumiem. Gdzie może być Tim? To nie w jego stylu tak nagle wyjechać, zwłaszcza kiedy pod opieką ma Marię.

– Meg – mówi łagodnie, czule, jakby nadal mu na mnie zależało. – Moje źródło zasugerowało, że może – ale to tylko hipoteza – to on jest napastnikiem w szkole.

– To się nie trzyma kupy – mówię na głos, zanim przypomnę sobie, że rozmawiam z dziennikarzem – dziennikarzem, którego, jak kiedyś sądziłam, mogłabym kiedyś pokochać, ale któremu zdecydowanie nie mogę ufać. – Bez komentarza – mówię i się rozłączam. Jeśli się dowiem, kto jest źródłem Stuarta, to sama go aresztuję.

Kiedy białe SUV podjeżdża bliżej, poznaję za jego kierownicą Freda Ramseya. Tuż za nim podąża drugi samochód, który wygląda mi na radiowóz z biura szeryfa hrabstwa Stark.

Stopy mam ciężkie jak z ołowiu. Nadal jestem w szoku po tym, co usłyszałam od Stuarta. Tim miałby być napastnikiem w szkole Marii? Nie ma mowy. Stuart chce się na mnie odegrać. Niechętnie wysiadam z auta i witam się z mężczyznami.

– Cześć, Fred – mówię. – Dzięki, że tak szybko przyjechałeś. Ciało jest tam, w oborze. – Zaczynam prowadzić Freda w jej stronę, kiedy z radiowozu wysiada zastępca szeryfa. To dość nietypowe, aby miejscem zbrodni zajmował się funkcjonariusz z innego hrabstwa. Próbuję sobie wmówić, że to przez wyjątkowy dzień i wyjątkowe okoliczności, ale w całym ciele czuję pulsujący strach.

– Sierżant Barrett? – mówi oficjalnie. Potakuję. – Zastępca szeryfa Robert Hine z komisariatu hrabstwa Stark Asystujemy waszej jednostce ze względu na zdarzenia w szkole. Komendant zlecił mi przejęcie tej sprawy, aby mogła pani wrócić do Broken Branch.

– Powiedział dlaczego?

– Nie, jedynie, że ma się pani zgłosić w centrum dowodzenia pod szkołą.

Wsiadam z powrotem do auta i trzęsącymi się dłońmi wrzucam bieg. Słyszę, jak Twinkle ziewa na tylnym siedzeniu. Zapomniałam o biednej psinie. Nie mam czasu zabrać jej do schroniska ani do Darlene Cragg bez tłumaczenia, dlaczego w ogóle ją mam.

Na szczęście śnieg przestał padać, ale wiatr nie ustał, co bardzo utrudnia widoczność. Próbuję dodzwonić się do Tima na komórkę, ale od razu włącza się poczta.

– Tim – mówię – zadzwoń do mnie, proszę, od razu, kiedy to odsluchasz.

Dzwonię do matki Tima, Judith, mając nadzieję, że wie coś więcej, ale też nie odpowiada. Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do Marii, ale nie wiem, ile ona wie. Nie chcę jej martwić ani denerwować.

Wiem, że to nie Tim wtargnął do szkoły. Nie ma ku temu powodu, nie posiada broni i nie byłby do tego zdolny. Intruzem na pewno nie jest człowiek, którego byłam żoną.

Choć nie chcę, wybieram numer komendanta McKinneya.

WILL

Will myślał, że ugrzęźnie na farmie Craggów na długie godziny, relacjonując zastępcy szeryfa, jak to się stało, że znalazł się w ich domu, odszukał Theodore'a, i jak to doprowadziło do odkrycia samobójstwa Raya. O dziwo, funkcjonariusz spisał jedynie jego zeznanie, wziął od niego dane kontaktowe i puścił go wolno.

Postanowił pojechać na farmę, by sprawdzić, jak Daniel daje sobie radę i jak idzie cielenie. Przy najlepszej pogodzie zdarzały się komplikacje przy porodach, ale w tych warunkach mogły się one okazać śmiertelne. Wiedział, że powinien wrócić do kawiarni, ale na samą myśl o beczynnym czekaniu cierpła mu skóra. Farma Craggów znajdowała się jedynie kilka minut od domu, ale na drogę co chwilę wiatr nawiewał tumany śniegu, co zmniejszało widoczność. Kiedy Will zbliżał się do swojej farmy, zobaczył mrugnięcie świateł zbliżającego się samochodu. Daniel. Do swojego pikapa miał przypiętą przyczepę na bydło. Oba pojazdy zatrzymały się i Will opuścił szybę. Mróz nie odpuszczał i wystarczyła tylko chwila, aby Will znów był całkiem przemarznięty.

– Jadę do doktora Nevary. 421 ma komplikacje i chyba będzie potrzebne cesarskie cięcie – wyjaśnił Daniel. – Herb Clemens pilnuje reszty bydła, więc nie masz się o co martwić.

Will poczuł ogromną wdzięczność wobec swoich przyjaciół i sąsiadów. Zawsze mógł na nich liczyć. Czy potrzebował pomocy przy sianiu kukurydzy, czy cieleniu się krów, zawsze służyli wsparciem.

– Pojadę za tobą do weterynarza, a potem wrócę do Lonniego. – Will zamilkł, nie wiedząc, czy powinien powiedzieć Danielowi o samobójstwie Raya Cragga. To może poczełać – pomyślał. Lepiej, żeby Verna i Darlene dowiedziały się o tym przed resztą miasteczka.

Will zawrócił pikapa, uważając, aby nie zjechać w zasypany śniegiem rów na poboczu, i pojechał za Danielem po drodze stanowej, która prowadziła do kliniki doktora Nevary na zachodnich obrzeżach Broken Branch.

Gdyby nie Daniel, Will nie zauważyłby czarnych opon i srebrnych kołpaków samochodu leżącego w rowie na dachu, niemal całkiem zasypanego śniegiem.

Obaj mężczyźni wysiedli z aut. Miejscami śnieg sięgał po kolana, w innych ziemia była goła. Razem odgarnęli rękami śnieg z szyby po stronie kierowcy przewróconego samochodu w nadziei, że zobaczą, czy ktoś jest w środku. Daniel przycisnął twarz do szyby, próbując osłonić dłońmi oczy przed blaskiem śniegu.

– W środku jest człowiek – potwierdził Daniel, sięgając do kieszeni po telefon. – Nie rusza się.

Podczas gdy Daniel próbował wezwać pomoc, Will zajrzał do samochodu. Mężczyzna siedział do góry nogami przytrzymywany w miejscu przez pas bezpieczeństwa. Z nosa skapywała mu krew, a jedna noga zwisała pod dziwnym kątem. Will starał się uspokoić ciężki oddech, aby skupić się na torsie mężczyzny, licząc na to, że uda mu się zobaczyć, czy oddycha. Po chwili zauważył delikatne unoszenie się i opadanie piersi kierowcy. Żył.

– Chcą wiedzieć, czy żyje – krzyknął Daniel, próbując przekrzyczeć wiatr.

– Żyje – potwierdził Will. – Jest nieprzytomny i chyba ma złamaną nogę.

– Przyjadą tak szybko, jak tylko się da – powiedział Daniel, kiedy się rozłączył. – Przyślą pomoc drogową z miasta i karetkę z Conway. Rozpoznajesz go?

– Nie – odpowiedział Will. – Ale trudno powiedzieć. Jest w dość ciężkim stanie. Miejmy nadzieję, że karetka nie przyjedzie za późno.

AUGIE

Widzę, jak Beth znika w klasie, i próbuję sobie wyobrazić, jakie to uczucie wierzyć, że twój ojciec mógłby cię na tyle kochać, żeby uciec się do sterroryzowania klasy pełnej dzieci. Wtedy do głowy wpada mi kolejna myśl, na którą zaczyna mi się robić niedobrze. Może to dlatego, że jej ojciec tak bardzo nienawidzi jej matki. Może próbuje się w ten sposób na niej odegrać. Czy zastrzeliłby swoją córkę z nienawiści do żony? Czasem słyszy się o takich przypadkach: o kobiecie, która udusiła swoje sześciolatek dziecko za to, że pyskowało, albo która utopiła ośmiomiesięczne dziecko w wannie, albo o ojcu, który zastrzelił całą swoją rodzinę i podpalił dom.

Kolana mi miękną na tę myśl i po raz pierwszy tego dnia naprawdę się boję. Czuję strach, który wydaje się jak węzeł, który rośnie i rośnie ci w piersi, aż wypełnia całą klatkę, i brak ci miejsca na tlen. Taki sam strach czułam w dzień pożaru. Ten strach ma swoje źródło w świadomości, jak łatwo i jak mocno możemy kogoś zranić.

Wiem, że nie mogę wejść do tej klasy. Byłam głupia, myśląc, że sama wyciągnę z niej PJ-a. Facet z pistoletem pewnie i tak nie puściłby nas wolno. Co niby miałabym powiedzieć? „Przepraszam, ale zbliża się czas kolacji i musimy już jechać do domu”. Pewnie zaczęłyby się śmiać, kazałyby mi siadać i stulić pysk. Może nawet by mnie zastrzelił.

Dochodzę do wniosku, że najlepiej pomogę PJ-owi i wszystkim w tej sali, jeśli po prostu siądę na zewnątrz i będę nasłuchiwać. Może usłyszę coś, co pomoże policji. Skradam się na palcach po korytarzu i chowam we wnęce pod kranikiem z wodą, który znajduje się tuż przy klasie PJ-a. Opieram się o zimną ścianę i podciągam kolana pod brodę, starając się skulić najbardziej, jak mogę. Miejmy nadzieję, że bandycie nie zachce się wody i nie znajdzie mnie tu, gdy przyjdzie się napić.

PANI OLIVER

To nie silny, pulsujący ból w szczęcie obudził panią Oliver, choć bez wątpienia miał taką zdolność. To dzieci i ich dobro, jak zawsze, wyrwało panią Oliver z miazmatów półświadości i zmusiło ją, by podniosła się z ziemi i siadła w pustej ławce. Bez dwóch zdań, mężczyzna tracił nad sobą panowanie – to, jak chwycił siostrę Natalie Cragg, to, jak uderzył ją samą pistoletem – i pani Oliver wiedziała, że nie może zostawić swoich uczniów sam na sam z nim. Była ledwie świadoma mokrego ciepła, które spływało jej po policzku i dalej, po szyi. Niepewnie dotknęła twarzy i nie była zaskoczona, gdy odsunąwszy palce od policzka, zobaczyła, że pokrywa je krew.

– Nic mi nie jest – próbowała powiedzieć uczniom, ale miała wrażenie, jakby jej szczęka została zdjęta z zawiasów i z jej ust wydobył się jedynie brzęczy optymistycznie, lecz zupełnie niezrozumiały bełkot. Rozejrzała się po klasie w poszukiwaniu czegoś, w co mogłaby wytrzeć palce klejące się od krwi, lecz ostatecznie, z przygnębieniem, wytarła je w dżinsową sukienkę. Okiem, które nie było całkowicie zapuchnięte, pani Oliver zauważyła, że jej uczniowie, wliczając w to Beth Cragg, patrzą na nią z niepokojem, na co uśmiechnęła się do nich krzywo i uniosła kiuk w górę. Mężczyzna spojrział na nią z miną wyrażającą irytację i podziw jednocześnie. Pewnie myślał, że nie jest już dla niego żadnym zagrożeniem, bo zostawił ją tam, gdzie siedziała, i przyłożył telefon do ucha. Pani Oliver skupiła się na tym, by się nie przewrócić, i na jej brutalnie zakończonej rozmowie z Calem. Na pewno poinformuje policję o tym, co słyszał. Lada chwila funkcjonariusze wpadną do klasy, a wykształcony snajper pośle w kierunku mężczyzny kulę, która rozbije szybę na kawałki i przebijie na wy lot czoło napastnika.

Pani Oliver zostanie przewieziona do szpitala, ale dopiero wtedy, gdy wszyscy uczniowie zostaną przekazani ich rodzinom. Cał będzie już tam na nią czekał. Nachylił się nad szpitalnym łóżkiem, uśmiechnie do żony i powie, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. Dokładnie tak samo jak wiele lat temu, po jej pierwszym w życiu porodzie. Jedną ręką Cał ujmował jej spuchnięte palce, w drugiej zaś, w zagłębieniu łokcia, trzymał dziecko George'a.

Ku jej zaskoczeniu, pani Ford zachęcała Evelyn do dalszych spotkań z Calem.

– Evelyn – powiedziała niedługo po koszmarnym obiedzie, podczas którego dziewczyna uciekła do swojego pokoju. – Wiesz, że nie ma nic złego w byciu szczęśliwym, prawda?

– To znaczy?

– George chciałby, żebyś była szczęśliwa. – Podbródek pani Ford trząsł się z emocji. – Chciałby, aby jakiś dobry, troskliwy człowiek pomógł wychować jego dziecko.

Evelyn kręciła głową z boku na bok, próbując pozbyć się z głowy tej myśli. To wydawało się

zbyt okrutne, za wcześnie.

– No już, Evelyn – odezwała się pani Ford. – Gołym okiem widać, że Cal Oliver za tobą szaleje. Jesteś młoda i masz przed sobą całe życie.

– Ale ja nadal kocham George’a – powiedziała Evelyn cichym, zranionym głosem.

– Oczywiście, że kochasz – odparła pani Ford, otaczając swoją synową ramieniem. – I to się już nigdy nie zmieni. To jest właśnie takie wspaniałe w ludzkim sercu: jest w nim miejsce na różne rodzaje miłości.

Evelyn nie potrafiła odpowiedzieć, nie umiała wytłumaczyć tego, jak bardzo czuła się oddana George’owi, a mimo to, jak przebiega przez nią iskra radości za każdym razem, gdy widzi Cal’a.

– Obiecuj mi jedno, Evelyn – powiedziała łagodnym tonem pani Ford. Evelyn skinęła głową i westchnęła. – Opowiadaj dziecku o George’u. Opowiadaj mu... albo jej – poprawiła się pani Ford – że jego ojciec był kochanym chłopakiem, który uwielbiał liczby i colę. Że był mądry i lubił się wygłupiać. I że umarł w słusznej sprawie, daleko od domu. – Evelyn czuła, jak czubek jej głowy robi się mokry od łez pani Ford i jeszcze mocniej wtuliła się w objęcia starszej kobiety.

– Opowiem mu – powiedziała Evelyn, bo była przekonana, że nosi w sobie chłopca. – I pani też mu opowie.

Evelyn i Cal pobrali się kilka tygodni po tym, jak Evelyn urodziła Georgianę Elizabeth Ford. Była zaskoczona, kiedy lekarz powiedział jej, że urodziła śliczną i zdrową dziewczynkę, ale uczucie to szybko zatarła głęboka wdzięczność. Zdziwiająco, że ta maleńka istotka o różowej buźce pojawiła się na świecie, zanim jeszcze minął rok, odkąd jej ojciec go opuścił. Co za dar – powtarzała sobie Evelyn. I jakby Cal czytał jej w myślach, spojrział na nie obie, a potem w górę.

– Będę się o nie bardzo troszczył – szepnął. – Obiecuję.

MEG

– Meg, do jasnej cholery – syczy komendant przez telefon. – Gdzieś ty się podziewała?
Wiem, że muszę się streszczać.

– Miałam powody wierzyć, że napastnikiem w szkole jest Ray Cragg. Pojechałam zbadać sprawę i znalazłam go na ziemi z raną postrzałową głowy. – Gładzę Twinkie po boku, czekając na odpowiedź McKinneya.

– Czyli Ray Cragg nie żyje? – pyta cicho komendant.

– Tak, nie ma wątpliwości, że to samobójstwo. Ray napadł też na swojego ojca, Theodore'a. Karetka właśnie zabrała go do szpitala. – Twinkie patrzy na mnie pełnymi żalu brązowymi oczami. Ray Cragg stracił wszystko – żonę, dzieci, życie – ale jego pies nadal go kochał.

Komendant ciężko wzdycha.

– Ten dzień nie przestaje zaskakiwać. Zastępca szeryfa przyjechał na miejsce, żeby cię zastąpić?

– Tak jest na miejscu. Powiedział, że mam natychmiast jechać do szkoły.

– Tak, spiesz się, ale jedź ostrożnie.

Waham się przez chwilę, zanim znów się odezwę.

– Komendancie, czy przez skaner radiowy mówiono coś o moim byłym mężu?

Cisza. To nie jest dobry znak.

– Porozmawiamy, jak przyjedziesz na miejsce – mówi w końcu.

– Chyba komendant nie myśli...

– Po prostu przyjedź, Meg – odpowiada strapiony komendant.

WILL

Will próbował wytrwać obok przewróconego na dach samochodu, na wypadek gdyby uwięziony w środku mężczyzna się obudził, ale mróz zagnał go do własnego auta. Kazał Danielowi ruszać w drogę, żeby dotarł do weterynarza, zanim krowa urodzi. W obliczu zdarzeń tego dnia życie krowy i jej cieląt zdawało się nie mieć takiego znaczenia, nie w porównaniu z życiem wnuków i synowej Willa.

Will postanowił skorzystać z okazji i zadzwonić do Marlys. Obiecał informować ją co godzinę, ale przez tragedię na farmie Craggów się zapomniał.

– Jakież wieści? – zapytała Marlys na powitanie.

– W szkole nic nowego – odpowiedział Will i skręcił ogrzewanie w samochodzie, żeby lepiej słyszeć żonę.

– Ale... – zaczęła Marlys.

– Ray Cragg popełnił samobójstwo.

– Nie! – krzyknęła Marlys. – Biedne dzieci.

– Tak a teraz siedzę na drodze międzystanowej i czekam na pomoc drogową, bo jakiś człowiek wpadł do rowu, dachując. – Will przycisnął palce do skroni. Czuł nadsięgającą migrenę.

– Tak mi przykro – odparła Marlys kojącym tonem.

– Cóż, jestem przynajmniej w lepszym stanie niż Ray i ten facet w fordzie. – Will próbował nieco rozchmurzyć ton głosu. Marlys miała już wystarczająco dużo zmartwień na głowie, nie musiał dodawać jej nowych. – Jak się czuje Holly? Wie o tym, co się tu dzieje?

– Nie, ale nie podoba mi się, że muszę to przed nią ukrywać – powiedziała zaciekle. – Holly popełniła wiele błędów, ale jest dobrą matką dla Augie i PJ-a, i kocha ich nad życie.

– W takim razie może powinniśmy jej powiedzieć? – zapytał Will. – Chcesz, żebym z nią porozmawiał?

Marlys milczała przez chwilę.

– Poczekajmy jeszcze. Holly nie może się doczekać jutrzejszego spotkania z dziećmi. Nie chcę jej rozczarować. Na miłość boską, Will, ilu nieszczęść może doświadczyć jedna osoba? To po prostu musi się dobrze zakończyć – stanowczo powiedziała Marlys.

– Dobrze, poczekamy – zgodził się Will. – Tylko upewnij się, że nie będzie oglądać telewizji. Nie darowałbym sobie, gdyby dowiedziała się w taki sposób. Słuchaj, muszę kończyć. Widzę pomoc drogową i karetkę. Za niedługo zadzwonię.

– Kocham cię, Will. – Głos Marlys zdrzął ze wzruszenia. Will niczego nie pragnął bardziej,

jak móc przytulić ją do siebie i szeptać jej, że wszystko skończy się dobrze.

– Też cię kocham – odpowiedział. Will wyszedł z auta na kolejne spotkanie z mrozem i zaczął machać rękami, by zatrzymać nadjeżdżające pojazdy.

HOLLY

Zazwyczaj nie znoszę mojej fizjoterapeutki, Giny. Pozwala mi jęczeć i stękać, ile tylko chcę, ale nienawidzi wymówek. Kiedy mówię, że jestem zmęczona, odpowiada, że mam pecha. Kiedy mówię, że nie zniosę bólu, każe mi się wziąć w garść. Dziś mówię jej, że mam infekcję, a ona na to „co ma piernik do wiatraka”.

Nie mogę powstrzymać się od śmiechu.

– Mój tata często tak mówił, kiedy byłam dzieckiem.

– Mądry człowiek – mówi Gina, potakując.

Mój tata był – jest – najmądrzejszym człowiekiem, jakiego znam, choć nigdy mu tego nie powiedziałam. Jego praktyczność doprowadzała mnie jednak do szału. Nigdy nie robił niczego dla przyjemności. Zawsze miał byka do kupienia, krowę do ocielenia, plon do zebrania, maszynę do naprawienia. Pamiętam, jak pewnego razu zakradłam się do jednej z szop z moim ówczesnym chłopakiem. Kiedy już się od siebie odkleiliśmy, wpadliśmy na pomysł, żeby zrobić sobie przejażdżkę nowiutkim traktorem taty. Traktor nie jechał szybciej niż osiem kilometrów na godzinę, ale ojciec dostał szału.

– Przecież nie zrobiliśmy nawet rysy – sprzeciwiałam się, kiedy nas przyłapał i uziemił mnie na dwa tygodnie.

– A co ma piernik do wiatraka? – odpałił jak zwykle.

– Odpocznij – mówi w końcu Gina, kiedy dociera do niej, że podczas dzisiejszej sesji nic więcej już ze mnie nie wyciągnie. – Ale jutro weźmiemy się do pracy. Chcesz być przecież w formie, kiedy przyjadą twoje dzieci, co?

Uśmiecham się na tę myśl.

– Nie mogę się doczekać – mówię jej. – Mam wrażenie, że widzieliśmy się całe wieki temu. – Ciekawe, czy mój ojciec kiedykolwiek tak się niecierpliwił na spotkanie ze mną, ciekawe, czy nie może się doczekać, by zobaczyć mnie jutro. Wiem, że utrudniałam mu życie, wiem, że byłam przewrażliwiona i przesadnie krytyczna co do niego. Ale jak dziecko ma konkurować z krową? Gdyby choć raz mój ojciec powiedział: „Holly, proszę, wróć do domu. Tęsknię za tobą”, to wsiałabym do najbliższego samolotu do Broken Branch. Nigdy jednak tego nie zrobił. Taka jest właśnie różnica między nami – jeśli chodzi o moje dzieci, wiem, co jest naprawdę ważne.

PANI OLIVER

Język pani Oliver wydawał się suchy, ciężki i spuchnięty jak skarpetka, którą ktoś wepchnął jej do ust. Mężczyzna metodycznie przechadzał się po klasie, często zerkając na swój telefon. Z każdą minutą stawał się coraz bardziej nerwowy.

Pani Oliver wiedziała, że całe to zdarzenie niedługo musi dobiec końca. Jeśli nie, ktoś, a może wiele osób, zginie. Pani Oliver nie mieściło się w głowie, że jedną z ofiar może zostać dziecko. Zapukała mocno w blat ławki i mężczyzna z irytacją spojrzał w jej stronę.

– Czego? – zapytał zniecierpliwionym tonem.

Pani Oliver starała się wypowiedzieć słowa, które czuła, że muszą zostać wypowiedziane. Jej szczęka ewidentnie była złamana, może nawet strzaskana. Ostrożnie podniosła pokrywę ławki i zerknęła na leżące w środku w nieładzie przedmioty: podręczniki, nożyczki, połamane kredki, ołówki, zeszyty. Wyciągnęła ołówek, zeszyt, a nożyczki przysunęła bliżej otwarcia pokrywy. Mężczyzna obserwował czujnie, jak zamyka blat i otwiera zeszyt na czystej kartce. Skupiła się na tym, by nie drżała jej ręka, i swoim charakterem pisma, który zwykle jest schludny i czytelny, napisała nieco niewyraźnie: „Zostanę. Puść dzieci”.

Mężczyzna patrzył na słowa przez kilka chwil, aż w końcu raz skinął głową. Pani Oliver westchnęła z ulgą, krzywiąc się na uczucie kłującego bólu, który przeszył ją, gdy wciągnęła zimne powietrze przez połamane zęby.

MEG

Zbliża się osiemnasta, powoli robi się ciemno, a słońce zajdzie za około godzinę. Za policyjnymi taśmami, mimo pogody, stoją dwa nowe wozy transmisyjne, z których wydobywają się chmury spalin.

– Kryj się – mówię do Twinkie, która sapie cicho w odpowiedzi. Kilkoro reporterów, nie wiem, czy kobiet, czy mężczyzn, stoi okutanych w grube, zimowe kurtki z futrem wokół kapturew. Zwróciwszy twarzą do operatorów, mówią do mikrofonów. Na chwilę zwracają na mnie uwagę, ale widząc, że jestem jedynie nisko postawionym funkcjonariuszem służb, szybko o mnie zapominają.

Wartownicy, dwójka policjantów z sąsiedniego komisariatu, machaniem dłoni pokazują mi miejsce do parkowania. Zatrzymuję się jak najbliżej kampera, który czasowo stał się centrum dowodzenia. Ściągam kurtkę i owijam nią Twinkie w nadziei, że jej futro i moja puchowa parka wystarczą, by ją ogrzać.

Mroźne powietrze i porywisty wiatr przesywają mnie na wskroś, pozbawiając ostatnich resztek ciepła i kiedy wpadam do kampera bez pukania, trzęsę się z zimna. Komendant McKinney, Aaron i mężczyźni, którego nie poznaję, podnoszą wzrok, kiedy wchodzę. Twarz komendanta jest pochmurna, więc szykuję się na ostrą reprimendę za to, że pojechałam na farmę Craggów, ignorując protokół.

– Siadaj, Meg – mówi łagodnie.

Najpierw spoglądam na komendanta, potem na Aarona, a na końcu na nieznanego. Żaden z nich nie patrzy mi w oczy.

AUGIE

Choć moja kryjówka pod kranem nie należy do najwygodniejszych i szyję mam wykręconą pod dziwnym kątem, jakimś cudem co chwilę odpływam. Nie zasypiam twardym snem, ale czuję się dziwnie, jestem odrętwiała. Co jakiś czas słyszę głośny dźwięk z klasy PJ-a, budzę się złęczniona i uderzam głową o umywalkę. Nie znajduję się na tyle blisko, bym mogła zrozumieć cokolwiek z rozmowy w klasie. Słyszałam płacze i krzyki. Nie wiem, dlaczego policja do tej pory nie wkroczyła do szkoły, ale mam nadzieję, że wiedzą, co robią.

MEG

Siadam na najbliższym krześle. Kamper został skutecznie przemieniony z wypoczynkowego pojazdu w centrum kryzysowe. Na kuchennym blacie stoi laptop i policyjne radio, a na stoliku śniadaniowym rozpostarte są plany szkoły. Komendant McKinney nie powiedział mi jeszcze, o co chodzi, ale nie chcę nawet myśleć, że ma to coś wspólnego z Timem.

– Meg, poznaj Terry’ego Swaina, negocjatora z komendy stanowej, mamy też na linii Anthony’ego Samorę, który dowodzi stanowej brygadzie szurmowej. Nie mógł dojechać z powodu pogody.

Z zestawu głośnomówiącego wydobywa się głos Samory.

– Staralem się, ale warunki na drogach są niemożliwe. A teraz do sedna. – Przeżyłam ciężko ślinę, bojąc się tego, co zaraz się stanie. – Około czterdzieści minut temu poinformowano nas, że zgłoszono zaginięcie twojego byłego męża, Tima Barretta. Zgłoszenia dokonała jego matka. Dzisiaj rano powiedział jej ponoć, że został niespodziewanie wezwany na dyżur, a kiedy nie odezwał się przez następne kilka godzin, zadzwoniła do jego pracy.

Komendant McKinney opiera przedramiona na kolanach.

– Meg, nikt dziś nie wzywał Tima do pracy.

Staram się zachować stabilny, neutralny ton głosu.

– Nie wiem, jaki związek ma fakt, że mój były mąż okłamuje matkę.

– Posłuchaj, Meg – mówi zmieszany komendant. – Wiem, że twój rozwód z Timem był skomplikowany i że trudno wam się było dogadać co do opieki nad córką.

– Większość rozwodów jest trudna, komendancie – odpowiadam, podenerwowana, że moje prywatne życie zostaje wciągnięte w tę rozmowę. Krzyżuję ręce na piersi. – Większość rozwodów par, które miały dzieci, dotyczy praw do opieki. Dawno już sobie z tym poradziłyśmy.

– Przejdźmy do rzeczy, sierżant Barrett – mówi Terry Swain, negocjator. – Miała pani konfliktowy rozwód podejmujący kwestię opieki nad dzieckiem, pani były mąż skłamał co do miejsca swojego przebywania i od kilku godzin nikt nie jest w stanie się z nim skontaktować, a my mamy do czynienia z przetrzymywaniem zakładników w szkole, do której uczęszcza pani córka. I zupełnie przypadkiem nie ma jej dziś na lekcjach.

– Nie ma jej, bo pojechała spędzić wiosenne ferie z ojcem. To niemożliwe, aby to Tim był w tym budynku! – Mój głos sam się podnosi, ale staram się go kontrolować. – Musi być na to jakieś logiczne wytłumaczenie.

Swain przez chwilę obserwuje mnie w skupieniu, jakby próbował wyczytać z mojej twarzy

jakiś ukryte informacje. Anthony Samora odzywa się przez głośnik

– To prawda. Te informacje nie wiążą się z sytuacją.

Podnoszę ręce z irytacją.

– Więc co? Co sprawia, że uważacie, że mój były mąż może być w to zamieszany?

– Piętnaście minut temu Terry po raz kolejny próbował nawiązać kontakt z intruzem – wyjaśnił mi komendant. – Mówił przez megafon i udało mu się porozumieć z tym człowiekiem, zapytał, czego chce, jakie ma żądania.

Zaschło mi w ustach. Zerkałam przez okno kampera na budynek szkoły.

– Kilka minut temu otrzymaliśmy telefon z komórki należącej do... – Swain sprawdza notatki. –

...Sadie Webster.

– Sadie Webster? – mówię, nie rozumiejąc. – Córci Douga i Caroline Websterów?

Swain potakuje.

– Tak. Telefon wykonano z jej komórki, ale rozmówca zdecydowanie nie był dwunastoletnią dziewczynką.

– W takim razie kto to był? – pytam.

– Nie wiemy – przyznaje Swain, a ja momentalnie się rozluźniam.

– Czyli to wszystko domysły? Nie macie żadnego dowodu na to, że Tim jest napastnikiem w szkole? – Śmieję się z ulgą. – Jezu, ale mnie przestraszyliście.

– Meg – mówi komendant poważnym tonem. – Nie wiemy, kim jest rozmówca, ale wiemy, że o tym, że twój mąż zaginął, mówią wszystkie stacje. – Cholera, mówię do siebie w duchu, Stuart miał rację. – Wiemy także – kontynuował McKinney – że napastnik w szkole ma jak na razie tylko jedno żądanie.

– Niby jakie?

– Chciał z tobą rozmawiać.

– Ze mną? – pytam z niedowierzaniem. – Czemu niby miałby chcieć ze mną rozmawiać?

– Miałas ostatnio z Timem jakieś konflikty? – pyta komendant, nachylając się w moją stronę. Próbuje okazać mi życzliwość, ojcowską troskę.

– Nie, Norman – odpowiadam gniewnie, zwracając się do komendanta po imieniu. – Już mówiłam, że między mną a Timem wszystko jest w porządku. – Krzyżuję ramiona i kręcę głową.

– Zaprosił mnie nawet, żebym spędziła wiosenną przerwę razem z nim i córką.

– A pani odmówiła – stwierdza Swain. To nie jest pytanie.

– Odmówiłam – mówię zwyczajnie.

– Ze złościło go to? – pyta niewidzialny Samora.

– Nie, nie przejął się. – Jestem sfrustrowana i rozwścieczona. – Czemu marnujecie na to czas? Tim nigdy by nie zrobił czegoś takiego. Nie ma nawet pistoletu!

– Ale teraz w szkole jest uzbrojony człowiek – Swain pokazuje na budynek, a potem na mnie. – I jedyne, co o nim wiemy, to to, że coś cię z nim łączy.

– Okej – odpowiadam, starając się przyjąć bardziej racjonalny ton. – Jeśli naprawdę uważacie, że ta osoba ma ze mną jakiś związek, to sprawdźcie też innych ludzi oprócz Tim'a. Kogoś, kogo mogłam kiedyś aresztować, albo mojego brata, Trávisa. Prędzej Travis zrobiłby coś takiego niż Tim. – W przeszłości zwierzyłam się komendantowi, jakie skomplikowane przeżycia wiążą mnie z moim bratem. Jak moja rodzina stała się zakładnikiem młodocianych przestępstw i podejrzanych znajomych Trávisa. A przynajmniej do czasu, kiedy pojawiła się

funkcjonariuszka Demelo i po raz pierwszy uświadomiła mi, że mogę się bronić, używając do tego systemu sprawiedliwości. Jak dobrze, że to zrobiła, bo na tamtym etapie mojego dzieciństwa naprawdę czułam, że mogłabym udusić Trávisa poduszką, kiedy spał.

– Nie widziałam Trávisa od ponad dziesięciu lat i nie rozmawiałam z nim od siedmiu. Moja ostatnia rozmowa z bratem zdecydowanie nie należała do przyjemnych. Jego ostatnie słowa do mnie brzmiały mniej więcej: „Czemu jesteś taką suką? Myślisz, że jesteś ode mnie lepsza, co? Ciesz się swoją rodziną, póki możesz, bo ja tego nigdy nie zapomnę, Meg”.

– Co między wami zaszło? – pyta Swain.

Niechętnie przerabiam historię mojego konfliktu z Travisem. Jest to dla mnie, jako policjantki, bardzo krępujące, ale stawką jest ludzkie życie, oddycham więc głęboko i wyjaśniam.

– Siedem lat temu otrzymałam telefon z komisariatu policji w Waterloo. Policjant poinformował mnie, że Travis przebywa w areszcie za jazdę po pijanemu. Podał im moje nazwisko, powiedział, że pracuję w policji, że za niego poświadczę i wpłacę kaucję. – Pocieram oczy na to wspomnienie. Niczego wtedy nie czułam. Ani odrobiny żalu albo smutku z powodu tego, jak wygląda życie mojego brata. Tylko tępą rezygnację. Mój brat nigdy się nie zmieni. – Powiedziałam funkcjonariuszowi, że nie mogę i nie chcę wyciągać mojego brata z aresztu.

– I tyle? – zapytał Swain wyraźnie nieusatsfakcjonowany. – Groził twojej rodzinie, bo prowadził pod wpływem?

– Nie, to nie wszystko. Kiedy funkcjonariusz przekazał Travisowi po naszej rozmowie, że nie ma szczęścia, wpadł w szal. Złamał policjantowi nos i sięgnął po jego broń, co skończyło się na tym, że wyrwał mu kilka ścięgien. Ostatecznie lista zarzutów wobec Trávisa znacznie się wydłużyła i ostatnie siedem lat spędził w więzieniu. Wyszedł w listopadzie.

Swain wzrusza ramionami.

– W złości powiedział pani kilka przykrych słów. Zadzwoił z aresztu wkurzony. Nic niezwykłego.

– Ta rozmowa miała miejsce tydzień temu.

– Sprawdźmy to – mówi McKinney, spoglądając na Aarona, który zapisuje coś w notatniku.

– Nadal uważam, że się mylicie, ale jeśli rzeczywiście tam w środku jest Tim albo mój brat, to co mam zrobić?

Mężczyźni spoglądają na siebie, ale żaden z nich się nie odzywa.

– No? – Podnoszę ręce w geście kłęski. – Chcecie, żebym do niego zadzwoniła? Już próbowałam, nie odpowiada. Chcecie, żebym wzięła megafon i przemówiła mu do rozsądku przed szkołą? Z radością to zrobię. Potrzebuję tylko jakichś wskazówek

– On chce się z tobą zobaczyć – powiedział komendant zmęczonym głosem.

– W porządku, pójdę tam. Nie ma problemu – mówię, wstając, ale mężczyźni pozostają na miejscach i nadal mają niepewne miny. Szczególnie mocno wpatruję się w Aarona, który jak do tej pory nie odezwał się słowem.

– To niezgodne z protokołem wysłać do budynku funkcjonariusza, który nie należy do brygady szturmowej – mówi Samora.

– Rozumiem, ale jestem sierżantem, rozpoczęłam szkolenie antykryzysowe i jeśli jest szansa, że w ten sposób wydamę stamtąd dzieci, to nie rozumiem, w czym problem.

– Problem w tym, że mamy do dyspozycji sześciu funkcjonariuszy, z których można naprędce skomponować grupę szturmową, ale kiedy wejdą do budynku, ich życie będzie

w niebezpieczeństwie – mówi szorstko Swain. – Musimy się upewnić, że wszyscy policjanci, którzy wejdą w skład grupy, dokładnie wiedzą, co robią.

– Ale jeśli sama tam pójde, dowiem się, czego chce napastnik, i żadnemu innemu policjantowi nie stanie się krzywda. Ktokolwiek to jest, nie będzie czuł zagrożenia z powodu mojej osoby. Będziemy jeden na jeden.

– Nie podoba mi się to – mówi komendant, wstając, by nalać do kubka kawy z termosu na blacie. – Nie słyszeliśmy żadnych strzałów. Nie mamy wiadomości o rannych. Plan alarmowy mówi, że mamy czekać w gotowości. Nie chcę załatwiać sprawy gwałtownie.

– Czyli mamy czekać, aż kogoś zabiją albo zranią, zanim zaczniemy działać, tak? – pytam. – Tak się postępuje w standardowych sytuacjach, ale ewidentnie ten człowiek ma pretensje do mnie, a nie do kogoś w szkole.

– Nie mamy co do tego pewności – mówi komendant McKinney, podając mi kubek gorącej kawy. – Wiemy tylko, że chce z tobą rozmawiać.

– Ona ma rację – mówi Samora. – Może będzie umiała przemówić temu człowiekowi do rozsądku.

– Albo zarobi kulkę – sprzeciwia się Swain. – To mi się ani trochę nie podoba.

– Jak on się z wami skontaktował? – pytam.

– Z kolejnej komórki – mówi Swain. – Dziecka, które nazywa się Colton Finn, siódmoklasista. Przypuszczamy, że napastnik przeszedł po wszystkich salach i zebrał tyle telefonów, ile tylko był w stanie.

– Domyśliłam się. – Kiwam głową. – Brzmi to logicznie. Najpierw odcina telefony stacjonarne, potem zbiera tyle komórek, ile się da... Ogranicza komunikację ze światem.

Rozlega się pukanie do drzwi kampera i sierżant Jarrow wtyka do środka głowę.

– Komendancie, mam tu niejakiego Cala Olivera, który mówi, że ze szkoły zadzwoniła do niego żona. Jest dość roztrzęsiony. Chce pan z nim porozmawiać?

– Oczywiście – mówi komendant. – Wpuść go.

PANI OLIVER

Pani Oliver przytrzymała szczękę dłonią. Lekki ucisk sprawiał, że czuła jedynie tępy ból zamiast jego nagłych, ostrych wybuchów. Zerknęła na mężczyznę, który, o dziwo, skinieniem głowy pozwolił puścić dzieci wolno. Nie wiedziała, co to dla niej oznacza, ale nie dbała o to, o ile uczniom uda się bezpiecznie wydostać z budynku. Zastanawiała się, czy zanim to wszystko się skończy, będzie miała okazję dowiedzieć się, dlaczego ten człowiek wtargnął do jej drugiego domu, jej klasy, w której spędziła ogromną część swojego życia. Miała przeczucie, że całe to zdarzenie wykraczało poza nią i jej uczniów, ale nadal nie była w stanie domyślić się pobudek jego działania. Z pewnością bardzo interesował się swoim telefonem. Zawzięcie SMS-ował i bez przerwy gdzieś dzwonił, więc w sytuację musiał być zaangażowany ktoś z zewnątrz, ale pani Oliver nie wiedziała, czy to współnik, czy ofiara.

– Już pora – powiedział mężczyzna. Pani Oliver widziała w jego oczach zmęczenie wywołane nie tylko wyczerpującymi zdarzeniami tego dnia. W spojrzeniu intruza nie było życia, nie było nadziei, a to jeszcze bardziej zmobilizowało nauczycielkę do działania. Pani Oliver wstała szybko, czując, jak oszałamiający ból przeszywa jej szczękę i biodro, i pokiwała do drzwi. Mocno klasnęła w dłonie i wszystkie głowy nagle się podniosły.

– Wstańcie – wydobyła z siebie, z trudem otwierając szeroko usta, by mogło z nich uciec to jedno słowo. Uczniowie wstali bez zawahania. Pani Oliver pokazała na swoje oczy i wszyscy w nie spojrzeli. Popatrzyła na twarz każdego ze swoich uczniów, starała się zapamiętać każdy pieg, każdy niepełny uśmiech, każdą zmierzwioną fryzurę. To okropne – pomyślała – że w ich ostatnim wspomnieniu będzie występować w pomiętej, poplamionej i niegdyś ozdobionej dżetami dżinsowej sukience. Podejrzewała, że jej fryzura wygląda strasznie, a twarz... Cóż, nawet nie patrząc w lustro, wiedziała, że pewnie wygląda potwornie. Pstryknęła palcami i pokazała na drzwi klasy, a uczniowie zaczęli natychmiast – szybko, ale nie chaotycznie – kierować się do drzwi, omijając obcego mężczyznę i nie spuszczać wzroku ze swojej nauczycielki.

– Beth – wymamrotała pani Oliver przez połamane zęby, a dziewczyna, nadal szlochając, podeszła do kobiety, trzymając siostrę za rękę. – Wyprowadź dzieci – powiedziała, delikatnie ujmując ją za ramię. Beth skinęła głową. – Idź i nie odwracaj się za siebie. – Pani Oliver spojrzała na napastnika, a następnie na drzwi schowka, w którym nadal znajdowała się Lucy.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie.

Pani Oliver chciała z nim dyskutować, ale jego stanowczy głos dał jej do zrozumienia, że negocjacje nie wchodzi w grę.

– Idźcie już – Delikatnie pchnęła Beth w ramię i jej uczniowie zaczęli opuszczać salę, jeden za drugim, w idealnym szeregu.

MEG

Wszystko w ciele Cala Olivera jest długie. Jest wysoki, ma długie ręce i nogi, długi nos i pociągłą, wąską twarz, którą wydłużają wykrzywione ku dołowi usta. Musi się schylić, wchodząc do przyczepy i rozgląda się po niej niepewnie.

– Cal – mówi komendant McKinney, wstając i wyciągając do niego rękę na powitanie. Zanim komendant zdąży nas przedstawić, Cal zaczyna mówić szybko o jakiejś rozmowie przez telefon.

– Powoli, Cal – przerywa mu komendant. – Usiądź, proszę, i zacznij od początku.

Cal przy siada na skraju składanego metalowego krzesła i robi głęboki wdech.

– Czekałem w kawiarni, kiedy zadzwoniła mi komórka. Od razu zobaczyłem, że to Evie. – Widząc pytające spojrzenie Swaina, dodaje: – To moja żona, uczy w trzeciej klasie. – Kiedy mężczyzna potakuje, Cal wraca do najważniejszego. – Od razu usłyszałem, jak krzyczy jakiś chłopiec. Trudno było wychwycić, co dokładnie mówi, wszystkie dźwięki były przytłumione. – Pan Oliver przejeżdża dłonią siwe, krzaczaste brwi, które otaczają jego szkliste, niebieskie oczy. Ciekawe, czy są mokre z powodu jego wieku, mrozu czy zmartwienia. – I wtedy słyszę, jak Evie bardzo głośno mówi, że nikomu nie stała się krzywda i o jakiejś Lucy w szafie.

– Żona powiedziała panu, że nikomu nie stała się krzywda? – pytam.

– Właściwie nie mówiła do mnie, tylko tak, żebym słyszał. W każdym razie powiedziała też, że ten ktoś nie ma prawa być w jej klasie.

– Nie wiedziała, kim on jest? – zapytał komendant. Pan Oliver bezradnie kręci głową.

– Nie wymieniła żadnego imienia, ale skąd mógłbym wiedzieć? – Pan Oliver wyciąga z kieszeni kurtki starannie złożoną chusteczkę i wyciera nią nos. – Wtedy usłyszałem jakieś szamotanie i Evie zaczęła krzyczeć. – Pan Oliver spuszcza głowę tak nisko, że niemal dotyka nosem kolan, a ramiona trzęsą mu się od cichego płaczu. – Powiedziała mi, że mnie kocha, a potem wszystko umilkło.

AUGIE

Coś się dzieje w klasie. Słyszę szuranie przesuwanych krzeseł i odgłosy kroków. Wstrzymuję oddech i staram się skulić tak ciasno, jak tylko mogę, ale jeśli w korytarzu pojawi się ten człowiek, trudno mu będzie mnie przeoczyć.

Nagle drzwi klasy się otwierają i wychodzi z nich Beth. Trzyma swoją siostrę za rękę i nawet na mnie nie spojrzy. Widzę, jak dzieci idą szybko, coraz szybciej, aż w końcu zaczynają biec. Wypatruję w roznytym obrazie tenisówek, których odgłos jest głośny niczym piorun, stóp PJ-a. Serce na chwilę przestaje mi bić, gdy zdaję sobie sprawę, że go nie widzę. Dzieci nadal przebiegają koło mnie i nie ma wśród nich mojego brata.

– Hej – wołam spod kraniku. Nikt nawet na chwilę nie zwalnia. – Hej, gdzie jest mój brat? Gdzie jest PJ?

Coś się zmieniło, kiedy otworzyły się drzwi sali i dzieci z klasy PJ-a wyszły na korytarz. Nagle wszystkie drzwi zaczynają się otwierać i wyglądają zza nich głowy nauczycieli. Rozglądają się w obie strony, ale kiedy widzą dzieci wybiegające z klasy pani Oliver, to tak jakby zaczęła się inwazja. Po chwili na korytarzu tłoczą się uczniowie, a ja tkwię uwięziona w moim miejscu pod kranikiem. Chyba go przegapiłam – myślę sobie. Pewnie przebiegł koło mnie, jest w tłumie uczniów biegnących w stronę parkingu. Czekam, aż nastąpi przerwa w ruchu, żebym mogła wygrzebać się z ukrycia, jednocześnie nie dając się staranować tabunowi trzecio- i czwartoklasistów. I znów jestem zupełnie sama. Korytarz jest całkowicie opuszczony. Odwracam się z niedowierzaniem. Jak mogłam go nie zauważyć? Jego czerwone, wysokie conversy są nie do przeoczenia. Nie zastanawiając się, podchodzę do klasy pani Oliver. Drzwi są zamknięte, ale przyciskam nos do szyby i zaglądam do środka. Zamieram, drzwi się otwierają i ktoś wciąga mnie do środka.

MEG

Komendant McKinney taktownie przekazuje Cala ojcu Adamowi, który zaoferował swoją pomoc jako wsparcie ofiar.

– Wszyscy robimy co w naszej mocy, Cal – wyjaśnia życzliwie ojciec Adam, kiedy pan Oliver nie chce odjechać. – Wróćmy do Lonniego i tam poczekajmy. Komendant zadzwoni do ciebie, jak tylko czegoś się dowie, prawda, komendancie? – Książd spogląda znacząco na McKinneya, a ten kiwa głową.

– Jak tylko dowiemy się czegoś o Evelyn, od razu dam ci znać – obiecuje. – Bardzo się staramy doprowadzić do zakończenia całej tej sytuacji w najlepszy z możliwych sposobów.

Cal wychodzi z kampera z zagubioną i strapioną miną, nachylając się do ojca Adama po wsparcie.

– To się musi skończyć – mówi komendant żałośnie i ostro wpatruje się w Swaina. – Czy domniemana groźba, którą Cal słyszał przez telefon, nie jest wystarczającym powodem, by wysłać do środka grupę szturmową?

– Na razie rozmawiamy – wyjaśnia Swain. – Tak długo, jak uczestniczymy w dialogu z napastnikiem i nikomu nie stała się krzywda, negocjujemy.

– Ale on chce mnie. Pozwólcie mi wejść do środka i z nim porozmawiać – mówię z przekonaniem, choć jest ono na wyrost.

Swain kręci głową.

– Proszę posłuchać, spróbujemy was połączyć, ale na pewno nie pójdzie pani do tego budynku, zwłaszcza jeśli to pani jest celem. Nie narazimy niewinnych dzieci, nauczycieli i policjantów tylko dlatego, że chce pani zgrywać bohaterkę.

– Więc dajcie mi tam pójść samej. Jeśli uważacie, że w środku chowa się Tim, to o co się tak martwicie? Ja się nie martwię. On nigdy nie zrobił mi nic złego, nigdy by mnie nie skrzywdził, a z pewnością nie skrzywdzi w ten sposób Marii. – Twarz płonie mi ze złości i przez protekcyjnalne uwagi Swaina.

– Najpierw do niego zadzwonimy – mówi McKinney. – Jeśli rozpoznasz głos Tima, będziemy wiedzieli na pewno.

Wtedy doznaję olśnienia. Telefon. Gdyby rzeczywiście w szkole znajdował się Tim i chciał ze mną rozmawiać, po prostu by do mnie zadzwonił. Czemu miałby się przejmować, czy rozpoznam jego głos, czy nie? Nie, to nie był Tim.

– Powiedział pan, że napastnik zadzwonił do pana, pytając o mnie, tak?

– Tak – potwierdza Swain. – Zadzwoił z komórki któregoś z uczniów.

Wyciągam telefon.

– Dlaczego więc nie zadzwonił bezpośrednio do mnie? – Milknę na chwilę i zerkam na swój telefon. – Dostałam wcześniej kilka SMS-ów z nieznanego numeru. Jaki był numer tamtego ucznia?

Aaron przegląda notatki i dyktuje mi numer.

– Czemu nie sprawdziła pani tych SMS-ów? – pyta Swain zirytowany.

– Nawet nie wiedziałam, że je dostałam – tłumaczę się. Nie chcę, żeby wyglądało na to, że się bronię, ale mój głos zdradza wszystko. – Poza tym byłam trochę zajęta, Swain – mówię, nie przejmując się, że zachowuję się trochę krnąbrnie. – Komendant nie toleruje przyjmowania prywatnych połączeń podczas służby.

– Co w nich jest? – pyta komendant. Ciasno okrążają mnie trzej mężczyźni i wlepiają wzrok w mój telefon.

Czytam na głos pierwszą z wiadomości.

BARRETT. SAMA. 18.30.

– Jest 18.20 – mówi Swain, zerkając na swój zegarek.

– Właśnie przyszedł mi do głowy ktoś jeszcze – mówię niespodziewanie. – Matthew Merritt.

– Mąż Greta Merritt? – Pełen niedowierzania głos Samory, pozbawiony ciała, wypełnia przestrzeń. Zerkam na zestaw głośnomówiący. Zapomniałam, że Samora wszystkiemu się przy słuchuje.

– Tak – mówię, nieco poruszona tą możliwością. – To ja przyjąłem wstępne zgłoszenie. To ja przekonałam ofiarę, by wniosła zarzuty, to ja odczytałam Merrittowi jego prawa, kiedy Gritz zakuwał go w kajdanki. – Nie wspominałam jednak o artykule i wywiadzie, który Stuart przeprowadził z ofiarą. Nikt nie wiedział o tym, że Stuart znalazł Jamie przeze mnie. Jeśli ktoś miał wątpliwości co do tego, że Merritt jest potworem, zostały one rozwiane artykułem Stuarta.

– Może Merritt próbuje się na mnie w ten sposób odegrać? Na pewno jest zdesperowany. Stracił żonę, rodzinę, wolność i szansę na posiadłość gubernatora. – Mężczyźni spoglądają na siebie z powątpiewaniem, ale rozważają tę możliwość.

Zanim jeszcze skończyłam czytać artykuł w gazecie, zadzwoniłam do Stuarta.

– Jak to zrobiłeś? – zapytałam. Dokładnie wiedział, o co mi chodzi, nie próbował nawet zgrywać głupiego.

– Podśledzałem, jak rozmawiasz z nią przez telefon.

Myśli kłębiły mi się w głowie. Próbowałam przypomnieć sobie datę i miejsce rozmowy. Kiedy w końcu mi zaświtało, niewiele mogłam z siebie wykrzusić.

– Aha – odparłam jedynie.

Stuart został u mnie na noc tylko raz, odkąd się poznaliśmy. Maria była wtedy na pidżama party u koleżanki i miała wrócić dopiero następnego dnia. Jamie zadzwoniła późno. Stuart i ja spaliśmy przytuleni, jakbyśmy byli parą od lat. Obejmował mnie mocno, podbródek oparty miał o moje ramię, dłonie położył mi na brzuchu. Idealnie do siebie pasowaliśmy, a przy najmniej tak mi się wydawało. Kiedy zadzwoniła moja komórka, ostrożnie wypłatałam się z jego objęć, żeby go nie obudzić. Odkąd zabrałam Jamie do kliniki, przeprowadziłam ją przez wszystkie etapy składania doniesienia na Matthew Merritta i obiecałam jej, że wszystko będzie dobrze, dziewczyna nabrała do mnie zaufania. Podczas rozmowy cała we łzach powiedziała mi, że snią

się jej koszmary o tym, jak Matthew Merritt się na niej mści. Powiedział jej, że skrzywdzi ją i jej rodzinę, jeśli komukolwiek powie.

– Matthew Merritt nie zrobi ci już więcej krzywdy – zapewniłam ją. – Nie pozwolę na to. Dasz radę, Jamie, wspiera cię wiele osób, które pomogą ci przez to przejść. Wiem, że to nie jest łatwe. Chcesz, żeby m przyjechała? – zapytałam, przez kilka minut słuchając, jak cicho płacze.

– A mogłabyś? – zapytała z nadzieją w głosie. – Proszę.

Zostawiłam Stuartowi kartkę z informacją, że musiałam pojechać na zgłoszenie i niedługo wrócę.

To wtedy Stuart dowiedział się, że Jamie Crosby została zgwałcona przez Matthew Merritta. Miał swoją sensację. Największą w karierze.

– Sprawdźmy sytuację pod kątem Merritta – obiecuje Swain – ale trudno mi sobie wyobrazić, żeby posunął się tak daleko.

Dostaję kolejnego SMS-a, na którego wysoki dźwięk wszyscy podskakujemy, a za chwilę przychodzi jeszcze jeden.

– Kolejne wiadomości – mówię i strach mrozi mi krew w żyłach. PIF – mówi druga wiadomość. Jeszcze raz przy ciskam guzik drżący mi rękoma. PIF-PAF.

AUGIE

Kiedy zerkam przez szybę, widzę wpatrującego się we mnie mężczyznę. Jego niebieskie oczy sprawiają, że po plecach przebiega mi dreszcz. Serce mi zamiera i próbuję odwrócić się i uciec, ale ślizgam się w skarpetkach i upadam. Zanim zdążę się zorientować, drzwi otwierają się, a ja zostaję wciągnięta do środka.

– Kim jesteś? – pyta mężczyzna, trzymając mnie za ramię i mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów.

Widzę PJ-a, jak stoi oparty plecami o tablicę. Jego nauczycielka, pani Oliver, która wygląda, jakby ktoś pobił ją kijem baseballowym, obejmuje dwoje dzieci, dziewczynkę o czarnych, potarganych włosach i chłopca z fryzurą od garnka i z aparatem ortodontycznym.

Wszyscy patrzą na mnie z rozdziwionymi ustami i zdaję sobie sprawę, że muszę pewnie wyglądać jak jakaś wariatka. Nie mam butów na nogach, ubrana jestem w bluzę, która jest na mnie dziesięć razy za duża i zaglądam do sali, w której siedzi jakiś uzbrojony gość.

– Kim jesteś?

– Au-Augie – jąkam się. – To mój brat. – Pokazuję na PJ-a.

– Też uważasz, że jestem twoim ojcem? – pyta mężczyzna, a ja próbuję się domyślić, o co mu chodzi. Zerkam na PJ-a, który wpatruje się w swoje czerwone conversy.

PJ pomyślał pewnie, że ten świr to jego prawdziwy tata. Zawsze zwraca uwagę na mężczyzn na ulicy, przygląda się ich twarzom. Długo wypytywał o niego mamę. „Jaki kolor włosów miał mój tata? Jaki miał kolor oczu? Był wysoki czy niski?”. Jedyne, czego zdołał się dowiedzieć, to to, że jego ojciec był komandosem i został wysłany do Afganistanu.

PJ w końcu się poddał, kiedy mama straciła cierpliwość, zaczęła płakać i powiedziała mu, że powie, kim jest jego ojciec, kiedy skończy osiemnaście lat, a w międzyczasie powinien się zastanowić nad tym, jakie ma szczęście, nawet jeśli jesteśmy tylko we trójkę.

– Mogłeś trafić na farmę w Iowa i musieć pracować trzy godziny dziennie przy sprzątanii krowiego gówna! – wrzasnęła i zamknęła się w łazience. Ciekawe, co robi na osiemnaste urodziny PJ-a, kiedy ten wyciągnie rękę po kartkę z imieniem i nazwiskiem ojca, jego adresem i numerem telefonu. PJ ma pamięć jak słoń. Nigdy o niczym nie zapomina. Choć mama nigdy się do tego nie przyznała, nie sądzę, aby sama wiedziała, kto jest jego ojcem.

Mężczyzna patrzy na mnie podejrzliwie, ale szybko zdaje sobie sprawę, że jestem za młoda i mizerna, żeby być tajniakiem czy coś takiego.

– Możemy już iść? – pytam i PJ rusza w moją stronę.

– Nie, jeszcze nie.

– Ale powiedziałaś... – odzywa się nauczycielka PJ-a. Jej twarz jest sina i spuchnięta, a te słowa w jej ustach brzmią mniej więcej „alu pdział”.

Mężczyzna unosi dłoń, jakby próbował ją uciszyć.

– Cierpliwości – mówi. – Potrzebuję was jeszcze chwilę dłużej i jeśli zrobią, co każę, będziecie wolni.

Chciałam zapytać, kto ma zrobić to, co każę, i co się stanie, jeśli tego nie zrobi. Dziewczynka zaczyna płakać i trzęsą jej się ramiona, chłopiec zaś próbuje się nie rozplakać i patrzy na swoją nauczycielkę, czekając, aż ta powie mu, co dalej.

– Siadajcie – mówi mężczyzna. Uważnie obserwuję PJ-a. Poznaję po jego minie, że jest wściekły. Znam ją. PJ przybiera taki wyraz twarzy za każdym razem, gdy za mocno mu dokuczę. Rzadko się wkurza, ale kiedy już do tego dojdzie, trzeba się mieć na baczności. Kręcę głową, patrząc mu w oczy, usiłując powiedzieć, żeby niczego nie próbował. Wszyscy siadamy w pierwszym rzędzie. – Powinna tu za chwilę być – mówi mężczyzna, siada na krześle nauczyciela i zamyka oczy.

Dałabym mu radę – myślę sobie. Potrafię być bardzo szybka i musiałabym jedynie rzucić się na niego zza swojej ławki i wytrącić mu z dłoni pistolet. Zerkam ukradkowo na panią Oliver i teraz ona rzuca mi spojrzenie pod tytułem „Ani się waż”, które ja przed chwilą posyłałam PJ-owi.

– Kto ma tu być? – pyta pani Oliver. Posiniaczona część jej twarzy jeszcze bardziej spuchła i jest zdeformowana jak w *Upiorze w operze*. Jej głos brzmi, jakby usta miała wypchane gumą do żucia.

– Osoba, dla której to wszystko zrobiłem – mówi mężczyzna, szeroko rozpościerając ramiona.

– A jeśli nie przyjdzie? – pyta pani Oliver. – Policja nikogo tu nie wpuści, trwa stan alarmowy.

– Ona jest z policji – mówi mężczyzna z wrednym uśmiechem na ustach.

MEG

Patrzę na SMS-y i każde PIF-PAF na wyświetlaczu coraz głębiej wgniata mnie w ziemię.

– Zadzwoń do niego – oznajmiam. – Rozpoznam Tima lub Trávisa po głosie i będziemy mieli pewność.

Trzej mężczyźni wymieniają spojrzenia.

– Zgoda – mówi Samora, a ja przyciskam zieloną słuchawkę. Słyszę cztery sygnały, po których rozlega się cisza. Rozmowa zakończona – widzę na ekranie. Kilka sekund później mój telefon wydaje z siebie sygnał otrzymanej wiadomości.

CZEKAM.

WYPUŚĆ DZIECI, A PRZYJDĘ – odpisuję.

MASZ 5 MIN.

KIM JESTEŚ?

4 MIN.

– Nadal przetrzymuje dzieci – mówię, patrząc na Aarona, Swaina i komendanta. – Muszę iść.

– Nie ma mowy – mówi komendant. Jego zwykle zadbane wąsy zarosły, zakrywając mu wargi.

– Idę – deklaruję zdecydowanym tonem i wstaję. – Dajcie mi kamizelkę. – Pokazuję na jedną, która leży w kącie kampera.

– Czeka, czeka – mówi Swain, również wstając. Jest równie szeroki co wysoki i jego masa okrywa mnie cieniem. Ma bardzo spokojny, łagodzący głos, który pewnie okazuje się bardzo przydatny przy negocjacjach z porywaczami. – Z chwilą, kiedy kogoś zastrzeli, koniec z nim. Będziemy w środku w ciągu kilku sekund. Musi sobie z tego zdawać sprawę.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli tak ryzykować – mówię, zakładając kamizelkę. Jej ciężar i twardość są pocieszające. – Jeśli to Tim, w co bardzo wątpię, to będę w stanie go przekonać. Wtedy damy radę wyprowadzić wszystkich bezpiecznie na zewnątrz.

– Nie mogę się na to zgodzić – mówi Swain.

– A jaki mamy wybór? – pytam, patrząc mu prosto w oczy. – Co będzie, jeśli nie pójdę i ktoś przez to zginie? To nie wchodzi w grę.

– Nawet o tym nie myśl, Meg – mówi komendant ostrzegawczym tonem.

Wszyscy w jednym momencie wyglądamy przez okno przy czepcy, słysząc niskie dudnienie, które powoli nabiera mocy niczym spłoszone stado krów. Podchodzimy bliżej okna, w którym wiszą zasłonki w musztardowym kolorze. Czujemy mieszaną ulgi i lęku. Na parking wylewa się

morze dzieci.

– Jezu – mówi komendant McKinney i wszyscy rzucamy się do drzwi kampera.

To moja szansa. Podczas gdy wszyscy przepychają się ku tłumowi dzieci, które wybiegły z budynku, ja do niego wracam. Słyszę, jak woła mnie Aaron, ale go ignoruję. Trzeba to zakończyć, i to zaraz.

PANI OLIVER

Pani Oliver z trudem trzymała otwarte oczy. Nie ze zmęczenia, choć oczywiście tak właśnie się czuła. Miała wrażenie, że gdyby tylko mogła się położyć, przespałaby cały tydzień, i postanowiła, że to właśnie zrobi, kiedy wróci co domu. Głowa bolała ją tak bardzo, że czuła ulgę tylko wtedy, gdy miała przymknięte powieki, ale nie śmiała spuścić oka z napastnika. Niemal drżała z niecierpliwości, choć nie potrafiła zdecydować, czy to przejęcie wynika ze strachu, czy ekscytacji. Może jednego i drugiego. Ten człowiek powiedział, że do klasy idzie policjantka, ale o ile dobrze zrozumiała, chciał, aby tu przyszła. To się nie trzymało kupy.

Jedyną policjantką, jaką знаła pani Oliver, była Meg Barrett, mama Marii.

Pani Oliver wyęczała mniej spuchnięte oko i patrzyła na dzieci. Wszystkie zdawały się być na skraju wytrzymałości i serce nauczycielki wypełniły ciepłe uczucia. Do Charlotte, która płakała żałośnie z twarzą schowaną w dłoniach. Popelniała błąd w drodze z klasy, nachylając się po rozsypane dzęty, które odpadły od sukienki pani Oliver. I do biednego Ethana, bo jak na swój wiek był taki nieduży i to, że stawiał małe kroki i że jego ławka stała w rogu, najdalej od wyjścia, sprawiły, że też nadal tu był. PJ za to mógł być jednym z pierwszych dzieci, które wyszły na zewnątrz, ale z jakiegoś powodu ociągał się i czekał na panią Oliver. Teraz zarówno PJ, jak i jego siostra, Augie, byli uwięzieni w tej klasie z szaleńcem. Zastanawiała się, co teraz myśli sobie Will Thwaite. Najprawdopodobniej wszystkie dzieci, które wybiegły z klasy, właśnie wracały do swoich bliskich. Wyobraziła sobie, jak Will stoi smagany przez zimny wiatr i czeka, aż z budynku wyłonią się jego wnuki. Pomyślała o Holly Thwaite. Pamiętała ją jako pełne życia dziecko, skore do psot. Jej ciało wibrowało wręcz w oczekiwaniu na wspaniałości tego świata. Pani Oliver zawsze wiedziała, że Holly wyjedzie z Broken Branch, i zastanawiała się, czy, dochodząc do zdrowia w Arizonie, wie o tym, co dziś przydarzyło się jej dzieciom w jej rodzinnym mieście i jej dawnej klasie, w której marzyła o innym życiu.

Córka Holly wpatrywała się w drzwi i pani Oliver wiedziała, o czym myśli. Próbowała powiedzieć Augie, by się nie wierciła, ale usta za bardzo ją bolały i jedyne, na co mogła się zdobyć, to słaby, bulgoczący odgłos. Augie ze zdeterminowaną miną rzuciła się na mężczyznę, próbując wytrącić mu z ręki pistolet, ale ten uniósł go wysoko nad głowę i zręcznie odsunął się na bok. Gdy straciła równowagę, mężczyzna chwycił ją za kark i zaczął ciągnąć ją po klasie.

– Hej! – krzyknęła Augie, kiedy PJ próbował wyrwać siostrę z uścisku mężczyzny. Napastnik ze zniecierpliwieniem pchnął chłopca na ziemię i powlekł Augie w stronę schowka.

Pani Oliver kulawym krokiem ruszyła w stronę mężczyzny, przekonana, że to koniec, że teraz na pewno ją zabije, ale nie mogła stać z boku i patrzeć, jak napastnik brutalnie obchodzi się z dziećmi.

– Stój! – nakazał. W jego głosie było coś nowego, co sprawiło, że pani Oliver natychmiast stanęła w bezruchu i patrzyła bezradnie, jak po raz drugi tego dnia mężczyzna wepchnął dziecko do schowka i zamknął drzwi.

Ignorując Aarona i nie odwracając się za siebie, biegnę przez parking. Niebo jest sine i robi się coraz ciemniej. Śnieg przestał padać, a wiatr ucichł, jak gdyby wstrzymał oddech przed tym, co się wydarzy. Serce wali mi jak młotem, kiedy zmierzam w stronę szkoły, idąc po ścieżkach wydeptanych przez uciekających uczniów. Kieruję się do wejścia na salę gimnastyczną, gdzie wcześniej spotkałam Augie Baker. Korzystając z latarki, rozbijam szybę, żeby wejść do środka.

Myślę o Marii i o tym, co zrobiłabym inaczej, gdyby była dziś w szkole. Komendant McKinney pewnie posłałby mnie do domu, tłumacząc, że jestem poszkodowaną i że nie będę myśleć racjonalnie i obiektywnie, wiedząc, że moją córkę przetrzymuje uzbrojony mężczyzna. Zastanawiam się, czy postąpiłabym zgodnie z jego rozkazem, czy odmówiłabym. Odmawiam cichą modlitwę dziękczynną za to, że Maria znajduje się kilometry stąd, bezpieczna w domu rodziców Tima. Czuję ogarniającą mnie falę zwątpienia i przez moment rozważam możliwość, że u góry, w klasie Marii, znajduje się Tim i to on trzyma zakładników, żądając mojej obecności za jakiś nieznaną grzech, jaki popełniłam. Czy chodziło o to, że odrzuciłam jego zaproszenie, aby spędzić z nim i Marią wiosenną przerwę? Trudno mi uwierzyć, by mogła to być prawda. Choć Tim i ja mieliśmy swoje humory i nie zawsze się lubiliśmy, zawsze na jakiś sposób darzyliśmy się miłością. Odsuwam od siebie tę myśl i mentalnie przygotowuję się na jeden z czterech scenariuszy. Pierwszy – mężczyzna na piętrze to ktoś, kto chce się zemścić. Może posłałam go do więzienia za narkotyki, przemoc w rodzinie albo jazdę po pijanemu. Drugi – to mój brat recydywista. Trzeci – to Matthew Merritt, gwałcieciel. Czwarty i najmniej prawdopodobny scenariusz jest taki, że to mój były mąż, mężczyzna, którego poślubiłam, który jest wspaniałym ojcem dla naszej córeczki i z którym, jak czuję gdzieś w dniu serca, mogłabym się zestarzeć.

Wiem, że cztery minuty, które miałam na dostanie się do klasy, już minęły, więc przyspieszam kroku i rozglądam się to w prawo, to w lewo, świecąc latarką w każdy zaciemniony zakamarek. Docieram do schodów, które prowadzą do klasy Marii. Szłam nimi tyle razy – na dzień gier, wywiadówki, klasowe przedstawienia. W głowie kołaczę mi myśl, że tym razem mogę wejść do sali o własnych siłach, a wyjdę z niej na noszach.

Już mam ruszyć na górę, kiedy zatrzymuje mnie podenerwowany głos.

– Jest bezpiecznie?

Odwracam się z bronią w rękę i instynktownie mierzę w stronę głosu, dopiero po chwili świecąc latarką. To młoda kobieta, która wystawiła głowę zza drzwi klasy.

– Policja – mówię. – Nie ruszać się. – Kobieta nieruchomieje, ale na jej twarzy pojawia się

wyraźny wyraz ulgi. – Proszę wrócić do środka – mówię – i zamknąć drzwi. Proszę nie włączać światła. Za chwilę będzie po wszystkim.

– Nazywam się Jessica Bliss, uczę pierwszą klasę – mówi pośpiesznie. – Proszę powiedzieć mojemu mężowi, że go kocham.

– Sama mu pani powie – mówię łagodnie, zastanawiając się, czy sama będę kiedyś w stanie powiedzieć komuś te słowa.

AUGIE

W schowku jest ciemno jak w grobie, więc świecę sobie wyświetlaczem jednej z komórek, którą chwyciłam z podłogi, gdy wypadła z kieszeni mężczyzny. Ręce mi się trzęsą, kiedy próbuję sobie przypomnieć numer mamy. Chcę tylko usłyszeć jej głos. Chcę jej powiedzieć, jak bardzo ją przepraszam i że to wszystko moja wina.

Udaje mi się wykręcić numer mamy i czekam, aż odbierze, wsłuchując się w sygnał.

– Halo? – słyszę w końcu jej głos, słaby i zmęczony.

– Mama? – mówię, łapczywie chwytając powietrze, jakby moje płuca nadal wypełniał dym.

HOLLY

Tkwię w cudownej przestrzeni między świadomością a snem. Nie czuję bólu dzięki pompie morfinowej i jestem niemal w stanie uwierzyć, że mięśnie, ścięgna i skóra lewej ręki zrosły się i że jej powierzchnia znów jest gładka i błada. Moje brązowe, kręcone włosy znów opadają delikatnie na plecy, z uszu zwisają mi ulubione kolczyki i potrafię bezboleśnie unieść oba kąciki ust w szeroki uśmiech na myśl o moich dzieciach. Tak, leki to wspaniała rzecz. Problem polega na tym, że choć uważnie przepisywana i dawkowana mi przez pielęgniarki chemia w cudowny sposób stępia krawędzie tego koszmaru, wiem, że już niedługo to przyjemne uczucie zamroczenia przemienie i pozostanie tylko ból i świadomość, że Augie i PJ są oddaleni ode mnie o tysiące kilometrów. Trafili tam, gdzie dorastałam – miasteczka, do którego obiecałam już nigdy nie wrócić, domu, którego progu poprzysięgam już nigdy nie przekroczyć, człowieka, którego nie chciałam, by kiedykolwiek poznali.

Melodyjka dzwonka, którą Augie, moja trzynastoletnia córka, ustawiła mi w komórce, wrywa w mnie ze snu. Otwieram jedno oko, to, które nie zaschło pod grubą warstwą maści, i wołam mamę, która musiała chyba wyjść z pokoju. Sięgam po telefon, leżący na tacy śniadaniowej przy moim łóżku, i zakończenia nerwowe obandażowanej lewej ręki krzyczą na znak protestu. Ostrożnie przekręcam się, aby podnieść telefon zdrową dłonią i przykładam słuchawkę do ucha, które mi pozostało.

– Halo? – wymawiam słowo niedokładnie, zdyszany m i nierównym głosem, jakby moje płuca nadal wypełniał dym.

– Mama? – Głos Augie jest rozedrgany, niepewny. Nie brzmi jak głos mojej córki. Jest pewna siebie, by strą, lubi przejmować inicjatywę. To dziewczyna, która nie da rozstawić się po kątach.

– Augie? Co się dzieje? – Staram się odpędzić od siebie morfinową mgłę. Suchy język lepi mi się do podniebienia. Napilabym się wody ze szklanki, która stoi na tacy, ale sprawną ręką trzymam telefon. Druga leży bezużyteczna przy moim boku.

– Nic ci nie jest? Gdzie jesteś?

Przez kilka sekund trwa cisza.

– Kocham cię, mamo – mówi w końcu szeptem i zaczy na cicho płakać.

Siadam na łóżku wyprostowana i nagle całkowicie przytomna. Zabandażowaną ręką przeszywa ból, który pnie się po karku aż do twarzy.

– Augie, co się dzieje?

– Jestem w szkole. – Augie płacze tak, jak wtedy, gdy ze wszystkich sił próbuje powstrzymać

się od łez. Niemal ją widzę: głowę ma spuszczoną, długie, brązowe włosy zasłaniają jej twarz, powieki ma zaciśnięte, aby nie pozwolić łzom spłynąć po policzkach, moje ucho wypełnia jej krótki i płytki oddech. – On ma pistolet. Ma PJ-a i pistolet.

– Kto ma PJ-a? – Piersć ściska mi przerażenie. – Augie, powiedz mi, gdzie jesteś. Kto ma pistolet?

– Siedzę w schowku. Kazał mi wejść do schowka.

Nic nie rozumiem. O kim mówi? Kto mógłby zrobić coś takiego moim dzieciom?

– Rozłącz się – mówię jej. – Rozłącz się i natychmiast zadzwoń na policję, Augie, a potem od razu do mnie oddzwoń. Rozumiesz? – Słyszę, jak pociąga nosem. – Augie! – powtarzam, tym razem ostrzej. – Rozumiesz?

– Tak – odpowiada w końcu. – Kocham cię, mamó – dodaje cicho.

– Ja też cię kocham. – Oczy wypełniają mi się łzami i czuję wzbierającą wilgoć pod bandażami, które okrywają moje uszkodzone oko.

Czekam, aż Augie się rozłączy, kiedy nagle słyszę trzy szybkie strzały, po których następują jeszcze dwa, i przesywający krzyk Augie.

Czuję, jak bandaż okrywający lewą część mojej twarzy zsuwają się, mój własny krzyk rozluźnia plastry, które je podtrzymują. Czuję, jak wątpa, niedawno przeszczepiona skóra zaczyna się rozpadać. Jestem ledwie świadoma pielęgniarek i mamy, które do mnie przybiegają i wyrywają mi z dłoni telefon.

WILL

Kiedy odjechał radiowóz drogowki, pomoc drogowa i karetka, Will w końcu był wolny. Nie mógł znieść myśli o powrocie do domu bez wnuków, więc pojechał z powrotem do kawiarni. Śnieg przestał padać i warunki na drogach były dużo lepsze, ale kiedy dojechał na miejsce, zauważył, że Verna zniknęła, a przebywający na miejscu policjant nie wiedział, czy została poinformowana o samobójstwie zięcia, czy nie. Will pomyślał sobie, że choć żadne to pocieszenie, Verna i jej rodzina będą chyba woleć takie zakończenie, niż gdyby Ray miał się okazać napastnikiem w szkole. Znowu znalazł się przy odrapanym, brudnym stoliku, pijąc kawę i starając się jakoś zabić czas. Poruszony zdarzeniami całego dnia utkwiał wzrok w gazecie, którą otworzył przed sobą, ale nie był się w stanie skupić.

Rozległy się odgłosy opon i wszystkie pary oczu skierowały się do okna. Przed kawiarnią zatrzymał się szkolny autobus.

– Kolejne dzieci! – krzyknął ktoś i ludzie ruszyli do drzwi, by je powitać. Will już odsuwał krzesło, by dołączyć do grupy, kiedy jego komórka zaczęła wibrować. Marlys. Wiedział, że powinien odebrać, ale chciał zobaczyć, czy Augie i PJ przyjechali autobusem. Niczego nie pragnął bardziej, niż przekazać Marlys radosną wiadomość, że jej wnuki są całe i zdrowe. Jego telefon umilkł, więc Will stanął z innymi przy oknie. Poczul przypływ nadziei na widok Beth i Natalie Cragg wysiadających z autobusu i rozglądał się po buziach innych dzieci w poszukiwaniu PJ-a i Augie, ale bezskutecznie. Zdenerwowany przepchnął się do Beth i Natalie, licząc, że wyciągnie od nich jakieś informacje. Nie chciał też, aby dowiedziały się o śmierci ojca od kogoś innego niż Verna lub Darlene.

– Beth, Natalie! – zawołał do nich. Na widok kogoś znajomego dziewczynkom pojaśniały oczy.

– Panie Thwaite! – krzyknęła Beth, biegnąc w jego stronę i ciągnąc za sobą Natalie. – Widział pan moją mamę albo tatę?

Will pokręcił głową, nie chcąc ani kłamać, ani ujawnić zbyt wiele.

– Wasza babcia była tu wcześniej. Zostańcie tu ze mną. Poczekamy do jej powrotu. Wie, że to tu mają być przywożone wszystkie dzieci. – Will poprowadził je do swojego stolika. – Widziałyście PJ-a i Augie? – zapytał, nie będąc w stanie dłużej się powstrzymać.

Beth i Natalie pokiwały głowami.

– On nadal je ma. W klasie. – Beth nie potrafiła spojrzeć na Willa i zaczęła płakać. Natalie objęła siostrę i wtuliła buzię w jej brzuch.

Pomieszczenie zabujało się niebezpiecznie i Will chwycił się krzesła, by odzyskać równowagę.

– Nic im nie jest? – zapytał, czując, jak z twarzy odpływa mu krew.

– Nie wiem. – Beth pokręciła głową. – Wypuścił wszy stłch oprócz kilkorga dzieci. Powiedział, że czeka na kogoś, a potem ich puści.

– Uderzył panią Oliver – powiedziała Natalie z trwogą. – Zamknął Lucy w schowku.

Will rozejrzał się, próbując pochwycić spojrzenie sierżanta Brauna. Jakieś dziecko opowiadało mu coś z ożywieniem i Will zdał sobie sprawę, że może to trochę potrwać, zanim policjant przesłucha córki Craggów.

– Usiądźcie. Zaraz dostaniecie coś do jedzenia. – Will przywołał kelnerkę gestem dłoni. – Zamówcie, co chcecie, a ja spróbuję skontaktować się z waszą babcią. – Will odszedł od stolika i stanął w rogu, gdzie było trochę ciszej i skąd mógł jednocześnie pilnować dzieci. Kiedy zadzwonił do Verny, od razu włączyła się poczta głosowa i Will zostawił jej krótką wiadomość.

– Verna, tu Will Thwaite. Beth i Natalie są w kawiarni. Nic im nie jest. Nie wiedzą, co się stało w domu ojca. Oddzwonń.

Will niepewnym krokiem przeciskał się pomiędzy rodzinami, które odzyskały swoje dzieci, i tymi, które nadal czekały na swoje, i usiadł koło dziewczynek Craggów. Kelnerka przyniosła im kakao i Natalie dmuchała na parę wijącą się nad kubkiem. Beth siedziała przygarbiona i nieobecny wzrokiem wyglądała przez okno.

– Wszy stko w porządku? – zapytał Will. Dziewczynki w milczeniu pokiwaly głowami. – Znacie człowieka, który was przetrzymywał? Widziałyście go już wcześniej? Jesteście w stanie go opisać? – zapytał, tak blisko nachylając się do Natalie, że mógł policzyć piegi na jej nosie. Natalie wzdygnęła się, a Beth przymrzyła oczy, obejmując siostrę opiekuńczo. Will odsunął się, widząc, jak je spłoszył tą kaskadą pytań.

– Przepraszam – powiedział. – Po prostu strasznie martwię się o Augie i PJ-a.

Przez chwilę wszyscy siedzieli w ciszy. Natalie małymi łyżkami upijała kakao. Beth powoli jadła frytki, które przyniósł im Lonnie.

– Był wysoki – powiedziała w końcu Beth. – Miał brązowe włosy. Nigdy wcześniej go nie widziałam. – Ciężko przełknęła ślinę i spojrzała na siostrę. – Tak bardzo się cieszyłam, że to nie nasz tata, że nie przyjrzałam się mu za dobrze. – Will zajął się wypywaniem cukru do swojej i tak już wystygłej kawy. Nie mógł nawet na nie spojrzeć. To kwestia kilku godzin, a może minut, jak dowiedzą się, że ich ojciec nie miał siły zostać dla nich na tym świecie.

– Miał na sobie brązowe spodnie. – Przypomniała sobie Natalie. – I eleganckie buty.

– Kiedy sierżant Braun będzie wolny, możecie mu to wszy stko powiedzieć. Te informacje będą bardzo pomocne. – Will chciał stamtąd wyjść. Chciał pojechać do szkoły, przebić się przez policyjne bariery, którymi ją otoczono, i walić pięściami w drzwi kampera, gdzie beczynnie czekał McKinney. Ty lko na co czekał? Aż ktoś zginie? Will nie mógł jednak zostawić Beth i Natalie, a przynajmniej nie do chwili, aż przyjedzie Verna albo Darlene. Rozejrzał się za Lonniem, licząc, że zamieni mu chłodną kawę na świeżą, kiedy zauważył, jak Natalie gapi się na gazetę, którą Will niedbale odsunął na bok, gdy podjechał szkolny autobus.

– Co się stało? – zapytał. – O co chodzi?

– To on – powiedziała Natalie podekscytowana. – To ten człowiek

Will podążył wzrokiem za jej małym, smukłym paluszkiem, zakończonym jaskrawoniebieskim lakierem do paznokci, który pokazywał na czarno-białe zdjęcie eleganckiego mężczyzny o intensywnym spojrzeniu i ledwie widocznym uśmiechu.

– Jesteś pewna? – szepnął.

– Mhm. – Pokiwała głową z powagą. – Jestem pewna.

PANI OLIVER

Pani Oliver, choć bardzo chciała, nie wierzyła, by ta sytuacja mogła zakończyć się dobrze. Mężczyzna z bronią miał w oku szaleńczy błysk i co jakiś czas mówił do siebie pod nosem „to prawie koniec”.

Nauczycielce pulsowała szczęka, dwoje dzieci siedziało w schowku z pomocami szkolnymi, a trójka pozostałych była przerażona – na tyle, że Charlotte zwymiotowała do kosza na śmieci. Pani Oliver zawsze była kobietą czynu. Wydała na świat pierwsze ze swoich dzieci, ucząc się w college’u dla nauczycieli i w ciągu kolejnych sześciu lat urodziła jeszcze troje, umiała zmienić koło, dogoniła kiedyś grupę nastolatków na deskorolkach, którzy przewrócili starego pana Figga przed sklepem spożywczym. Z pewnością była w stanie stawić czoła temu obłąkanemu intruzowi, ale z jakiegoś powodu nie potrafiła. „Nie rób tego” – szeptał Cal w jej ucho. „On ma broń, Evelyn. Przynajmniej raz się nie wyrywaj”.

Pani Oliver zdecydowanie nie była typem, który grzecznie stoi z boku. Wedle jej szacowań miała ostatnią szansę, by wszystko naprawić. Powoli podeszła do swojego biurka, podczas gdy mężczyzna znów zajęty był swoją komórką, nerwowo tupiąc nogą i drapiąc się po czole. „Evelyn” – znów usłyszała znużony głos Cala, kiedy sięgała po zszywacz. Nie był to jeden z tanich zszywaczy, które hurtowo zamawiała szkoła. Był to ciężki, przemysłowy zszywacz w całości wykonany z metalu, który około 1972 roku pani Oliver otrzymała na specjalne zamówienie. Jej dłoń owinęła się wokół chłodnej stali i zawahała się na chwilę, zanim rzuciła nim w intruza. Była dumna z zaskakującej siły swojego sześćdziesięcioletniego ramienia, kiedy zszywacz sunął w powietrzu. Gdyby mężczyzna spojrział w górę o choć setną sekundy później, zszywacz na pewno dzieliłby go w głowę. Pani Oliver mogła niemal usłyszeć, jak jej uczniowie będą o tym opowiadać dwadzieścia lat później: „Tak, zszywaczem. Obezwładniła napastnika zszywaczem, dacie wiarę?”. Nie mieli mieć jednak ku temu powodów. Mężczyzna spojrział w górę, przymrużył oczy i trzykrotnie nacisnął na spust, trafiając w ścianę tuż obok drzwi schowka. Pani Oliver jęknęła na widok zniszczonej ściany, przerażona myślą, jak mało brakowało, by kule sięgnęły Lucy i Augie. Mężczyzna spojrział spode łba na nauczycielkę i jednym płynnym ruchem wymierzył jej cios w klatkę piersiową i powalił na ziemię.

– Chcesz zginąć? – ryknął, celując pistoletem w jej głowę.

MEG

Słyszę, jak piętro wyżej rozlegają się strzały, a ich odgłosów nie da się z niczym pomylić.

– Cholera – mówię pod nosem i ociężale wbiegam po schodach. Włączam mikrofon przy kołnierzyku. – Padły strzały. Powtarzam, padły strzały.

Rozlega się trzask zakłóceń i słyszę w uchu głos McKinneya.

– Wkroczymy tak szybko, jak się da. Nie ruszaj się z miejsca, nadciąga wsparcie. I Meg – pośpiesznie dodaje komendant. – To nie Tim.

Czuję zamęt w głowie. Choć w głębi duszy wiedziałam, że tak jest, nadal nie mogę dojść, kto wzywa mnie do klasy i kto potrzebuje wziąć zakładników, żeby mi zechciała się z nim spotkać. Chcę zapytać, skąd McKinney to wie i co się działo z Timem przez cały czas, ale nie pora na to.

– Zrozumiałam – mówię, wiedząc, że powinnam zostać, gdzie jestem, i czekać na posiłki, ale idę dalej przed siebie. To na pewno mój brat. Skurwiel. Myślę o przetrzymywanych dzieciach. Mimo mrozu za oknem po plecach splywa mi pot i wycieram jego kropelki z czoła. Oddech mam nierówny, skupiam się więc na tym, by wdychać i wydychać powietrze gładkimi strumieniami. Sądzę długie kroki, zaglądając przez szybki w drzwiach do każdej klasy.

To skrzydło szkoły wydaje się puste i wiem, że klasa pani Oliver to jedyna, w której ktoś jeszcze przebywa. Przybliżając się do niej, słyszę coraz głośniejszy płacz dziecka. Czuję w nim ogromny strach, przerażenie, ale nie ból. Temu dziecku, przynajmniej w sensie fizycznym, nic nie dolega. Zatrzymuję się jakieś dwadzieścia metrów od klasy, przylegam plecami do ściany i zerkam w stronę schodów, żalując, że nie ma za mną wsparcia. Powinnam zacząć na grupę szturmową, ale idę dalej. – Jestem! – wołam. Mój głos wydaje się za wysoki, zbyt niepewny. – Wszystko w porządku? Słyszałam strzały. – Nikt się nie odzywa. – Czy ktoś jest ranny?

– Nie – odpowiada mi gromki, męski głos. Nie rozpoznaję rozmówcy. Chcę z nim dalej rozmawiać, bo może zdołam się zorientować, kto to, zanim wejdem do środka.

– Przyśląm, tak jak chciałeś. Ile jest z tobą osób?

Bez odpowiedzi.

– Posłuchaj – mówię, próbując nie okazywać zniecierpliwienia. – Chcę z tobą porozmawiać, ale muszę wiedzieć, że na wejściu mnie nie zastrzelisz.

Znów cisza. Wtedy odzywa się cienki głosik

– Jest tu troje dzieci i nauczycielka. I jakiś pan. Nikt nie jest ranny. To był wypadek

Łączę się z McKinneyem.

– Falszywy alarm, bądźcie w gotowości. – Następnie odzywam się do mężczyzny w klasie. –

Okej, wchodzę do środka, jestem sama i nie mam broni – kłamię, wkładając pistolet do uprząży pod polarem, który zdążyłam zarzucić na kamizelkę, i przez ramię zerkam na ciemny, opustoszały korytarz. Myśląc o Marii i żałując, że nie miałam możliwości jeszcze raz z nią dziś porozmawiać, biorę głęboki wdech, prostuję ramiona i pewnym krokiem wchodzę do środka.

WILL

Will nadal przyglądał się zdjęciu mężczyzny, którego Natalie wskazała jako napastnika ze szkoły, kiedy raz jeszcze zadzwonił jego telefon.

– Tak? – odezwał się nieobecny tonem, próbując sobie przypomnieć, gdzie wcześniej widział tego człowieka. Nazwisko pod fotografią nic mu nie mówiło.

– Will. – Spanikowany głos Marlys dotarł do jego uszu.

– Marlys? Co się stało? Holly nic nie jest?

– Co tam się dzieje? Holly rozmawiała z Augie i mówi, że słyszała strzały. – Will musiał się skupić, aby zrozumieć swoją żonę. Mówiła bez sensu. Holly, Augie, strzały? – Wpadła w histerię – powiedziała Marlys, sama bliska tego stanu. – Lekarze musieli jej dać coś mocnego na uspokojenie. Will, co się dzieje?

Will nie wiedział, co odpowiedzieć. Spojrzał w górę i zobaczył, jak sierżant Braun również rozmawia przez telefon. Ich spojrzenia się spotkały. Braun spojrzał na Willa z mieszkanką litości i rezygnacji i zaczął iść w jego stronę. W jednej chwili Will wiedział, że Marlys mówi prawdę.

– Dowiem się, co się dzieje i oddzwonię – powiedział Will do żony słabym głosem i się rozłączył.

– Zostańcie tu, dziewczynki – powiedział do Beth i Natalie. – Wasza babcia zaraz tu będzie. – Po klejącej się podłodze ruszył w stronę policjanta, z którym spotkał się w połowie restauracji. Rozluźnił pięść, w której ścisnął gazetę i próbował ją wygładzić, jednocześnie pokazując zdjęcie policjantowi.

– To ten człowiek – powiedział Will ochryplym głosem.

– Kto to? – zapytał Braun, marszcząc brew.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Will. – Ale mam zamiar się tego dowiedzieć.

HOLLY

Próbuję się wyrwać z otumanienia morfiną, którą pielęgniarka wstrzyknęła mi do kroplówki.

– Już dobrze – mówi. – Uspokój się, Holly. Jeśli nie będziesz uważać, zedrzesz sobie przeszczepy. Nie chcesz przecież jeszcze raz przez to wszystko przechodzić, prawda? Masz za sobą taką długą drogę.

Lekko uderzam jej dłonie, próbując ją od siebie odgonić. Chcę wstać z łóżka i iść po swoje dzieci. Nigdy nie powinnam była pozwolić na to, by znalazły się z dala ode mnie. Chcę złapać Augie za ramiona i potrząsnąć nią, i powiedzieć, że wypadki się zdarzają, że nie winię jej za mój stan, za moje rany. Cieszę się jedynie, że ani jej, ani PJ-owi nic się nie stało. Kręci mi się w głowie i w moim polu widzenia pojawia się twarz mamy.

– Mamusiu – mówię, choć nie nazywałam jej tak, odkąd skończyłam pięć lat.

– Wiem – odpowiada. Trzęsie się jej podbródek – Wiem.

AUGIE

Kiedy słyszymy strzały, dziewczynka, która siedzi ze mną w schowku, zaczyna walić pięściami w drzwi i rzucać się na nie, żeby je wyważyć.

– Ciii – mówię do niej. – Wszystko będzie dobrze. – Ale wiem, że nie będzie. Dziewczynka tak mocno płacze, że ma problem z oddychaniem.

– Ciii, zadzwonię na policję. Moja mama powiedziała, żebym zadzwoniła na policję – mówię jej. Tak mocno się trzęsę, że szcękają mi zęby. Wybieram trzy cyfry i ktoś odbiera, ale ledwie go słyszę przez płacz dziewczynki.

– Jestem w szkole, w sali pani Oliver, a on strzela – wypalam w końcu. – Siedzę w schowku razem z inną dziewczynką. Przyślijcie pomoc, proszę. – Rozłączam się, mając nadzieję, że przekazałam przynajmniej najistotniejsze informacje.

W końcu dziewczynka przestaje wyć i zwija się w rogu w kłębek. Oświetlam sobie twarz telefonem, żeby mnie widziała.

– Jestem Augie. – Siadam koło niej i kieruję na nią światelko. Jej buzię pokrywają białe i czerwone plamy. Dziewczynka wydaje z siebie ciche czkania i sisse kciuk.

Wyciąga go z ust i mówi:

– Jestem Lucy. – Po czym wkłada go z powrotem.

Słyszę, jak po drugiej stronie drzwi ktoś płacze, ale to nie PJ.

– PJ – wołam przez drzwi. – Nic ci nie jest?

– Nie. Same pudła – odkrykuje, a ja osuwam się z ulgą na podłogę. Same pudła – powtarzam w myślach. Tak mówi tylko PJ.

– Policja jest już w drodze – mówię Lucy, mając nadzieję, że to prawda.

Lucy wzdycha.

– A jeśli znów zaczniesz strzelać? – zastanawia się na głos.

– Wytrzymaj jeszcze, za kilka minut stąd wyjdziemy – obiecuję. Spoglądam na telefon i widzę, że bateria się kończy. Szybko wbijam numer mamy, ale po czterech dzwonekach zgłasza się poczta głosowa.

– Mamo – mówię. – Tu Augie. PJ-owi nic nie jest. Za niedługo zadzwonię. – Milknę, chcąc powiedzieć jej więcej, ale nie wiem co. – Przepraszam – szepczę w końcu. – Bardzo cię przepraszam.

Z klasy dobiega kolejny głos. Kobieta.

– To ty? – mówi głośno, jakby nie mogła w to uwierzyć. – Dlaczego?

WILL

Śnieg znów zaczął padać, ale tym razem bardziej łagodnie, jak gdyby burza śnieżna straciła impet. Niczym dziecko w ostatnich rzutach napadu złości – pomyślał Will. Kiedy Holly była mała, potrafiła się strasznie wściekać. Will często się śmiał, mimo swej frustracji, z tego, jak szeroko otwierała usta i zaczynała wyć niczym nowo narodzone cielę wzywające matkę. Jego śmiech jedynie dolewał oliwy do ognia, więc Holly wstrzymywała oddech, aż jej plecy zaczynały się garbić, a twarz nabierała niepokojącego, niebieskiego odcienia. Marlys chwyciła ją w ramiona i błagała, żeby zaczęła oddychać.

– Nie zwracaj na nią uwagi. – Will łajał żonę. – Im bardziej będziesz na to reagować, tym dłużej będzie to robić. – Zastanawiał się teraz, czy rzeczywiście miał rację. Może gdyby ostrożnie posadził sobie Holly na kolanie i trzymał ją blisko piersi, nucząc kołysankę, której fragment zapamiętał z dzieciństwa, jednocześnie kołysząc ją w przód i w tył, może sprawy między nimi potoczyłyby się inaczej.

– Jezu – szepnął Will do różańca z granatu i srebra, który wisiał okręcony wokół samochodowego lusterka, a jego koraliki łagodnie o siebie uderzały. Był to ten sam różaniec, który dała mu matka, zanim pojechał do wojska. Pamiętał, jak śpiewał do cielaków, których matki cierpiały na skurcze maciczne albo wypadnięcie pochwy. Czy nie mógł dać córce tego samego? Nieostrożnie jechał z powrotem do szkoły przez zasypane śniegiem ulice, ciemne i opuszczone. Nie obchodziło go, czy będzie musiał staranować barykady – jechał zabrać swoje wnuki do domu. Do domu i do ich matki.

PANI OLIVER

Pani Oliver padła na ziemię powalona ciosem mężczyzny i udawała, że nie żyje. Próbowwała uspokoić oddech, sprawić, by mięśnie stały się wiotkie. „Evelyn” – usłyszała w głowie ganiący głos Cala. „Coś ty sobie myślała”.

Nie wiem – w myślach odpowiedziała mężowi. Pierwszy raz naprawdę nie wiem. Przypomniała sobie, jak kiedyś siedziała z Calem przed telewizorem i oglądała z nim reportaż o kłesce żywołowej w jakimś odległym miejscu, a mimo to po policzkach ciekły jej łzy.

– Nie płacz, Evie – powiedział wtedy Cal. – Od życia, śmierci, tragedii zawsze dzieli nas tylko jeden krok, jeden oddech, i czasem nie można nic na to poradzić.

Zastanawiała się, co jej dzieci powiedzą na pogrzebie. Czy będą mieć do niej pretensje o długie godziny, które spędziła z dziećmi innych ludzi, czy będą mieć jej za złe nieprzespane noce, podczas których martwiła się o ośmiolatkę zaniechywaną przez ojca, agresywną matkę, nieumiejętność czytania czy nawiązywania kontaktów? Czy przystaną przy klasowych zdjęciach z dbałością powieszonych na ścianach domu, w którym spędziły dzieciństwo, licząc i porównując liczbę fotografii, na których ich matka pozuje z obcymi dziećmi i z własnymi?

Płacz Charlotte przerwał głos kobiety i dziewczynka momentalnie umilkła.

– To ty? – powiedziała kobieta z niedowierzaniem. Pani Oliver odważyła się otworzyć jedno oko, żeby zobaczyć, co się dzieje. Mężczyzna stał do niej plecami, nadal mocno zaciskając palce na pistolecie, teraz jednak mierzył w skroń PJ-a Thwaite’a, podduszając chłopca ramieniem. Pani Oliver z bólem podniosła głowę, próbując lepiej się przyjrzeć nowoprzybyłej osobie. Sierżant Barrett, mama Marii. Czy to na nią czekali cały ten czas? To nie miało sensu, choć żadnego ze zdarzeń tego okropnego dnia nie można było nazwać sensownym.

Charlotte i Ethan spojrzeli wyczekująco na swoją nauczycielkę w nadziei, że coś zrobi. Pani Oliver chciała wrzucić ramionami, jakby próbowała zapytać „ale co?”, ale odczuwała zbyt silny ból. Ich oczy pozostały jednak w niej utkwiłone, nie zwracali uwagi na nikogo innego. Czekali, aż ich nauczycielka coś zrobi, nieważne co.

MEG

– Stuart? – mówię z niedowierzaniem, wpatrując się w niego. – Co ty wyprawiasz? Odlóż broń. Odbilo ci?

– Odbilo? – Mężczyzna zaśmiał się smutno. – Chyba można tak powiedzieć. To częściowo przez ciebie, Meg.

– To znaczy? Nie rozumiem. – Widok Stuarta, który mierzy z broni do małego chłopca, sprawia, że nie mogę zaczerpnąć oddechu.

– Nie słyszałaś? Nie miałaś okazji przeczytać dzisiejszej gazety, co? – pyta Stuart lekkim tonem, jakbyśmy rozmawiali przy piwie.

– Nie, nie słyszałam. Może mi powiesz, o co chodzi. Właściwie to nic z tego nie rozumiem. – Nie spuszczać wzroku ze Stuarta, staram się ocenić sytuację. Ranna pani Oliver leży na podłodze, po mojej lewej stronie jeden uczeń i jedna uczennica, bez obrażeń, i jedno dziecko trzymane jako zakładnik.

– W ciągu tylko kilku miesięcy straciłem żonę, dzieci i pracę, i to wszystko twoja wina, Meg. – Stuart zaciera świątko na chłopcu, mocniej przytykając mu do skroni luźny pistolet.

– Stuart – mówię najspokojniejszym tonem, na jaki mnie stać. – Puść dzieci i wszystko mi opowiedz. Proszę, one nie mają z tym nic wspólnego.

– Dałaś się na chwilę nabrać, co? – Stuart błysnął pełnym wściekłości uśmiechem. – Myślałaś przeze mnie, że to twój mąż terroryzuje szkołę, prawda?

– Nie – odpowiadam. – Ani na chwilę nie uwierzyłam, że Tim mógłby to zrobić. Dlaczego mi powiedziałeś, że jest o to podejrzany?

– Bo był. Przez jakieś pięć minut. Mój informator. – Widzi moje pełne powątpiewania spojrzenie. – Tak mam informatora w biurze szeryfa. No więc powiedział mi, że dzwoniła twoja teściowa, bo podobno Tim nagle zniknął. To mój informator zasugerował, że to on może być napastnikiem. Pomyślałem, że to całkiem zabawne.

– Tim by tego nigdy nie zrobił – mówię raz jeszcze. – Nie sądziłam też, abyś ty był do tego zdolny.

– Żona mnie wyrzuciła. Dowiedziała się o naszym romansie – ciągnie Stuart, jakby mnie nie słyszał. Mam ochotę poprawić to stwierdzenie. To ty miałeś romans, Stuarcie. Nie ja. Nie wiedziałam, że jesteś żonaty i że masz troje dzieci, pamiętasz? Ale milczę. Nie jestem tu po to, by go denerwować, tylko z nim rozmawiać, aż dotrze tu jednostka szturmowa albo aż chwycę za broń i sama go zastrzelę.

– Nie powiedziałam o nas twojej żonie, przyśięgam, Stuarcie. To nie ode mnie się dowiedziała. Stuart prycha i zaczyna się śmiać.

– Nikt inny o nas nie wiedział, Meg. To na pewno byłaś ty. Dwadzieścia dwa lata małżeństwa, a ona tak po prostu mnie wyrzuciła.

Bardzo dziwne – mam ochotę sarknąć, ale w zamian podnoszę dłonie na znak, że się poddam.

– Bardzo mi przykro, Stuarcie, ale nigdy nie próbowałam nawiązać z nią kontaktu. Sama do mnie przyszła.

– Moje dzieci nie chcą ze mną rozmawiać. Mieszkam w jakimś obscurnym hotelu. Moja żona miała adwokata, który z radością odciałyby mi jaja, jeśli tylko to by dało jej ugodę, której sobie zażywała.

Zauważam, że Stuart mówi o swojej żonie w czasie przeszłym, co sprawia, że po plecach przebiega mi dreszcz przerażenia.

– Stuarcie – zaczynam, bojąc się odpowiedzi. – Co zrobiłeś? Co to znaczy, że twoja żona miała prawnika? Zrezygnowała z pozwu? – Stuart uśmiecha się do mnie protekcyjnie i wzrusza ramionami.

– A kiedy wczoraj przyszedłem do redakcji, czekał na mnie naczelny. Najwyraźniej ktoś przeprowadzał swoje własne śledztwo na mój temat.

– Stuart, nie mam...

– Kurwa, Meg, stul mordę – krzyczy, na co chłopiec w jego uścisku wydaje z siebie cichy jęk

– Ktoś do nich wydzwaniał i pytał o moją pracę. Stwierdzili, że ubarwiłem fakty w moim artykule o zgwałconej dziewczynie i teraz uważają też, że zmyśliłem historię z Afganistanu.

Przez całą rozmowę ze Stuartem trzymany przez niego chłopiec, którego poznaję z zimowego przedstawienia Marii, wpatruje się w moją twarz. Okulary ma przekrzywione, a jego kędzierzawe włosy stoją dęba, ale oczy ma niestrudzone.

– Stuart, może puścisz PJ-a? – mówię, zgadując, że ten chłopiec to wnuczek Willa Thwaita'a. – Wiesz, że jego matka jest w poważnym stanie, prawda? Ciężkie obrażenia po pożarze. Daj spokój, chłopak tyle przeszedł. Puść dzieci. Przyszłam, nie tego chciałeś? Myślisz, że to ja zaczęłam cię sprawdzać i to przeze mnie zostałeś zwolniony? – Próbuję z nim dyskutować, ale jednocześnie widzę, jak wzrok PJ-a opada na podłogę, gdzie leży jego nauczycielka. Centymetr po centymetrze przysuwa się do Stuarta. Jezu – myślę sobie – mam nadzieję, że nie zrobi niczego głupiego.

PANI OLIVER

Pani Oliver czuła, jak obolałe jest jej ciało. Z każdym wdechem szczękę przeszywały drgania, a zranione biodro pulsowało. Najbardziej bolała ją jednak świadomość, że nie udało się jej obronić swoich uczniów.

Ten okropny mężczyzna, który mierzył teraz do PJ-a, nie miał najwyraźniej zamiaru opuścić jej klasy żywy i nie obchodziło go, kogo pociągnie za sobą. Żałowała, że nie miała okazji jeszcze raz porozmawiać ze swoimi dziećmi i z Calem. Chciała im powiedzieć, jak szczęśliwe miała życie i jaka czuła się przez nich kochana. Chciała, by wiedzieli, że choć w domu miała cały pokój pamiątek z nauczycielskiego życia – zdjęć, robionych ręcznie ozdób, listów z podziękowaniami i starannych rysunków autorstwa swoich uczniów – najbardziej liczyła się dla niej miłość własnych dzieci.

Mimo bólu z determinacją przesuwała dłoń po podłodze, aż koniuszkami palców dotknęła zimnego metalu masywnego zsywacza.

AUGIE

Przesuwam dłońmi po ścianach, szukając włącznika światła, ale znajduję jedynie papier kolorowy i koszyki pełne mazaków i kredek. Coś przejeżdża mi po plecach, aż się wzdrygam, i sięgam ręką za plecy, żeby strącić to coś, najpewniej pająka. Natrafiam jednak na sznurek zwisający z sufitu. Ciągnę za niego i robi się jasno. Lucy zakrywa oczy dłońmi przed ostrym światłem. Rozglądam się po schowku, szukając czegoś, co pomogłoby nam się stąd wydostać, ale niczego nie widzę.

Głosy w klasie robią się coraz donośniejsze.

– To twoja, kurwa, wina! – krzyczy mężczyzna. – Moja praca, moja żona, moje dzieci, wszystko przypadło!

– O co mu chodzi? – pyta mnie dziewczynka. – Co on robi?

– Nie wiem – przyznaję. Wiem za to, ale nie mówię tego głośno, że jeśli mężczyzna otworzy schowek, to nie będziemy miały dokąd uciec. Patrzę w górę i widzę dużą kratkę wentylacyjną. Spoglądam na Lucy i mówię:

– Chyba mam pomysł.

WILL

Było tak cicho i spokojnie, że Will pomyślał przez chwilę, że wszyscy poszli do domu. Kiedy podjechał bliżej, zobaczył jednak, że policja jest nadal na miejscu, tak samo jak karetki, których czerwień przykrywała śnieg. Will zaparkował obok kampera i nadal trzymając gazetę w dłoni, wysiadł z auta i zapukał do drzwi. Bez odpowiedzi. Spojrzał w kierunku szkoły. Parking był niepokojąco cichy i statyczny. Jedyne zdradziecka smużka z rury wydechowej karetki dawała znać, że ktoś jest w środku.

Coś musiało się dziać w szkole. Will sięgnął do pikapa po strzelbę i pobiegł do głównego wejścia do szkoły. Zamknięte. Zaczął iść wzdłuż budynku, bez powodzenia próbując po drodze wszystkie drzwi, aż natknął się na okno na parterze, którego ekran został wybity. Ostrożnie położył strzelbę na parapecie i drżącymi rękami próbował podciągnąć się na niski gzyms i wtoczyć się do środka. Jego but poślizgnął się na mokrej cegle i stracił grunt pod nogami. Już miał spróbować raz jeszcze, kiedy usłyszał za sobą mrozące krew w żyłach kliknięcie odbezpieczonego pistoletu.

MEG

– Stuart – mówię, próbując go ułagodzić. – Widzę, że jesteś wzburzony. Ale proszę, błagam cię, nie wyładuj się na tych dzieciach i ich nauczycielce. Puść ich.

– Wiesz, że odbiorą mi nagrodę Pritcharda-Saya? Będę musiał oddać sto tysięcy dolarów. – Kręci głową. – Nie mam już takich pieniędzy. Wydałem je na dom dla mojej pieprzonej żony.

– Stuart, proszę...

– Miałem nadzieję zastać tu Marię – mówi rozgoryczony. – Gdyby była tu Maria, przybiegłabyś od razu.

Serce mi się ściska na dźwięk imienia mojej córki.

– I tak przyszłam – mówię cicho. – Widzisz. Jestem tu. – Mam nadzieję, że nasza sklecona naprędce brygada już zmierza w moją stronę.

– Tak, ale gdyby była tu Maria, a ja trzymałbym jej pistolet przy głowie, to co byś zrobiła, Meg? – pyta Stuart.

Patrzę na niego z niedowierzaniem, ale ostrożnie dobieram słowa.

– Robiłabym to, co teraz. Próbowalabym z tobą porozmawiać i ci pomóc – mówię, choć prawda brzmi inaczej. Gdybyś przyłożył pistolet do głowy mojej córce, to rozwalilibym ci twój, popieprzony skurwy synu.

Stuart prycha i kręci głową.

– Nieprawda, Meg. – Stuka lufą o czubek głowy PJ-a.

– Jeśli go zastrzelisz, pójdziesz siedzieć do końca życia – mówię. – Zabójcy dzieci nie cieszą się w więzieniu dużą sympatią.

– Oboje wiemy, że nie wyjdę stąd żywy, Meg. Jedyna dobra rzecz, jaka z tego wyniknie, to to, że będziesz żyć ze świadomością, że śmierć tych dzieci i ich nauczycielki to twoja wina. – Uderza mnie ogrom tego, co mówi Stuart. Zwabił mnie tu, zwabił mnie do tej sali i zabije na moich oczach ty lu zakładników, ilu mu się uda, zanim zdołam sięgnąć po broń.

– Dlaczego? – jeszcze raz pytam bezradnie, cały czas starając się wymyślić, jak unieszkodliwić Stuarda, zanim odda pierwszy strzał.

– Bo mogę – odpowiada lodowatym tonem.

AUGIE

Wspinam się po półkach przy mocowanych do drzwi schowka do otworu wentylacyjnego przy suficie.

– Podaj mi nożyczki – mówię do Lucy, na co ona przeszukuje pudełko na jednej z półek, aż w końcu podaje mi parę. Próbuję odkręcić śrubki, które przytrzymują kratkową pokrywę na otworze, kiedy nagle słyszę coś o zabiciu dzieci i upuszczam nożyczki na podłogę. Lucy szybko je podnosi.

– Co robisz? – pyta.

– Schowamy cię tu – mówię jej. Patrzy na mnie z powątpiewaniem. – Słuchaj, jeśli on otworzy drzwi, celując z broni, to naprawdę będziesz chciała tam siedzieć. – Kiwa głową, a ja jeszcze raz próbuję odkręcić śrubkę końcówką nożyczek. Śrubki puszczają łatwiej, niż podejrzewałam i w ciągu kilku minut mam je wszystkie w dłoni.

– Ściągnę pokrywę z otworu i podam ci ją. Udźwigniesz?

Dziewczynka kiwa głową, więc ostrożnie podaję jej kratkę.

– Wespnij się do mnie, Lucy. – Znow patrzy z niedowierzaniem, ale po chwili zaczyna ostrożnie stawiać nogę za nogą, aż staje koło mnie. – Podesadź cię i cokolwiek się stanie, nie wychodź, dopóki nie przyjdzie policja.

– Nie chowasz się ze mną? Proszę, chodź ze mną.

– Obie się nie zmieścimy – mówię jej. – Będziesz bezpieczna, obiecuję. On nie będzie marnował czasu na szukanie cię tutaj. – Lucy spogląda na mnie smutno i przeciągle, ale robi to, co każe i podciąga się do ciemnego i zakurzonego otworu, aż widzę tylko podeszwy jej tenisówek. – Nie będę zakładać pokrywy z powrotem, położę z przodu tylko stertę papierów, żeby nikt cię nie zauważył, dobrze?

– Dobrze – odpowiada przestraszonym głosem.

– Pamiętaj, nie wychodź, dopóki nie będziesz pewna, że nic ci się nie stanie. – Zastawiam wyłot otworu stosem papierów kolorowych. Schodzę na dół i nasłuchuję tego, co się dzieje w klasie. Jest cicho. Zbyt cicho. Muszę jakoś dostać się do PJ-a. Przekręcam uchwyt w drzwiach i rzucam się na nie. Krzesło odskakuje nieznamnie.

Spod sufitu odzywa się głos Lucy.

– Co się dzieje?

– Wszystko dobrze, nie martw się – odpowiadam, kładąc się płasko na podłodze, żeby zerknąć przez wąską szczelinę pod drzwiami. Nie widzę za wiele, tylko nogi krzesła. Rozglądam się po

schowku. Musi tu być coś, czego mogę użyć, by się stąd wydostać. Widzę w rogu długą drewnianą linijkę. Wsuwam ją pod drzwi i popycham nią nogę krzesła, które odrobinę się przechyla, odsuwając od drzwi. To samo robię z drugą nogą. Popycham tak nóżki linijką, aż widzę, że krzesło za chwilę się przewróci, ale ostatecznie staje prosto ledwie kilka centymetrów od drzwi. Ostrożnie przekręcam gałkę, uderzając nią o oparcie krzesła, ale drzwi nie są już zablokowane. Muszę jedynie odepchnąć krzesło drzwiami i będę w stanie wrócić do klasy i do PJa.

WILL

– Stać – odezwał się głos zza pleców Willa. – Rzuć broń, ręce za głowę i odwróć się powoli.

– Chcę tylko znaleźć moje wnuki – wyjaśnił Will, ale zrobił, jak mu kazano.

– Jezu – jęknął policjant, kiedy zobaczył, z kim ma do czynienia. – Co pan do diabła wyprawia, panie Thwaite? – Był to Kevin Jarrow, jeden z policjantów z Broken Branch. Will zaczął opuszczać ręce, ale Jarrow nadal mierzył do niego z pistoletu. – Ręce wyżej – kazał.

– Chcę tylko znaleźć PJ-a i Augie – próbował wyjaśnić Will. – Augie zadzwoniła ze szkoły do mojej córki. Słyszała wystrzał. – Will spojrzał na Jarrowa błagalnie. – Nie mogłem tego wszystkiego znieść. Musiałem się dowiedzieć, co tu się dzieje.

– Próbujemy zrobić dokładnie to samo i nie należy nam tego utrudniać. Jezu, przecież mogłem pana zastrzelić. – Jarrow nachylił się i podniósł z ziemi strzelbę Willa, opróżnił magazynek i włożył sobie naboje do kieszeni.

– Nie miałem złych zamiarów, Kevin. Ale muszę wyciągnąć z tej szkoły moje wnuki – powiedział Will, pozwalając, by Jarrow przeszukał mu ubranie. Kiedy przekonał się, że Will nie ma przy sobie innej broni, zaprowadził go do radiowozu, posadził na tylnym siedzeniu i kazał się nie ruszać.

– Nie chcę zakładać panu kajdanek, panie Thwaite, ale zrobię to, jeśli będzie trzeba. Muszę się skoncentrować na szkole i nie marnować czasu na niańczenie pana, jasne? – powiedział surowym tonem.

Will ze smutkiem pokiwał głową.

– Przepraszam.

Jarrow spuścił z tonu.

– Proszę po prostu trzymać się z dala od kłopotów. Robimy co w naszej mocy. – Zamknął drzwi auta z hukiem i zostawił Willa samego. Mężczyzna próbował zobaczyć coś przez okna, ale gęsta pokrywa śniegu skutecznie przysłoniła szyby.

Zawibrował telefon Willa. Widząc, że to Marlys, poczuł chęć, by go nie odbierać, ale wiedział, że nie może tego zrobić swojej żonie. Była równie przerażona i żądna informacji co on. Nie wiedział tylko, jak jej powiedzieć, że prawie został aresztowany za próbę włamania z bronią do szkoły i nie miał żadnych nowych wieści o wnukach.

– Halo? – powiedział, starając się mówić z pewnością siebie.

– Tato? – odezwał się zapłakany głos, na co żołądek Willa zrobił się ciężki jak ołów. – Błagam, powiedz, że Augie i PJ-owi nic nie jest.

PANI OLIVER

Pani Oliver powoli przyciągnęła do siebie masywny zszywacz, znajdując pocieszenie w jego ciężarze pod swoją dłonią. To była jej ostatnia szansa – pomyślała. Gdyby mogła choć na chwilę odwrócić uwagę mężczyzny, by sierżant Barrett sięgnęła po broń i zakończyła życie tego okropnego człowieka.

Nie bez trudności pani Oliver podniosła się najpierw na łokcie, potem na kolana. Na początku pomyślała, że zamachnie się zszywaczem tak mocno, jak może, i wytrąci nim pistolet z rąk mężczyzny, ale nie miała pewności, czy jest na tyle silna.

– Stuart – błagała sierżant Barrett – puść PJ-a. Nie musisz zabijać niewinnych ludzi, żeby dostać to, czego chcesz. Chcesz popełnić samobójstwo? Przyłóż pistolet do własnej głowy. To chyba lepsze, niż żebyś ja cię zabiła.

Wszystko potoczyło się tak szybko, że pani Oliver nie zdołała nawet mrugnąć. Mężczyzna odwrócił się nagle i bez zawahania pociągnął za spust. Zszywacz wypadł pani Oliver z dłoni i odrzuciła ją siłą strzału. Leżąc na plecach, spojrzała z zaniepokojeniem na swoją rękę, która w jednej chwili stała się beużyteczna, i na strumień krwi, który z niej wypływał. Równie szybko mężczyzna znów zwrócił się w stronę PJ-a. Próbowwała krzyknąć, ale jej szczęka ostatecznie przestała działać i zastygła rozdziawiona. Zamknęła oczy, czekając na kolejny strzał. Jej jedyną pociechą było to, że umrze razem z dziećmi i poprowadzi je do światła czy gdziekolwiek, gdzie miały iść.

Huk nie był tak głośny, jak się spodziewała. Wydawał się raczej stłumiony i odległy. Miała nadzieję, dość absurdalną, że może dla PJ-a strzał nie był tak bolesny jak dla niej.

AUGIE

Potykam się, otwierając drzwi, upadam i widzę, jak ten człowiek trzyma lufę przy głowie PJ-a. Próbuję do niego krzyknąć, ale głos grzęźnie mi w gardle, gdy padam na podłogę. Słyszę krzyki Lucy z otworu wentylacyjnego. Mężczyzna odwraca się w moją stronę i widzę zaskoczenie na jego twarzy. Zakrywam głowę dłońmi i w uszach eksploduje mi huk kolejnego wystrzału. Nagle słyszę tylko dzwonienie i gdy ośmielam się podnieść wzrok w poszukiwaniu PJ-a, wszędzie widzę krew.

HOLLY

Uspokoiliam się na tyle, że pielęgniarki mogą w końcu sobie pójść. Udaje mi się też przekonać mamę, żeby dała mi swój telefon.

– Tato? – powtarzam i słysząc jego milczenie, wiem, że nie jest dobrze. – Błagam.

Ojciec odchrząkuje i mówi:

– Nie wiem nic więcej, Holly. Próbowałem sam sprawdzić, co się dzieje, ale nikt nie chce mi nic powiedzieć. – Opadam z sił, słysząc jego łamiący się głos. Oboje płaczymy przez chwilę, nie mówiąc ani słowa. Chyba nigdy nie słyszałam, żeby ojciec płakał, nigdy nie słyszałam takiej bezradności w jego głosie.

– Opowiedz mi o nich – szepczę w końcu. – Powiedz mi, co mnie ominęło.

Ojciec parę razy pociąga nosem i gdy w końcu się odzywa, głos mu drży.

– Och, Hol, masz wspaniałe dzieci – zaczyna, a ja opieram się na poduszkach i kiwam głową do telefonu. To prawda, mam wspaniałe dzieci.

MEG

Kiedy tylko Stuart odwraca się ode mnie, sięgam do uprząży i wyciągam broń. Widzę, jak nauczycielkę Marii odrzuca do tyłu, gdy kula dosięga jej ręki. Zanim Stuart zdola odwrócić się do PJ-a, krzyczę do dzieci, by padły na ziemię, i PJ momentalnie kuca na podłogę i chowa się za biurkiem nauczycielki. Zza pleców Stuarta rozlega się jakiś odgłos, na co on na krótką chwilę zastyga. Gdy odwraca się w stronę hałasu, z szafy wyłania się Augie Baker. Stuart ma ją na celowniku i oboje bez wahania pociągamy za spust.

WILL

– Szkoda, że nie widziałaś miny PJ-a, kiedy zobaczył, jak rodzi się cielę – opowiadał swojej córce Will, siedząc na tylnym siedzeniu zamkniętego radiowozu i śmiejąc się pod nosem na samo wspomnienie. – Ten dzieciak spokojnie mógłby zostać weterynarzem.

– Albo farmerem – cicho powiedziała Holly.

– Całkiem możliwe – przyznał Will, nie potrafiąc ukryć zadowolenia, jakie wzbudził w nim pomysł, by PJ został kiedyś hodowcą bydła. – A Augie – ciągnął Will – nie zjadła ani kawałka mięsa, odkąd tu przyjechała. Ale jest niebywale bystra. Jej nauczyciel powiedział mi w zeszłym tygodniu, że jeszcze nie widział tak utalentowanej pisarki jak Augie.

– Naprawdę? – zapytała Holly. – Naprawdę tak powiedział?

– O tak... – Will umilkł. – Poczekaj chwilę, Hol. Coś się dzieje.

– Nie rozłączaj się, błagam, nie rozłączaj się – powtarzała Holly. – Mów mi, co się dzieje.

– Nie jestem pewien. Poczekaj chwilę. – Will parę razy uderzył w szybę, żeby strącić z niej śnieg, który zasłaniał mu widok.

– Co się dzieje? – krzyczała do telefonu zapłakana Holly. – Błagam, tato, powiedz mi, co się dzieje.

Śnieg, który przylgnał do szyby, opadł od siły uderzeń i Will zobaczył przed szkołą jakąś bieganinę. Do środka wbiegali policjanci z wyciągniętą bronią.

– Dobry Boże – szepnął Will.

– Tato! – krzyknęła Holly. – Tato, błagam!

Will z powrotem przybliżył słuchawkę do ucha.

– Nic takiego, Holly. Falszywy alarm. – Zaległa cisza, nie licząc łkania córki. – No więc pan Ellery powiedział, że kiedy Augie pójdzie do liceum, powinna trafić do klasy z rozszerzonym programem – spokojnie mówił Will, widząc jednocześnie, jak ze szkoły na noszach wyniesiono Evelyn Oliver. – A poza tym zastanawiałem się, czy może nie chcielibyście spędzić u nas trochę czasu latem. Może PJ chciałby pokazać na wystawie rolniczej jakiegoś cielaka. Już sobie nawet jednego wybrał. Pięknego hereforda.

Holly pociągnęła nosem.

– Może, PJ na pewno by się ucieszył.

– Też tak myślę – powiedział Will, podczas gdy ze szkoły wyłoniło się dwoje dzieci. Nie PJ. Wstrzymał oddech. – Wydaje mi się, że Augie też podobałoby się na wystawie. Może zacznie hodować króliki. – Drzwi znów się otworzyły i stanęło w nich trzech policjantów oraz szamocząca

się postać.

- PJ – powiedział Will z ulgą. – Widzę PJ-a.
- Dzięki Bogu – załkała Holly. – A gdzie Augie?

AUGIE

Dotykam swojej twarzy i kiedy spoglądam na palce, widzę na nich krew. Mnóstwo krwi, ale nie czuję bólu. Słyszałam o tym, to szok. Zastanawiam się, czy umrę. Zaciskam powieki i myślę o mamie. Nie będzie miała już nikogo poza swoimi rodzicami i nagle najbardziej na świecie chcę, żeby mama wybaczyła dziadkowi. Wtedy ktoś staje przy mnie i postanawiam, że nie umrę bez walki. Zaczynam kopać i krzyczeć.

– Już dobrze, już wszystko dobrze! – krzyczy jakiś człowiek – Jestem z policji! – Przystaję się szarpać i ośmielam się otworzyć oczy. Stoi nade mną policjant z największymi wąsami, jakie w życiu widziałam. – Już po wszystkim. Jesteś bezpieczna. Nie ruszaj się. Chcemy sprawdzić, czy nic ci nie jest, dobrze?

Nie słucham go i zrywam się na nogi.

– PJ? – Ledwie jestem w stanie wymówić jego imię, tak bardzo kręci mi się w głowie. Nigdzie go nie widzę. Policjant chwytą mnie za ramię, żebym nie upadła.

– PJ już wyszedł z budynku. Zabierzemy cię do niego, jak tylko cię obejrzymy. A teraz połóż się na ziemi.

Rozglądam się po klasie. Wszędzie jest krew.

– Nie patrz na to teraz – mówi policjant, próbując zasłonić mi pole widzenia. Nie mogę nic na to poradzić. Padam na podłogę i zaczynam płakać. Mocno.

WILL

Will patrzył bezradnie przez szyby radiowozu, jak PJ próbuje się wyrwać funkcjonariuszom, którzy wyprowadzają go ze szkoły.

– Holly, oddzwonię do ciebie – powiedział do swojej córki.

– Ani się waż rozłączyć, tato – krzyknęła Holly. – Jeśli kiedykolwiek mnie kochałeś, to się nie rozłączaj.

Will zamrugał zaskoczony. Nigdy by nie pomyślał, że jego córka mogła wątpić w jego miłość. Zawsze było odwrotnie. Will nigdy nie potrafił się domyślić, co powinien zrobić, aby zasłużyć na jej szacunek, jej uczucia.

– Nie rozłączę się, Hol – obiecał. – Poczekaj, położę telefon na siedzeniu, może uda mi się kogoś tu zawołać. – Will ostrożnie odłożył komórkę i raz jeszcze zaczął walić w szybę radiowozu.

– Hej – wrzasnął do zastępcy szeryfa, który przechodził obok – To mój wnuk! – Policjant posłał mu pytające spojrzenie. – Mój wnuk – powtórzył Will, wskazując na PJ-a, który próbował uciec z powrotem do szkoły.

Zastępca szeryfa skonsultował się z sierżantem Jarrowem, który podszedł do radiowozu i wypuścił z niego Willa.

– PJ! – Pobiegnął do wnuka, który wtulił się w dziadka. – PJ jest cały i zdrowy. Jest tu ze mną – powiedział do telefonu.

– Dzięki Bogu. – Holly zapłakała. – Dasz mi go? – Will oddał mu słuchawkę i złapał za ramię przechodzącego obok funkcjonariusza.

– Szukam mojej wnuczki, może mi pan pomóc?

– Przykro mi – odparł policjant, kręcąc głową. – Mamy tu mnóstwo dzieci, które muszą trafić do rodziców. Proszę o cierpliwość.

Przez ramię funkcjonariusza Will zauważył, jak otwierają się szkolne drzwi, zza których wyłania się czerwona czupryna Augie i jej zapłakana buzia. Willowi stanęło serce na widok zakrwawionego opatrunku na jej głowie, śladów krwi na twarzy, dłoniach i ubraniu. Rozbiegany wzrok Augie wyładował najpierw na jej dziadku, a potem na PJ-u.

Will wziął od PJ-a telefon i drżącym głosem powiedział do córki:

– Augie jest cała, Hol. Jest tutaj z nami.

Wyciągnął ręce do wnuczki.

– Już po wszystkim, Augie – powiedział łagodnym głosem, przytulając ją do siebie. – Jedziemy do domu.

Dzięki Bogu Stuart nigdy nie interesował się myślistwem. Nie trafił Augie, ale kula uderzyła w podłogę, posyłając w jej twarz ostre odłamki. Potrzebowała kilku szwów, ale nie stało się jej nic poważnego. To, że Augie zdołała wydostać się ze schowka, na tyle rozproszyło Stuarta, że mogłam do niego strzelić. Trafiłam lepiej niż on, choć niewiele. Pierwszym strzałem sięgnęłam jego lewego ucha, drugim – żeber. To nie wystarczyło, by go zabić, ale po tym, jak krzyczał i skręcał się na podłodze, wiedziałam, że bolało go jak diabli. I dobrze mu tak.

Myślałam o wielu bohaterach tego dnia. Uczniowie w klasie pani Oliver wykazali się niezwykłą jak na ich wiek odwagą. Augie Baker była zdeterminowana znaleźć brata, mimo że narażała się na wielkie niebezpieczeństwo. Miała też na tyle przytomności umysłu, by schować dziewczynkę, z którą zamknięto ją w schowku, w otworze wentylacyjnym. Pominąwszy fakt, że nikogo nie słucha, Augie jest świetnym materiałem na policjantkę. Choć nie wypada mi krytykować jej za niewykonywanie rozkazów.

Potrzeba było aż trzech funkcjonariuszy, żeby wyprowadzić ze szkoły PJ-a Thwaite'a. Cały czas wołał swoją siostrę, ale musieliśmy oszacować jej obrażenia, zanim pozwoliliśmy się jej ruszyć. Policjanci obiecywali mu, że zaraz ktoś wyprowadzi ją na zewnątrz, ale chłopiec nie ustępował. Z wielką ulgą patrzyłam, jak Augie i PJ wracają do dziadka. Oddałam nawet panu Thwaite'owi Twinkie, psa Craggów, którego trzymałam na tylnym siedzeniu auta. Obiecał, że odda ją córkom Raya. Niewielkie to pocieszenie po samobójstwie ojca, ale mimo wszystko.

Obrażenia pani Oliver były znacznie groźniejsze i zanim zajęli się nią sanitariusze, straciła mnóstwo krwi, a jej oddech się spłycił. Wystarczyło, że spojrzałam na jej bladą twarz, a wiedziałam, że jeśli przeżyje, to będzie to cud.

Nauczyciel ósmoklasistów, Jason Ellery, został znaleziony w kantorku na szczotki ze sporą raną na głowie, zaś konserwator, Harlan Jones, siedział związany w kotłowni. Wiele dzieci doznało psychicznego urazu, ale poza Evelyn Oliver nikt nie odniósł poważnych obrażeń.

Słyszac o stanie alarmowym w szkole, Tim powiedział matce i Marii, że został wezwany do pracy, żeby ich nie martwić. Zamiast tego, ignorując fatalne warunki na drogach, wyruszył do Broken Branch, by sprawdzić, co dzieje się w szkole i czy inni sanitariusze nie potrzebują pomocy, kiedy wpadł w poślizg i wylądował w rowie. Na szczęście znaleźli go Will Thwaite i Daniel Tucker. Tim spędził kilka dni w szpitalu w Conway, ma kilka złamań i wstrząśnienie mózgu, ale wydobrzeje. Do czasu, aż wróci do siebie, zamieszka ze mną i Marią.

Choć byliśmy pewni, że Stuart działał sam, całe godziny zajęło nam przeszukanie budynku, by

mieć absolutną pewność, że w szkole nie ma innego uzbrojonego napastnika i że znaleźliśmy wszystkich uczniów i nauczycieli. Zanim wygoiły się postrzałowe rany Stuarta i został on przetransportowany do więzienia, dowiedzieliśmy się dużo więcej o jego nagłym upadku. Koniec końców Stuart okazał się być niewiernym mężem, kłamcą i mordercą. Ja to mam gust. Nigdy się nie dowiem, czy Stuart celowo wybrał sobie mnie, by zyskać tajne informacje o sprawie Merritta i znaleźć dojsście do Jamie Crosby, ale wcale by mnie to nie zaskoczyło. Po przeczytaniu artykułu, w którym opisuje sprawę gwałtu i historię Jamie, było dla mnie jasne, że składa się on z samych nieścisłości i beczelnych kłamstw. Wykonałam kilka telefonów i po szczegółowej analizie wyszło na to, że artykuły Stuarta były jedynie tworem jego wyobraźni i ambicji. Najlepszym tego przykładem był artykuł napisany po misji z jednostką Gwardii Narodowej. Nikt nie mógł potwierdzić, że Stuart rzeczywiście z nimi przebywał, nikt też nie przypominał sobie historii zakazanej miłości pomiędzy szeregowym Rorem Denisonem a młodą Afganką. Nie było też żadnych dowodów na to, że taka kobieta w ogóle istniała.

W dzień alarmu w szkole „Des Moines Observer” opublikował artykuł, opatrzone zdjęciem Stuarta z wręczenia nagrody Pritcharda-Saya, opisujący jego konfabulacje i spowodowane tym zwolnienie, a to musiało całkowicie wytrącić go z równowagi. Ciało jego żony zostało znalezione niedługo po jego pojmaniu. Nie była idealną żoneczką, która murem stanęłaby za mężem, więc ją zabił, a potem udał się do szkoły. Przerwałam jego niemal idealny mechanizm zmyślania historii, które rozwijałyby jego karierę, napaływały portfel i głaskały jego ego. Kiedy wszystko to runęło, postanowił się na mnie odegrać w sposób, który najbardziej by mnie skrzywdził. Poszedł do szkoły Marii i zwił mnie tam. Chciał najpierw zabić ją, potem siebie i zostawić mnie zdruzgotaną i osamotnioną. Gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z jego planem, znów byłby zaangażowany w największą sensację od lat, jaka miała miejsce w Iowa. Gdzieś po drodze Stuart zatracił swoją duszę. Mam nadzieję, że będę mieć okazję z nim porozmawiać i spróbować dowiedzieć się dokładnie, dlaczego zrobił to, co zrobił. Jak zmienił się z sympatycznego mężczyzny w kłamcę, zdrajcę i mordercę.

Jeśli chodzi o mnie, to mam nadzieję, że mimo zlekceważenia rozkazu komendanta nadal będę miała pracę. Kiedy dzieci były już bezpieczne, a karetki – jedna z panią Oliver, druga ze Stuartem – odjechały, komendant powiedział, że była to najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił któryś z jego podwładnych. A potem mocno mnie przytulił. Czekają mnie godziny zeznań i całe góry papierkowej roboty. Niewielka cena. Ale myślę, że dam sobie radę. W końcu to ja załatwiłam bandytę.

PANI OLIVER

Pani Oliver czuła się zawiedziona. Jej rodzice – głęboko wierzący i pobożni ludzie – obiecali jej, że kiedy dotrze do bram nieba, wszędzie nastanie jasność, wszystkie tajemnice życia zostaną rozwiązane. Myślała też, że w niebie będzie cieplej i że zostanie skąpana w złotym świetle. Ona natomiast trzęsa się z zimna i kiedy otworzyła oczy, zamiast zobaczyć swoich zmarłych przed laty rodziców, George’a, a nawet PJ-a, pani Oliver dostrzegła stojącego nad nią Cala.

– Czyli ciebie też zabił – próbowała powiedzieć, ale odkryła, że nie potrafi.

– Masz zadrutowaną szczękę – powiedział Cal, delikatnie gładząc jej policzek – Jesteś w szpitalu. Spałaś przez prawie dwa dni. Postrzelił cię w ramię, ale wyjdiesz z tego. – Widząc jej zmartwione spojrzenie, Cal ścisnął zdrową rękę żony. – Dzieciom nic się nie stało. Policjantka zdążyła go postrzelić, zanim skrzywdził kogoś jeszcze. Georgiana tu jest, a chłopcy niedługo przyjadą.

W polu widzenia pani Oliver pojawiła się jej córka.

– Cześć, pani Oliver – powiedziała, uśmiechając się do niej oczami George’a. – Nie mogłaś przejść na emeryturę jak wszyscy, co? Musiałaś dosłownie odejść z hukiem. – Na twarzy pani Oliver pojawił się cień uśmiechu i z bólem wzruszyła ramionami.

– Dobrze się zajęłaś tymi dziećmi, Evie – powiedział Cal, przysuwając sobie krzesło do jej łóżka. – Rodzice przysyłają ci kwiaty i baloniki, tylko popatrz – Pokazał dłonią na róg pokoju, gdzie na niewielkim stoliku stały stłoczone bukiety żonkili, szpiczastych, niebieskich hiacyntów i różowych róż, podczas gdy srebrne baloniki, na których wypisane były życzenia powrotu do zdrowia, leniwie poruszały się pod sufitem.

– Tata chyba będzie musiał zrezygnować ze swojego warsztatu, żeby było miejsce na wszystkie listy i obrazki, jakie przysyłają ci uczniowie – powiedziała Georgiana, podnosząc do góry stertę papierów. Pani Oliver pokręciła głową i zza szwów wydobyło się ciche sapnięcie. Chciała tyle powiedzieć Georgianie, ale nie mogła.

– Wiem, mam, wiem – odpowiedziała jej córka, cicho się śmiejąc.

Pani Oliver była tak bardzo zmęczona, że mogła odpowiedzieć jedynie mrugnięciem.

– Odoczywaj, Evie – szepnął jej do ucha Cal i delikatnie musnął ją w usta. – Prześpij się. Będziemy tu, kiedy się obudzisz.

Pani Oliver czuła, jak jej powieki robią się coraz cięższe, i nie pragnęła niczego tak bardzo, jak zanurzyć się w twardej, głębokiej sen. Zanim to jednak nastąpiło, zdrową ręką uniosła koldrę, zerknęła pod nią i zmarszczyła czoło na widok szpitalnej pidżamy.

– Nie martw się, nie pozwoliłem im jej wyrzucić – zapewnił ją Cal. – Pielęgniarki musiały ją rozciąć. Georgiana bardzo się starała doprać tę sukienkę, ale już nigdy nie będziesz mogła jej założyć. – Pani Oliver skinęła głową, dając znać, że rozumie.

– Zaśnij, mamó – szepnęła Georgiana, całując ją w czoło.

Pani Oliver zdawało się, że słyszy chlupot wody ściekającej po ostrych soplach lodu za szpitalnym oknem, które od ostatnich czterech miesięcy wisiały pod każdym zadaszeniem w Broken Branch. Widziała, że śnieg w końcu przestał padać, a niemrawe promienie słońca próbują się przebić przez śnieżne chmury, których kolor zdołał już zblednąć do gołębiej szarości. Pani Oliver uśmiechnęła się, czując słodki zapach hiacyntów i mając wrażenie, że po skórze muska ją delikatny wiosenny wietrzyk, zasnęła.

PODZIĘKOWANIA

Jak zawsze ogromne wyrazy wdzięczności kieruję wobec mojej agentki, Marianne Meroli, za jej mądrość, porady, przywiązanie do szczegółów i przyjaźń. Dziękuję również Henry'emu Thayerowi za jego wsparcie za kulisami.

Stokrotne dzięki dla mojej redaktorki, Mirandy Indrigo, której uwagi i sugestie zawsze trafiają w sedno. Dziękuję zespołowi Mira Books, zwłaszcza Margaret O'Neil Marbury i Valerie Gray. Jestem dumna, że mogę nazwać to wydawnictwo moim domem.

Dziękuję Johnowi i Cathy Conwayom oraz Howardowi i Shirley Bohr za to, że otworzyli przede mną swoje domy i farmy, kiedy zbierałam materiały do tej powieści. Zawsze niezwykle miło wspominam spędzony z wami czas.

Kieruję też podziękowania do Marka Dalsinga, którego uwagi dotyczące policyjnych procedur podczas wczesnych korekt tekstu okazały się bezcenne.

Gorąco dziękuję również moim rodzicom, Miltonowi i Patricii Schmida oraz moim braciom i siostrze wraz z rodzinami za ich hojne wsparcie i entuzjazm.

Scott, Alex, Anna i Grace – wam też ogromnie dziękuję. Bez was nie dałabym rady.



Foto © Morgan Hawthorne

Heather Gudenkauf – bestsellerowa autorka „The New York Times” i „USA Today”, dorastała w stanie Iowa. Ukończyła nauczanie początkowe na tamtejszym uniwersytecie i przez wiele lat pracowała w tym zawodzie. Jej książki doczekały się premiery w kilkunastu krajach. Mieszka wraz z mężem, trójką dzieci i wyżłem niemieckim Lolo. Jest najmłodsza z sześciorga rodzeństwa.

Wolny czas spędza z rodziną, czyta, lubi górskie wycieczki i bieganie. Obecnie pracuje nad

kolejną książką.

Bestsellerowa autorka *New York Timesa*

Heather Gudenkauf

Dla fanów Jodi Picoult



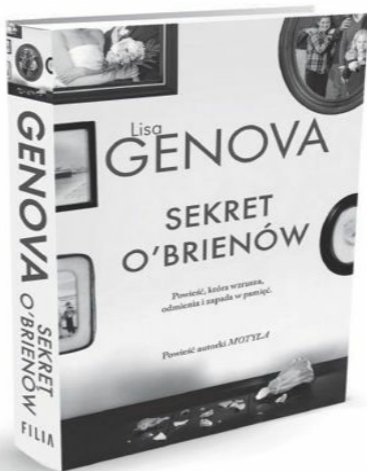
Darmowy
ebook,
prequel
Małych cudów



Wzruszenia i emocje, które pozbawią Cię tchu i sprawią, że te historie zostaną z Tobą na zawsze.

Małe cuda oraz Drobne kłamstwa

wydawnictwofilia.pl



SEKRET O'BRIENÓW

Nowa powieść autorki
Motyła

FILIA

SPIS TREŚCI

Okladka

Karta tytułowa

Opinie

HOLLY

AUGIE

PANI OLIVER

MEG

WILL

HOLLY

PANI OLIVER

MEG

WILL

AUGIE

MEG

HOLLY

PANI OLIVER

MEG

AUGIE

PANI OLIVER

WILL

HOLLY

PANI OLIVER

MEG

WILL

AUGIE

PANI OLIVER

MEG

AUGIE

HOLLY

PANI OLIVER

MEG

WILL

MEG

PANI OLIVER

MEG

WILL

AUGIE

HOLLY

WILL

MEG

PANI OLIVER

AUGIE

MEG

WILL

PANI OLIVER

AUGIE

HOLLY

MEG

PANI OLIVER

WILL

AUGIE

MEG

PANI OLIVER

AUGIE

MEG

HOLLY

MEG

WILL

MEG

WILL

PANI OLIVER

AUGIE

PANI OLIVER

WILL

MEG

PANI OLIVER

AUGIE

PANI OLIVER

MEG

WILL

MEG

AUGIE

MEG

PANI OLIVER

MEG

WILL

AUGIE

PANI OLIVER

MEG

WILL

HOLLY

PANI OLIVER

MEG

AUGIE

MEG

PANI OLIVER

MEG

AUGIE

MEG

AUGIE

MEG

PANI OLIVER

MEG

AUGIE

HOLLY

WILL

PANI OLIVER

MEG

WILL

HOLLY

AUGIE

WILL

PANI OLIVER

MEG

PANI OLIVER

AUGIE

WILL

MEG

AUGIE

WILL

PANI OLIVER

AUGIE

HOLLY

MEG

WILL

AUGIE

WILL

MEG

PANI OLIVER

PODZIEKOWANIA

Helen Gudenkauf

Reklama 1

Reklama 2

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: One Breath Away

ONE BREATH AWAY by Heather Gudenkauf.

Copyright © 2012 by Heather Gudenkauf.

By arrangement with the author.

All rights reserved.

Copyright for the Polish edition © 2015 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2015

Projekt okładki: Olga Reszelska

Zdjęcie na okładce: © Elle Moss / Arcangel Images

Przekład: Joanna Dziubińska

Redakcja: Editio

Korekta: Editio

Skład i łamanie: Editio

eISBN: 978-83-8075-055-5

FILIA

Wydawnictwo Filia

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

www.wydawnictwofilia.pl

Wszelkie pytania prosimy kierować na adres:

czytelnicy@wydawnictwofilia.pl

Dołącz do nas na Facebooku!

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl